

# ALEK ROGOZIŃSKI

Nigdy nie wiadomo,  
kto podłoży ci... świnę!



# ZŁAP MNIE, JEŚLI UMIESZ

KOMEDIA KRYMINALNA

**ALEK** ROGOZIŃSKI

**ZŁAP MNIE,  
JEŚLI UMIESZ**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Oświadczenie

Postaci

Prolog

Rozdział I. Dolores

Rozdział II. Morderstwo czy wypadek?

Rozdział III. Pasterka

Rozdział IV. Bez śladów

Rozdział V. Biała dama

Rozdział VI. Futro

Rozdział VII. Czarownica

Rozdział VIII. Trup w muzeum

Rozdział IX. Korespondencja z przeszłości

Rozdział X. Liczy się każda minuta

Rozdział XI. Naoczny świadek

Rozdział XII. Poszukiwania

Rozdział XIII. Rumak bojowy

Rozdział XIV. Bez kary

Epilog

Podziękowania

Inne książki Alka Rogozińskiego

Redakcja  
*Małgorzata Tougri*

Korekta  
*Anna Mieczkowska*

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
©Eric Isselée/AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021  
© Copyright by Alek Rogoziński, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-66939-16-5



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 25 19

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLJot](#)

*Dla Anny Matusiak-Rzeźniowieckiej  
z podziękowaniem za wsparcie,  
które czuję od pierwszej wydanej książki.*

## OŚWIADCZENIE

Uroczyście oświadczam, że wszystko, co przeczytacie na kolejnych stronach, powstało tylko w mojej zwichrowanej wyobraźni i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. A nie, zaraz... Świnka Dolores żyje i, podobnie jak w powieści, ma się znakomicie. Jestem też prawie pewny, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że trafiła na karty literatury, bo kiedy ostatni raz ją odwiedziłem, miałem wrażenie, że chciała mi dać autograf. A przynajmniej na to wskazuje fakt, że wyniuchała w mojej kieszeni długopis, po czym ukradła go i za nic w świecie nie chciała oddać.

To chyba tyle tytułem wstępu, a teraz zapraszam Was do Kocierzyna na kolejne spotkanie z Różą Krull i jej przyjaciółmi.

Dobrej zabawy!

Alek

## POSTACI

**Róża Krull** – znana autorka powieści kryminalnych, która początkowo wierzyła, że powodem śmierci mogą być zjawiska paranormalne, ale potem przypomniała sobie, że posiada rozum.

**Paweł „Pepe” Kwiatek** – były menadżer Róży, a obecnie szef kawiarni „Take My Cake”, w przeciwieństwie do swojej niedawnej pracodawczyni korzystający z rozumu bez chwili przerwy, acz niekoniecznie zawsze z takim efektem, na jaki liczył.

**Cecylia Jodelka** – gosposia Róży, także przekonana, że zjawy i duchy nie istnieją, i to mimo faktu, że onegdaj była świadkiem tego, „jak jej świętej pamięci małżonek wrócił po pogrzebie z zaświatów i włączył telewizor, żeby obejrzeć finał mundialu”.

**Barbara Jodelka** – córka Cecylii, usiłująca usprawiedliwić każdy wybryk swojej rodzicielki i tym samym znajdująca się bezustannie w równie niezręcznej sytuacji co rzecznik rządu.

**Nastazja Rudzka** – przyjaciółka Cecylii, rozkoszująca się w cichości ducha tym, że i na stare lata człowiek może przeżywać tak ekscytujące przygody jak tropienie mordercy.

**Dżessika Bąk** – właścicielka solarium „Dżamajka”, była Miss Kocierzyna i właścicielka świnki o uroczym imieniu Dolores, której udało się wyniuchać zwłoki w Dworku Pod Dębami.

**Franciszka Niepołomicka** – ostatnia właścicielka Dworku Pod Dębami, która mieszkała w tym miejscu w młodości, a teraz wróciła, by się z nim pożegnać.

**Roland i Laura Niepołomiccy** – dzieci nieżyjącego brata Franciszki, próbujące ją przekonać do jak najszybszego pozbycia się problemu w postaci nawiedzanej nieruchomości.

**Jarosław Klin** – kustosz i zapalony poszukiwacz skarbów, który za swoje hobby zapłacił zbyt wysoką cenę.

**Patrycja Dworzak** – narzeczona Jarosława, przerażona tajemniczą

korrespondencją, trafiającą do niej w niewyjaśniony i niepokojący sposób.

**Maciej Sobieraj** – kumpel Jarosława, zapatrzony w niego niczym Sancho Pansa w Don Kichota i towarzyszący mu w większości przygód.

**Sebastian Janiszewski** – dyrektor muzeum, przełożony Jarosława.

**Elwira Janiszewska** – córka dyrektora muzeum, a zarazem była narzeczona kustosza, dziewczyna o niejasnej przyszłości i podwójnej moralności.

**Joanna Złocińska** – przyjaciółka kustosza, z całych sił próbująca ukryć związany z nim sekret.

**Esmeralda Pilecka** – urocza staruszka, uważana przez mieszkańców Kocierzyna za czarownicę, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

**Sobiesław Mądrycki** – proboszcz, przekonany, że wszystkich zamieszanych w sprawę morderstwa w Dworku Pod Dębami należałoby poddać egzorcyzmom, a Różę Krull na wszelki wypadek od razu spalić na stosie.

**Bartłomiej Domagalik** – nastoletni syn kierowniczkii kocierzyńskiej biblioteki, niemający pojęcia, jak bardzo jego los połączony jest z nawiedzonym dworkiem.

**Manuela Konopka** – była dziennikarka lokalnego portalu „KocieNewsy”, która miała zrobić karierę komentatorki politycznej w stolicy, ale została zesłana z powrotem do rodzinnego miasteczka po tym, jak podpadła żonie prezydenta.

**Eustachiusz Fronczak** – podkomisarz, a zarazem nowy komendant policji w Kocierzynie, ucieszony, że Róża Krull nie wtrąca się w jego śledztwo, i niemający pojęcia, jak bardzo się w tym względzie myli.

**Waldemar Łucki** – prokurator, który zapomniał o radzie swojego kolegi, że Różę Krull należy na początku śledztwa przewencyjnie zakuć w dyby i wsadzić do lochu, najlepiej w wodzie i marchewce, żeby przy okazji schudła.

A także gościnnie:

**pani Wiesia** – siostra Cecylii i zarazem jedyna kobieta, której udało się sprowadzić Pepe na złą drogę,



oraz

**Dolores** – świnka z klasą, manierami i charakterem lepszym od kilku osób występujących na kartach tej powieści.

## PROLOG

W Wigilię roku Pańskiego 1794 Katarzyna Jabłonowska doszła do wniosku, że jej narzeczony jest bęcwałem. Nastąpiło to podczas uroczystej kolacji, wydanej przez jej ojca, hrabiego i właściciela całkiem okazałego dworku nieopodal Siemiatycz, Kazimierza Jabłonowskiego. Konkretnie zaś w chwili, kiedy wszyscy goście, w liczbie sztuk dwudziestu, przystąpili do spożywania babki migdałowej. Lokajowi, serwującemu hrabiance ów smakołyk, zsunęła się z tacy srebrna łyżeczka. Katarzyna odruchowo schyliła się, by ją podnieść, i ku swojemu zaskoczeniu ujrzała pod stołem, jak siedzący nieopodal narzeczony gładzi dłonią kolano jej młodszej siostry. Ta zaś filuternie zaczepia go swoją stópką, obutą w zdobny pantofelek, jeden z dwóch, które notabene sama jej sprezentowała.

Katarzyna przez chwilę obserwowała owe karesy, czując, że za moment z nerwacji dostanie globusa, po czym wróciła do poprzedniej pozycji i jęła baczniej obserwować figlującą parę. Jej siostra była rozanielona tak idiotycznie, jak wtedy kiedy ich papa przywiózł jej z Paryża lalkę, która zdaniem Katarzyny miała wściekły wyraz twarzy tudzież zeza, i jako taka prezentowała się gorzej niż gargulce zdobiące katedrę Notre Dame. Z kolei po pogrążonym w rozmowie z jej mamą narzeczonym nie widać było żadnych emocji. Kamienna twarz, zero jakiegokolwiek ekspresji. Co za drań! Katarzyna przez moment zastanawiała się, co właściwie ma zrobić ze świeżo pozyskaną wiedzą o dwóch jeszcze chwilę temu bliskich jej osobach. Zachować ją dla siebie czy też podzielić się nią z otoczeniem? Jeśli zaś wybierze owo drugie rozwiązanie, to czy uczynić to po cichu, czy też z hukiem? Teoretycznie zdawała sobie sprawę, że zgodnie z wpajanymi jej zasadami powinna siedzieć jak myszka pod miotłą tudzież udawać ślepa, głuchą i w rozumie nietęgą. Tak się jednak składało, że od dziecka miała te zasady w głębokim poważaniu. Już jako kilkulatek zamiast uczyć się gry na pianinie albo poznawać piękno języka francuskiego, wołała spędzać czas z parobkami, jeżdżąc na kucykach, strzelając z procy i od rana do wieczora bawiąc się w berka albo chowanego. Podobnie było i teraz. Jakie tam znowu haftowanie i szydełkowanie? Zawracanie głowy! Jej największym marzeniem było nauczyć się strzelać, i to jak prawdziwy żołnierz. Udało jej się nawet namówić kuzyna, który służył w wojsku, aby dał jej kilka lekcji. Ach, gdyby tylko teraz miała pistolet...! Już by pokazała temu świszczypale, gdzie raki zimują.

Katarzyna dumiała i dumiała, co ma zrobić, aż wreszcie kolacja się skończyła, a ona sama wraz z innymi kobietami została wyproszona do ogrodu, bo „panowie biznesa jakoweś omawiać musieli w izolacji od osób o rozumie mniej jasnym”, jak oświadczył jej papa. Choć kochała ojca z całego serca, Katarzyna nijak nie umiała pogodzić się z faktem, że traktuje on ją, jej siostrę, ich matkę oraz każdą inną

przedstawicielkę płci pięknej mniej więcej tak samo jak kury czy gęsi, które pałętają mu się po podwórzu. Zero szacunku. Nawet w duchu obiecała sobie rozmówić się z nim przy jakiejś sprzyjającej okazji, najsamprzede jednak postanowiła odbyć konwersację ze swoją siostrą. Katarzyna nie lubiła owijać niczego w bawełnę i wprost zapytała Anielę, co czuje do jej narzeczonego. Ta jednak zamiast odpowiedzieć, jęła spazmować i chwycić się za serce, a na koniec usiłowała zemdleć. Katarzyna machnęła na nią ręką i korzystając z ogólnego zamieszania, jakie przy okazji wywołała jej siostra, wymknęła się do swoich komnat, gdzie zapakowała najważniejsze rzeczy w kuferek podróży, a następnie pod osłoną nocy udała się do pobliskiej wioski. Tamże przekupiła jednego z młodych wieśniaków, który bryczką zawiózł ją aż do samego Białegostoku.

Za ową podwózkę Katarzyna odwdzińczyła mu się, jak tylko umiała, przy okazji przekonując się, że powtarzane przez jej znajome arystokratki teorie, że „parobkowie to diabła samego mają w lędźwiach”, w całej rozciągłości materii pokrywają się z prawdą. Rankiem Katarzyna, dla niepoznaki w męski strój przebrana, wsiadła do porządniejszego już pojazdu, którym po kilkudziesięciu godzinach i kilku postojach mocno zmęczona dojechała do Warszawy. Tu udała się do przyrodniej siostry swego ojca, hrabiny Klementyny z Jabłonowskich Niepołomickiej, którą – padłszy na kolana – o azyl z całego serca poprosiła.

Ciotka, która od lat miała na pieńku z jej ojcem, przyjęła ją z otwartymi ramionami. Następnie zaś w tajemnicy przed nią wysłała do swojego brata list, w którym oświadczyła, że od teraz jest jedyną prawną opiekunką i protektorką jego starszej córki i że w związku z tym w stosownym czasie wystąpi o przekazanie należnego jej podopiecznej posagu oraz przepisanie na nią dworku. Hrabia, czytając owe bezczelności, poczerwieniał na twarzy, chwycił się za serce i tchu nie mogąc złapać, zsunął się z krzesła. Trzy dni i trzy noce leczył go miejscowy medyk, ale ponieważ cała ta kuracja polegała głównie na puszczaniu krwi dzięki przykładanym do klatki piersiowej nieprzytomnego pacjenta kilku niemrawym pijawkom, dużo nie zdziałał. Kazimierz zszedł rankiem dnia czwartego, na chwilę przed śmiercią odzyskując przytomność i wskazując swoją młodszą córkę na jedyną spadkobierczynię, co najbardziej spodobало się byłemu narzeczonemu Katarzyny, który czym prędzej oświadczył się Anieli i w ten sposób został panem dworku. A przynajmniej tak mu się wydawało. Nie przewidział tylko jednego, a mianowicie determinacji ciotki, która zostawiwszy nie najlepiej czującą się Katarzynę pod opieką swoich zauszników, pojawiła się kilka miesięcy później na weselu, a następnie wykorzystała moment nieuwagi, aby dosypać panu młodemu do kielicha z wódką odrobinę arszeniku. Obudziwszy się następnego ranka obok nieboszczyka, siostra Katarzyny popadła w stupor i trzeba było ją odesłać do zakładu zamkniętego, w którym kilka tygodni później dokonała żywota. W tym ostatnim pomogli jej opiekujący się nią medycy, którzy testowali na niej tak urocze metody lecznicze jak kąpiele na zmianę w gorącej i lodowatej wodzie czy też głodówka. Na wieść o stracie młodszej córki hrabina wdowa popełniła samobójstwo, rzucając się w już w tamtych czasach nieco mętne wody

rzeki Kamianki. Dopiero wtedy o wszystkim powiadomiono nieświadomą do tej pory niczego Katarzynę, która w tym czasie zdążyła w tajemnicy powić dziecię i z bólem oddać je od razu swojej służce na wychowanie. Świeżo upieczona mama na wieść o tym, że choć ominęły ją dwa pogrzeby w najbliższej rodzinie, to i tak musi pojechać na kolejne, dostała lekkiej hysterii, która wszelako szybko zamieniła się w furję, kiedy w wyniku niedyskrecji żony jednego z ludzi jej ciotki, dowiedziała się też i o tym, jak bardzo jej opiekunka przyczyniła się do tej rodzinnej tragedii.

Rozżalona, zrozpaczona i zagniewana Katarzyna zgarnęła, co tylko znalazła cennego w mieszkaniu Klementyny, i wrzuciła to do średnich rozmiarów skrzyni. Napisała też długą epistołę, w której opisała całą tę tragifarsę, po czym zapakowała swoje rzeczy i kazała się wieźć do rodzinnej posiadłości, gdzie wciąż przebywała, czująca się już panią tych włości, hrabina Niepołomicka. Właśnie tam nastąpił ostatni akt tej historii. Dotarłszy po dwóch dniach do Siemiatycz, Katarzyna ukryła w sobie tylko znanym miejscu ów list oraz ukradzione ciotce papiery i precjoza, po czym poszła się z nią rozmówić. Niestety, jeden z zauszników hrabiny wypatrzył ją wcześniej i uprzedził zawczasu swoją mocodawczynię, co się święci. Kiedy bratanica przestąpiła próg dworku, ciotka już na nią czekała, stojąc na szczycie schodów prowadzących na piętro i dzierżąc w dłoni szpadę. Wrzasnęła, aby Katarzyna, którą nazwała „niewdzięcznicą”, czym prędzej oddała jej wszystkie kosztowności, a potem podpisała akt zrzeczenia się dworku na jej korzyść. Na owo *dictum* hrabianka Jabłonowska zareagowała pełnym politowaniem popukaniem się w głowę, a następnie, przypomniawszy sobie rozkład pomieszczeń rodzinnego domostwa i ich dekoracje, pognęła do jednego z salonów, którego ozdobą była autentyczna średniowieczna rycerska zbroja. Pożyczywszy sobie jej kopię, wróciła do przedpokoju, wbiegła po schodach i wdała się w iście muszkieterski pojedynek ze swoją dotychczasową protektorką. Choć ciotka była od niej starsza o kilkanaście lat, siły miała niczym Waligóra i nijak nie dawała się pokonać. W końcu zziąanej i mokrej od potu Katarzynie udało się wytrącić krewniczce broń z ręki. W chwili, kiedy już miała przyprzeć ciotunię do ściany i zmusić do poddania się, hrabina nagle wymierzyła jej bolesny cios z tak zwanej bańki, po czym, wykorzystując jej zamroczenie, wyrwała się i przebiegła kilka metrów, tracąc jednak równowagę akurat w chwili, kiedy stała na ostatnim górnym schodku. Przez sekundę walczyła desperacko, aby z niego nie zlecieć.

– Pomocy! – krzyknęła rozpaczliwie. – Dziecko drogie, ratuj mnie!

Katarzyna, Niestety, miała dobre serce i to ją zgubiło. Kiedy podbiegła do ciotki, ta szarpnęła ją z całych sił za suknię i sama odzyskując stabilny pion, zepchnęła bratanicę ze schodów. Spadając po dziesiątkach stopni, Katarzyna w ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że oto nadchodzi jej kres. Zanim uderzyła głową o posadzkę holu, powtarzała w myślach jedno zdanie: „Nie mogę tak odejść! Nie mogę tak odejść!”. I choć po chwili na podłodze pojawiła się plama jej krwi, a godzinę później jej ciało zostało zakopane w pobliskim lesie, to paradoksalnie Katarzyna spełniła polecenie, które sama sobie wydała tuż przed śmiercią.

A przynajmniej tak wydawało się wszystkim, którzy kiedykolwiek zatrzymali się na noc w posiadłości, sto lat później przez kolejną właścicielkę nazwanej Dworkiem Pod Dębami.

# ROZDZIAŁ I

## DOLORES

– Zaraz pękne! – Popularna autorka kryminałów Róża Krull wstała od wigilijnego stołu, zastanawiając się, co ją opętało. Na początku roku złożyła sobie bowiem uroczystą przysięgę, że tym razem Boże Narodzenie spędzi z mamą i nowym ojczymem pod palmami, objadając się cytrusami i popijając sok prosto z zerwanego chwile wcześniej kokosa. Tymczasem zamiast w tropikach wylądowała na Podlasiu. A tu wtrąbiła w ciągu niecałej godziny ucztowania tyle kalorii, że nawet gdyby teraz obiegała dokoła całą planetę, to i tak nie ma szans, żeby je wszystkie spaliła. Zwłaszcza te, które natychmiast pognały w okolice jej bioder i okopały się tam na pozycjach obronnych niczym wojska amerykańskie w Pearl Harbor w czasie drugiej wojny światowej.

– Trzeba było nie traktować kulebiaka jak wroga, którego należy zmieść z powierzchni ziemi. – Były agent pisarki, a obecnie jej najlepszy przyjaciel Paweł Kwiatek, zwany przez wszystkich Pepe, posłał jej ironiczne spojrzenie. – Kutia też nie zajac. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie nawiałaby ci ze stołu, gdybyś ją tam zostawiła.

– A ja tam lubię patrzeć, jak pani Różyczka je – rzekła z niekłamanym zachwytem w głosie gospościa Róży, a zarazem mama gospodyni wieczoru, Cecylia Jodełka. – Zawsze tak wszystko ze smakiem pałaszuje, że aż jej się uszy i te rumiane policzki trzęsą! Gdy na nią wtedy patrzę, to aż mi ciepło idzie do serca. Nie to co moja Basia. Zje taką porcyjkę, jakby chomik nabzdził, i już woła, że więcej nie może. Jak jakaś artretyczka!

– Kto? – zdziwiła się Róża, zastanawiając się w duchu, o ile w tym miesiącu zmniejszyć Cecylii premię za „rumiane policzki”, które z miejsca skojarzyły się jej z kreskówką pod wiele mówiącym tytułem *Pyza na polskich drózkach*.

– No taka, co nic nie je – wyjaśniła Cecylia – i potem wygląda jak zamorek.

– Anorektyczka – poprawiła ją córka.

– No przecież tak właśnie powiedziałam! – oburzyła się Cecylia. – Poza tym takie liche jedzenie to grzech!

– A to ci nowość! – Barbara popatrzyła na nią ze zdziwieniem. – Do tej pory byłam pewna, że grzechem jest raczej obżarstwo, a nie umiarkowanie w jedzeniu i picciu.

– Błagam cię – szepnęła jej na ucho Róża. – Nie wywołuj wilka z lasu.

Było już jednak za późno. Cecylia, znana z tego, że ma wykute na blachę życiorysy wszystkich świętych, i to lepiej od papieża, z miejsca poczuła wiatr,

dmący w jej ulubione żagle.

– No co ty opowiadasz?! – wykrzyknęła gniewnie. – Jasne, że należy przestrzegać postu, ale tylko wtedy, kiedy nakazuje to Pismo Święte. W innych sytuacjach trzeba zaś jeść, i to solidne porcje! Weź takiego świętego Tomasza z Akwinu! Jego koledzy zakonnicy nazywali go „milczącym wołem”. Miał brzuch jak prawdziwy mężczyzna! Aż trzeba było wyciąć w stole jadalnym w refektarzu specjalny uskok, żeby mógł się tam zmieścić.

– Całkiem niezły pomysł, wzięwszy po uwagę apetyt Róży – mruknął Pepe, po czym, patrząc niewinnie na Basię, dodał: – Mam nadzieję, że w razie czego masz jakąś piłę, żebyśmy zrobili tu uskok?

– Przyda się do urznięcia ci języka – rzekła stanowczo Krull, mierząc go niechętnym spojrzeniem, po czym popatrzyła na młodszą Jodelkę. – Wyjdziemy odetchnąć trochę świeżym powietrzem?

– Jasne. – Barbara wstała od stołu.

– To ja pójdę ukroić sernik – rzekł Pepe – bo jak cię znam, to zrobisz dziesięć oddechów na mrozie i uznasz, że spaliłaś już całą kolację, więc wrócisz głodna jak wilk.

– Też cię Kocham! – Róża, zawiązując na szyi szalik, już zza progu drzwi posłała mu całusa.

– A więc? – zapytała Barbara, kiedy wyszły na zewnątrz. – Co się stało?

– Chciałabym z tobą omówić jutrzejszą niespodziankę dla twojej mamy. – Gospościa Róży obchodziła urodziny pierwszego dnia świąt. – Przywiozłam balony, Pepe zrobił specjalny tort, który trzymamy w bagażniku Stefana...

– Stefana? – Barbara zmarszczyła brwi.

– Tak Pepe nazywa swój samochód. Nawet nie pytaj... – westchnęła Róża. – Mamy też sztuczne ognie i girlandę z napisem „Wszystkiego najlepszego”. Tylko musimy wstać rano i wszystko to przygoto...

Przerwała, patrząc ze zdziwieniem na widoczny za furtką fragment uliczki. Jej środkiem szła powoli mała świnka. Szyję miała przewiązaną ogromną czerwoną kokardą. Barbara potoczyła wzrokiem za spojrzeniem pisarki.

– O, Dolores – rzekła ze zdziwieniem. – Co ona tu robi?!

– Że jak? – Róża wytrzeszczyła na nią oczy.

– Dolores – powtórzyła Barbara. – To pupilka Dżessiki. – Otworzyła furtkę, przykucnęła i wyciągnęła rękę. – Dolcia, chodź do mnie. Nooooo... Chodź!

Świnka stanęła i popatrzyła na nią z uwagą, po czym zrobiła kilka majestatycznych kroków, podeszła i obwąchała jej dłoń.

– Możesz jej dotknąć – zachęciła Różę Barbara. – Jest łagodna i uwielbia, jak się ją głaszcze.

Róża przyklękła i przejechała ręką po grzbiecie świnki. Ta, wyraźnie zadowolona, z lubością wyciągnęła ryjek i leciutko parsknęła. Pisarka powtórzyła

swój gest, po czym ze zdziwieniem cofnęła rękę.

– Co u diabła? – mruknęła. Wyjęła z kieszeni iPhone'a, wyświetliła ekranik, kciukiem uruchomiła latarkę, oświetliła swoją dłoń, po czym zamarła, wpatrując się w nią wielkimi oczami.

Jej dłoń była cała czerwona.

– To farba? – zapytała Barbara.

Róża podniosła rękę do nosa i nieufnie ją obwąchała.

– Nie pachnie jak farba – poinformowała niepewnie. – Wydaje mi się, że to krew.

– Dolores jest ranna? – Barbara popatrzyła z niepokojem na świnkę.

Ta przyglądała im się z wyraźną ciekawością i bynajmniej nie sprawiała wrażenia w jakikolwiek sposób poszkodowanej. Barbara wyszarpnęła z kieszeni swoją komórkę i oświetliła nią Dolores. Świnka nieco się spłoszyła i zrobiła krok do tyłu, ale widząc, że żadna z kucających przed nią kobiet nie wykazuje złych zamiarów, znów zaczęła się łąsić.

– Ona ma to czerwone tylko z jednej strony, trochę rozmazane – szepnęła Barbara, skanując wzrokiem szczecinę Dolores. – Tak, jakby się o coś obtarła...

– O coś albo o kogoś – odszepnęła Krull.

– Myślisz...? – Jodełka popatrzyła na nią niepewnie i już chciała coś dodać, kiedy nagle za ich plecami rozbłysło światło.

– Co wy tu wyrabiacie?! – rozległ się głos Pepe.

Róża i Barbara zgodnie wzdrygnęły się nerwowo. Świnka też się spłoszyła i odbiegła na kilka metrów w okolice pobocza po drugiej stronie drogi. Tam jednak przystanęła i odwróciła się, z wyraźną ciekawością obserwując rozwój wypadków.

– Zastanawiamy się, dlaczego Dolores ma zakrwawiony bok – poinformowała swojego agenta Róża.

– Kto to jest Dolores? – zdumiał się Pepe.

– Świnka – odpowiedziała Basia. – Z czerwoną kokardką.

Pepe przez chwilę przenosił wzrok z jednej na drugą.

– Dziabnęłyście sobie tutaj coś wyskokowego? – zapytał nieufnie i z lekką naganą. – W Wigilię!?

– Nic sobie nie dziabnęłyśmy – zaprotestowała Róża. – Oślepleś czy co?! Spójrz przed siebie!

Pepe zmarszczył brwi, ale posłusznie wykonał polecenie, po czym, dostrzegłszy Dolores, cały się rozpromienił.

– Jaka urocza! – krzyknął z radością. – Oswojona?

– Tak. – Basia pokiwała głową. – Dolcia, no chodź, nie bój się. To tylko Pawełek. Nie robi ci nic złego. To bardzo miły człowiek.



– I po co tak okłamywać biedne zwierzątko? – mruknęła Róża.

Pepe również przykucnął i wyciągnął rękę. Dolores nie zastanawiała się długo. Swoim iście królewskim krokiem ruszyła w ich stronę, aby po kilku chwilach z lubością pozwolić się Pepe miziać za uszkiem.

– Widzisz – Róża pochyliła się do ucha swojego byłego agenta i przeszła na szept – cały bok ma w czerwonej mazi. Pobrudziłam sobie nią rękę, jak ją pogłaskałam. Moim zdaniem to krew. Tyle że nie jej. Tak się zastanawiam, co z tym zrobić.

– Ludzka? – odszepnął pytająco Pepe.

– Z której strony przypominam ci laboratorium analityczne? – zdziwiła się złośliwie Róża. – Skąd mogę wiedzieć? Tym niemniej uważam, że to podejrzanę. W dodatku ta krew, czy też maź krwiopodobna, jest całkiem świeża. Nie zdążyła nawet zamarznąć, a przecież temperatura jest na minusie!

– Może zawiadomić policję? – podsunął Pepe, nie przestając głaskać wyraźnie już zakochanej w nim Dolores.

– A ty jak zwykle masz tylko jedną śpiewkę – rzekła gniewnie Krull. – Okaze się, że to jednak farba albo coś równie niewinnego, i znowu wyjdę na idiotkę. Już się tutaj dostatecznie skompromitowałam!

Niechętnie, bo niechętnie, ale Pepe musiał się z nią zgodzić. Ich poprzednia wizyta w podlaskim Kocierzynie o mały włos nie skończyła się tragicznie, a pisarka wykazała się w czasie prowadzonego tu przez siebie amatorskiego śledztwa wyjątkowym brakiem intuicji i lekkomyślnością. Przy okazji naraziła się kolejny raz ich wspólnemu znajomemu, a zarazem narzeczonemu swojej nowej agentki, komisarzowi Darskiemu, który musiał przyjechać z Warszawy, aby wyprostować wszystko to, co udało jej się napłatać. Może więc faktycznie lepiej było teraz nie narażać się na kolejne nieprzyjemności.

– Skoro ta maź jest świeża – wtrąciła przysłuchująca się ich rozmowie Barbara – to znaczy, że coś, o co otarła się Dolores, nie może się znajdować daleko.

– I co w związku z tym? – zaciekawiała się Róża.

– Możemy się przejść i rozejrzeć – podsunęła Barbara. – Skoczę po latarki. Jest biało, więc cokolwiek czerwonego od razu rzuci nam się w oczy.

– Dobry pomysł! – zgodził się Pepe, po czym lekko zmarkotniał. – Tylko jak to zrobić, żeby nie zdenerwować twojej mamy?

– Moja mama – Barbara wzniosła oczy ku niebu – jak zdążyłeś zauważyć, dorwała już swoją ulubioną ofiarę. Żadna z nich nawet nie zauważyła naszej nieobecności!

Na wigilijną ucztę do domu Barbary przyjechała też jej ciotka, rodzona siostra Cecylii. Wiesia, bo tak kazała się tytułować, mieszkała na co dzień w położonej na Kujawach miejscowości o dość specyficznej nazwie Miasteczko. Wpadła tylko na jeden dzień, w czym nie było nic dziwnego, bo zgodnie z wieloletnim rytuałem w święta robiła objazd po całej rodzinie. Wigilię z reguły spędzała u Barbary,

następnego dnia jechała do swojego syna do Lublina, a stamtąd do ciotecznego brata do stolicy. Cecylia nazywała to pogardliwie „bożonarodzeniową inspekcją garów”. Obie siostry nie szczędziły sobie złośliwości i w ogóle na pierwszy rzut oka sprawiały takie wrażenie, jakby z całego serca się nie znosiły. Były to co prawda pozory, bo tak naprawdę skoczyłyby za sobą w ogień, ale tak przekonujące, że wszyscy dokoła dawali się na nie nabrać.

– Zostań! – Pepe powstrzymał podnoszącą się z kucek Barbarę. – Ja polecę! Widziałem latarki na półce nad wieszakiem w przedpokoju. O te ci chodziło?

– O te – potwierdziła Jodelka. – Jedna ma baterie na wyczerpaniu, ale jeszcze powinna styknąć.

Kwiatek wstał i szybkim krokiem wrócił do domu. Dla spokoju ducha zerknął do salonu, ale ponieważ narwał się tam na gniewną tyradę Wiesi, która z irytacją mówiła: „Co ty gadasz?! Jakie znowu prześladowania katolików?! Aaaaa, weź i skocz z mostu, stara dewoto! Jakby tak ten twój cały święty Augustyn posłuchał, co pieprzy nowy minister edukacji, to sam by go tak kopnął w dupę, że doleciałby do Watykanu szybciej niż rakieta kosmiczną!”, doszedł do wniosku, że Barbara ma rację. Cecylia i Wiesia w tym momencie nie zwróciłyby uwagi nawet na trzęsienie ziemi połączone z atakiem kosmitów i wybuchem wulkanu. I nie zanosilo się, żeby najbliższe minuty miały przynieść w tym względzie jakkolwiek zmianę. Można je było spokojnie zostawić same. No dobrze, może nie do końca spokojnie, istniało bowiem zagrożenie, że gdy po omówieniu ministra edukacji przejdą do innych członków rządu, a może i do samego prezesa, to się wzajemnie pozabijają. Pepe na wszelki wypadek postanowił więc nadać akcji poszukiwawczej większego tempa.

– Mam! – zaraportował chwilę później Barbarze. – Trzy. Dokąd idziemy? I co robimy z Dolores?

– Wezmę ją na ręce, ona to uwielbia. – Jodelka podniosła świnkę, a następnie przytuliła ją do siebie. Ta faktycznie sprawiała wrażenie bardzo z tego zadowolonej i nawet polizała ją po dłoni. – A potem podrzucimy ją do Dżessiki. To niedaleko.

Zapalili latarki i wyszli na drogę. Choć po trzech dniach dopiero późnym wigilijnym popołudniem śnieżycą postanowiła zrobić fajrant, to dzięki zaradności burmistrza Kocierzyna, który objął swój urząd dopiero miesiąc temu i w związku z tym był jeszcze na etapie przejmowania się swoimi obowiązkami, odśnieżanie szło sprawnie i prawie wszystkie ulice były przejezdne. Także i ta biegnąca przy domu Barbary. Przemierzali spory jej odcinek, idąc zostawionymi przez Dolores śladami małych raciczek.

– Nie chcę was martwić – rzekła Jodelka, kiedy już doszli do miejsca, w którym stała ostatnia latarnia miejska – ale za moment skończy nam się Kocierzyn. W tamtą stronę już nic nie ma...

Róża rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– Ale przecież ta ulica ciągnie się dalej – wskazała ręką na co prawda znacznie

gorzej odśnieżoną, ale jednak ciągle wyraźną drogę, na której w dodatku dalej widoczne były ślady Dolores.

– No tak... – W głosie Barbary zabrzmiało wahanie. – Tylko tam naprawdę już nic nie ma!

Krull przyjrzała się jej uważnie.

– Ty coś kręcisz! – rzekła stanowczo.

– Nie... – Na twarzy Jodelki wyczytała dziwny niepokój, tak jakby ta czegoś się przestraszyła.

– No mów! – Pisarka westchnęła, wznosząc oczy. – Co tam jest?!

Barbara spłoszyła się już do końca.

– Kiedy mi głupio – wyjąkała, spuszczać wzrok. – Jeszcze pomyślicie, że jestem stuknięta.

– Akurat żadne z nas nie jest do końca normalne, więc nie masz się czym przejmować – zapewniła Róża.

– Mów za siebie! – oburzył się Pepe.

– Wziąwszy pod uwagę, że nadałeś swojemu samochodowi imię i wiecznie z nim gadasz – Róża zmierzyła go lodowatym wzrokiem – a w kuchni masz dwanaście różnych rodzajów patelni, to faktycznie jesteś wręcz ideałem normalności. Po prostu wzorzec metra z Sèvres!

– Musisz uaktualnić bazę danych – pouczył ją Pepe. – Te wzorce z Sèvres już straciły swoje znaczenie. Teraz metr definiuje się jako odcinek, który pokonuje światło w próżni w czasie jednej jakiejś tam milionowej sekundy, którą z kolei wyznacza częstotliwość promieniowania cezu.

– Sam jesteś cez. – Róża pokręciła głową. – Dobre sobie! Nikt nie wie, co to jest cez, bo nikt go nigdy na oczy nie widział. A pręt z Sèvres można obejrzeć przez cały czas. Wiem, bo byłam tam na wycieczce dwa lata temu. Poza tym mogą sobie być staromodna. Kto mi zabroni?

– Naprawdę masz dwanaście patelni? – Barbara patrzyła na Pepe z nieklamany podziwem.

– Pfff... – prychnął Pepe. – Różę jak zawsze poniosła ułańska fantazja!

– Jasne – mruknęła Krull.

– No proszę cię! – oburzył się Pepe. – Mam tylko patelnię klasyczną, grillową, żeliwną, do jajek sadzonych i placków, do naleśników, do ryb, stalową cygańską, zamykaną do duszenia, podwójną do frittaty, no i oczywiście woka.

– Oczywiście – potwierdziła Róża z przekąsem. – A to takie coś wielkości rakietki tenisowej?

Pepe zmarszczył brwi.

– To, które wygląda w środku jak labirynt dla myszy!

– Aaaa, fakt! Dzielona. To ledwie jedenaście, a nie dwanaście!

– Co to jest patelnia dzielona? – Barbara zrobiła wielkie oczy.

– To taka specjalna, z trzema osobnymi przegródkami – wyjaśnił Pepe. – Można na niej podczas jednego smażenia przygotować kilka osobnych dań lub produktów i jednocześnie smażyć je na przykład na oleju, maśle i oliwie, bez obawy, że się mieszają. Bardzo przydatny wynalazek. Każdy powinien go mieć!

– Każdy świr – mruknęła pod nosem Róża.

– A co? – Pepe przeszył ją złym spojrzeniem. – Najlepiej mieć tak jak ty, kiedy się poznaliśmy! Jeden spalony gar do wszystkiego, łącznie z grzaniem wody na herbatę!

– Kochani, pokłóćcie się później, proszę – przerwała im Barbara. – Dolores mi marznie i chyba już chętnie wróciłaby do domu. Ja zresztą też!

– Ale dlaczego nie chcesz dojść do końca tej drogi? – Róża wróciła do kwestii, od której oderwały ich dywagacje o posiadanych przez jej przyjaciela sprzętach gospodarstwa domowego. – I czemu mamy cię wziąć za stukniętą?

Barbara przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Ta droga – rzekła wreszcie z rezygnacją – ciągnie się aż do Dworku Pod Dębami.

– I? – Róża popatrzyła na nią pytająco.

– Tam straszy – wyszeptała Barbara.

Krull parsknęła śmiechem.

– No też coś! – prychnęła lekceważąco. – Chyba nie wierzysz w takie rzeczy?!

– W większości przypadków nie – odpowiedziała niepewnie Jodelka – ale ta posiadłość jest specyficzna. I nie tylko ja tak sądzę. Jakbyś zapytała o nią dziesięciu mieszkańców Kocierzyna, to dziewięciu poradziłoby ci się do niej nie zbliżać, a dziesiąty przeżegnałby się i od razu uciekł. Nikt z nas tam nie chodzi, a już zwłaszcza po zmroku.

– Ale właściwie czemu? – zaciekawił się Pepe. – Co tam straszy? Biała Dama? Błądny rycerz?

– Ukazuje się tam duch dziewczyny, która miała odziedziczyć tę posiadłość po swoim ojcu – wyjaśniła Jodelka – ale została zamordowana. Nie pamiętam dokładnie tej historii, zresztą istnieje kilka jej wersji, a poza tym każdy opowiadający dokłada do niej coś od siebie. W każdym razie duch tej dziewczyny został w dworku i sprawia, że kolejni jego właściciele kończą marnie.

– To znaczy?

– Umierają młodo, ulegają jakimś wypadkom, a w najlepszym przypadku zaczynają chorować i muszą stamtąd wyjechać. Różnie. Podobno ta dziewczyna pilnuje, aby nikt tam nie zagrzał miejsca na dłużej. Niektórzy mówią, że ona nadal uważa, że ta posiadłość należy do niej, i nie życzy sobie żadnych intruzów.

– I naprawdę ktoś traktuje te bzdury serio? – zdziwiła się Róża.

– Wziąwszy pod uwagę, że odkąd pamiętam, nikt tam nie mieszka, to raczej tak – odpowiedziała Barbara. – Nawet dzieciaki, które z reguły uwielbiają bawić się

w takich opuszczonych miejscach, omijają dworek szerokim łukiem. Zresztą rodzice pilnują, żeby tam nie chodziły. Kiedy byłam mała, wydarzył się pewien incydent. Chodziłam wtedy chyba do trzeciej klasy. A może czwartej? W sumie nieistotne. Grupa chłopaków ze starszej klasy założyła się między sobą o to, kto wytrzyma w dworku samotnie przez całą noc. Najodważniejszy, wiecie, taki chojrak w stylu „co to nie ja!”, poszedł na ochotnika na pierwszy ogień. Wieczorem powiedział rodzicom „dobranoc”, po czym wymknął się z domu przez okno po gzymsie i wraz z kumplami poszedł do dworku. Wcześniej zapakował w plecak śpiwór, jakiś prowiant, discmana oraz kilka płyt i komiksów. Koledzy odprowadzili go do dworku, po czym pożegnali i zostawili go samego. Miał tam posiedzieć do siódmej i wrócić do domu. Jego kumple obiecali przyjść i go obudzić, a przy okazji sprawdzić, czy faktycznie dał radę spędzić tam całą noc, ale sami zaspali. Koło ósmej jego bliscy podnieśli raban, kiedy odkryli, że nie ma go w domu. Podzwonili po jego kolegach i odkryli, co się wydarzyło. Pognali do dworku i znaleźli go nieprzytomnego.

– Co mu się stało?

– Teoretycznie nic. Ocucili go, ale ponieważ nie chciał odpowiedzieć nawet na pytanie, czy nic go nie boli, zabrali go do lekarza. Nie mówił przez parę dni. Przeszedł wszystkie badania, nawet wysłali go do neurologa, na jakieś tomografie i inne testy, ale nic nie wykryli. Po jakimś czasie zaczął mówić, ale za każdym razem, jak wracano do kwestii tego, co go spotkało tamtej nocy w dworku, sprawiał takie wrażenie, jakby ogłuchł. Kompletna blokada.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. – Róża wzruszyła ramionami. – Mógł go ktoś napaść, a nawet wykorzystać. Młodzi ludzie zawsze mają problemy, żeby się do czegoś takiego przyznać, bo uważają, że to wstyd.

– Jak w takim razie wyjaśnić to, że nikt nie chce tu zamieszkać? To piękna posiadłość, stosunkowo mało zrujnowana, wzięwszy pod uwagę, że nikt jej nie odnawiał od kilkudziesięciu lat. Nie trzeba nawet wydawać dużych pieniędzy, żeby ją doprowadzić do całkiem dobrego stanu. A ogród...! Dla samego ogrodu warto byłoby się dokoła tego zakręcić...

– Może to miejsce ma jakieś nieuregulowane kwestie własności? – podsunął Pepe. – Wiele takich starych posiadłości należy do ludzi, którzy siedzą na drugim krańcu świata i nawet nie wiedzą, że je odziedziczyli. Może tak jest i w tym przypadku.

– Nie sądzę. – Barbara pokręciła głową. – Dworek od wieków należy do rodziny Niepołomickich. Podobno kiedyś był w innych rękach, ale nikt już nie pamięta, czyich. Teoretycznie właścicielką dworku jest jakaś starsza pani, ale odkąd pamiętam, to pokazują się tu jedynie dzieci jej brata. Jednak nawet one nie nocują w dworku, tylko w hotelu w centrum miasta albo w Siemiatyczach.

– Powiedziałaś „dzieci” – zauważyła Róża. – Czyli jest ich kilkoro?

– Owszem, dwoje – potwierdziła Barbara. – Rodzeństwo.

– Starzy? Młodzi?

– W naszym wieku. Nie było ich już tutaj... Zaraz, niech pomyślę... – Jodelka zamyśliła się na chwilę. – Na pewno z pięć-sześć lat, o ile nie dłużej. Przed nimi dworek należał do ich dziadka, wojskowego. O ile dobrze pamiętam, pułkownika. Nie wiem, dlaczego dworek po nim odziedziczyła tylko córka. Mieszkała tam ze swoim bratem, ale krótko. Potem on przyjeżdżał tutaj od przypadku do przypadku i nigdy nie zostawał na noc. A jego żona nie pokazała się w Kocierzynie ani na moment. Ta córka mieszkała tutaj przez jakiś czas sama, ale potem też wyjechała. Podobno ze względu na stan zdrowia. To znaczy tak się mówiło. Nigdy mnie to jakoś nie zainteresowało na tyle, żeby dowiadywać się o szczegóły... Mama będzie pamiętać, bo chyba się znały. Czy możemy już wracać?! Proszę.

Róża rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Pepe. Ten obojętnie wzruszył ramionami.

– Długo się stąd idzie do tego dworku? – zapytała, przenosząc wzrok na Barbarę.

– Jakies pięć minut – odpowiedziała Jodelka. – Dzisiaj pewnie trochę dłużej, bo w śniegu. Ale nie więcej niż dziesięć.

– W takim razie my sobie z Pepe zrobimy spacer – zarządziła Krull – a ty podrzuć Dolores do jej właścicielki i czekaj na nas w domu. Postaramy się wrócić jak najszybciej.

– I naprawdę się nie boicie?! – Barbara wyglądała na mocno zdziwioną.

– Złych diabli nie biorą – mruknęła Róża. – Cały czas prosto, tak?

– Tak – potwierdziła Jodelka, nadal patrząc na pisarkę z lekkim niedowierzaniem. – Pod koniec droga trochę skręca w prawo i wtedy trzeba jeszcze przejść jakieś kilkanaście metrów i patrzeć cały czas w lewo, aż zobaczy się ogrodzenie. Brama do posiadłości nie znajduje się przy drodze, ale w tej części ogrodzenia, która biegnie do niej prostopadle. Nie wiem, czy się tam dostaniecie ze względu na śnieg. Ale jakby wam się udało, to potem już jest łatwo, bo od bramy idzie się też cały czas prosto.

– A ta brama jest otwarta? – zapytał Pepe.

– Nie, ale zaraz obok niej jest dziura w murze i jak ktoś nie jest za bardzo gruby, to spokojnie wejdzie. Nawet Róża – dokończyła siłą rozpędu Barbara, po czym dopiero zorientowała się, jaką palnęła gafę. – To znaczy bardzo przepraszam...

– Nie szkodzi – rzekła pisarka z wyraźnym przekąsem. – Przyzwyczyłam się już, że moi znajomi uważają, że można we mnie walić jak w cygański bęben...

– Czemu cygański? – zdziwiła się Barbara.

– No to jakiś tam inny. Peruwiański albo afrykański – poprawiła się Róża. – Nie pamiętam, jaki tam był w oryginalnym powiedzeniu.

– Żaden – poinformował ją Pepe. – Wali się po prostu w bęben. A skoro już mnie ciągasz po tej Arktyce, to zagęścimy ruchy, zanim zamarznię. Baśka do domu! My w drogę!

– Mam nadzieję, że nic wam się nie stanie – westchnęła z troską Jodelka. –

W razie czego dawajcie znaki, to zadzwonię po policję...

– Chyba po egzorcystę – mruknął Pepe.

– Tak czy siak, dawajcie mi znaki. – Barbara mocniej przytuliła do siebie Dolores, po czym niepewnie odwróciła się i zaczęła wracać drogą, którą nadeszli, co jakiś czas zerkając za siebie, jakby się obawiała, że widzi Różę i Pepe po raz ostatni w życiu, i chciała zapisać ich sobie w pamięci.

Ci przez minutę szli w milczeniu, przetrawiając w duchu opowieść przyjaciółki.

– Wierzysz w to? – zapytał w końcu Pepe.

– W duchy? – upewniła się Róża, po czym popatrzyła na niego z politowaniem.  
– Zwariowałeś?

– Nie, nie. Tylko się upewniam.

– W sumie to mogłabym wierzyć, bo połowa moich krewniaczek uważa się za znakomite media. – Róża na chwilę się zamyśliła. – Media czy mediumy? Nie wiem, jak to się odmienia.

– Na pewno mediumy – mruknął Pepe. – A poza tym powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie. Podobno jesteś pisarką...

– Ech, zawsze mam problemy z fleksją – westchnęła Róża. – Ostatnio stoczyłam bój z moją redaktorką, bo mi odmieniała imię naszego kochanego Mario. Niby prawidłowo powinno być „przyszłam z Mariem”.

– Faj! – skrzywił się Pepe.

– No właśnie – Róża pokiwała głową – więc jej powiedziałam, że pewnych słów się nie odmienia, bo to nijak nie brzmi i że słowa „wideo” też nikt nie odmienia poza moją babcią, która zawsze mówiła, że idzie sobie obejrzeć romansa na widele. Wyobrażasz sobie, że zaczynamy odmieniać twoją ksywkę. O kim rozmawiacie? O Pepie. Brzmi, jakbym prowadziła konwersację o śwince.

– À propos świnki. – Pepe zamyślił się, po czym zaczął iść z pochyloną głową, patrząc uważnie pod nogi. – Naprawdę myślisz, że dałaby radę przejść taki kawał drogi i ta krew, czy też inna substancja, którą miała na szczecinie, by jej nie zamarzyła? Ile jest do tego dworku od mieszkania Basi? Kilometr?!

– Najmarniej – potwierdziła Róża. – Też się nad tym zastanawiam. I to mi nijak nie pasuje, choć przecież ciągle idziemy jej śladami.

– Niekoniecznie...

– Jak to? Przecież je widzę!

– Popatrz uważniej i pomyśl logicznie, gwiazdo kryminalistyki!

– Czy wy macie z Darskim jakąś umowę, żeby mnie non stop torturować?! Nic tylko: myśl i myśl! Jakbym się nie dość namyślała przy moich książkach – jęknęła Róża, ale posłusznie też skierowała wzrok pod nogi. – No i co?! Widzę ślady jakichś opon i raciczek Dolores.

– I? – Pepe podniósł głowę i popatrzył na nią wymownie. – Serio, to nie jest trudne.

– Mądryś, bo sam już coś zauważyłeś – westchnęła Róża. – Ale poczekaj. O co ci może chodzić? Że jechał tędy niedawno samochód? To jest podejrzane, bo według Basi nikt tędy nie jeździ, tak? O to?

– Też, ale nie tylko!

– No to co jeszcze?! – zniecierpliwiała się Róża. – Mów do jasnej cholery!

– Jak człowiek idzie i wraca, to co robi?

– Wykazuje się skleroza?! Ma nerwicę natręctw?! – odpowiedziała Krull, pewna, że Pepe robi aluzję do sposobu, w jaki opuszcza ona swoje mieszkanie. Z reguły wyglądało to tak, że pisarka przekręcała klucz w zamku, następnie schodziła kilka stopni po schodach, po czym nachodziła ją obawa, że na pewno nie wyłączyła żelazka, w związku z tym cofała się, aby to sprawdzić. Po kolejnym zamknięciu drzwi wracała już z półpiętra, żeby zobaczyć, czy na pewno zakręciła kran w łazience. Następny powrót wiązał się z kontrolą kurków w kuchence gazowej, mur-beton niedokręconych, które za moment spowodowałyby wybuch rozsadzający cały blok, a może nawet powodujący zawalenie się okolicznych drapaczy chmur z Pałacem Kultury i Nauki, który akurat uwielbiała, na czele. Średnio każde wyjście z domu łączyło się u Róży z trzema, czterema takimi powrotami. Rytuału tego nie zmieniał fakt, że za każdym razem okazywało się, że wszystko wyłączyła, zakręciła i zamknęła. Swój życiowy rekord pisarka pobiła zaledwie dwa dni wcześniej, kiedy to, wyjeżdżając do Kocierzyna, do stałego repertuaru dołączyła także konieczność sprawdzenia stanu lampek na choince (możliwość pożaru), wyłączenia dwóch rozgałęziaczy prądu (zwarcie), wyjęcia wtyczki od suszarki z kontaktu (samozapłon) oraz zatrzaśnięcia drzwiczek lodówki (rozmrózenie się produktów i związana z tym inwazja jakichś nieestetycznych robali). Ponieważ po każdym z takich powrotów musiała odsiedzieć w domu i zabobonnie odliczyć do dziesięciu, zeszła do Stefana z potężnym opóźnieniem, które zdążyło doprowadzić siedzącego za kółkiem pedantycznego i do bólu punktualnego Pepe do stanu bez mała przedzawałowego.

– Jeśli jest tobą, to na pewno – rzekł teraz z politowaniem jej przyjaciel – ale niekoniecznie to mam na myśli. Jeśli idziesz, a potem wracasz, to co zostawiasz... na śniegu?

– Ślady, przecież powiedziałam!

– Jakie?!

I dopiero teraz Krull pojęła nie tylko, o co mu chodzi, ale też jakim wykazała się kretynizmem.

– Podwójne... – wyszeptała w nagłym olśnieniu. – Masz rację! Tu są tylko ślady racic prowadzące do dworku. Nie ma powrotnych. Ale to przecież niemożliwe!

– Nie ma ich od jakiegoś czasu – rzekł Pepe. – Nie wiem, od jakiego. Na początku były, a potem nagle je ucięło. Wydaje mi się, że dokładnie tam, gdzie rozstaliśmy się z Barbarą. Bo do tamtego miejsca szliśmy po śladach powrotnych Dolores, a gdy się pożegnaliśmy, to jak idioci zaczęliśmy iść po tych, wiodących do



dworku. Dostaję przy tobie zaćmienia umysłowego, że wcześniej to do mnie nie dotarło.

– Ale czekaj, no czekaj. – Róża przystanąła i jeszcze raz przyjrzała się śladom, po czym rozejrzała się dokoła, oświetlając latarką kolejne fragmenty niezbyt w tym miejscu już szerokiej drogi. – Może ona wróciła jakąś inną drogą?

– Możliwe – zgodził się Pepe. – Dlatego wróciłbym i zobaczył, z której strony nadeszła. A ty idź powoli w stronę dworku. Dogonię cię za moment!

Krull poczuła się nieco nieswojo. Niezbyt uśmiechało jej się pałętać samopas w ciemnościach, i to w dodatku w pobliżu jakiegoś nawiedzonego miejsca.

– Coś nie tak? – zapytał obserwujący ją uważnie Pepe.

– A nie mogę iść z tobą...?

Kwiatek roześmiał się głośno.

– Boisz się? – spytał z lekkim niedowierzaniem. – Ty, która zawsze opowiadasz na spotkaniach autorskich, jak to w czasie jaśminowej rewolucji w Tunezji uratowałaś tłum protestujących, samodzielnie zatrzymując nacierający na nich rządowy czołg?

Róża zrobiła kwaśną minę.

– Czym w końcu jest jedna mała zjawa wobec opancerzonych wojsk Zina Ben Alego?! – rzekł niewinnym głosem Pepe. – O ile dobrze pamiętam jego nazwisko. Wykazałaś się bohaterstwem wtedy, to i teraz dasz radę!

– Srebrstwem się wykazałam! – zdenerwowała się Róża. – Nic nie zatrzymywałam, tylko szłam sobie na plażę! W moim złotym bikini. I ten dupek, który kierował czołgiem, tak się we mnie zapatrzył, że pieprznął w jakąś kurną chatę, która się na niego zawałiła i zatarasowała drogę.

– Wiedziałem! – krzyknął triumfalnie Pepe, który zawsze podejrzewał, że opowieść Róży jest mocno podkoloryzowana. – Swoją drogą, jesteś chyba jedyną znaną mi osobą, która uważa, że środek rewolucji to idealny czas, żeby się trochę poopalać.

– Zejdź ze mnie! – zażądała Krull. – Nie wiedziałam, że tam jest jakaś rewolucja. Jakbym wiedziała, tobym nawiała. Tak jak teraz. Ciemno tu jak w wąpiach wieloryba i w ogóle jakoś tak nieprzyjemnie. Do tego jeszcze zaraz zaczyna się jakiś las. Wyjdzie z niego niedźwiedź albo inny tygrys ussuryjski i będzie po mnie.

– Gdzie ty w Polsce widziałaś tygrysa?! – Pepe wzniósł oczy ku niebu. – Ten ze *Studni przodków* już dawno zdechl. No dobrze, jak masz tu głupiec, to chodź, cykorze...

Wrócili do miejsca, w którym pożegnali Barbarę, i dokładnie je zbadali, popadając przy okazji w lekkie zdumienie. O ile bowiem ślady Dolores, prowadzące w stronę dworku, były dość wyraźne, o tyle powrotne zaczynały się dopiero tam, gdzie droga krzyżowała się z inną, stanowiącą miniobwodnicę Kocierzyna.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekła z niezadowoleniem Róża. – Wygląda to tak,

jakby Dolores poszła do dworku, a następnie przefrunęła część drogi powrotnej, wylądowała tutaj i dopiero zaczęła iść.

Pepe pokręcił głową.

– Moim zdaniem ktoś ją podwiózł – rzekł, wpatrując się w drogę. – Samochodem.

– Jasne – mruknęła Krull. – Zmęczyła się, więc złapała stopa, który ją kawałek podrzucił. Zgłupiałeś?

– Kiedy tak to właśnie wygląda! Przyjrzyj się. – Oświetlił fragment drogi, nad którym chwilę wcześniej się zatrzymał. – W tym miejscu ślady opon są wyraźniejsze i głębsze. Ktoś tu stanął, po czym ruszył. Jak się dobrze przypatrzysz, to zobaczysz, że w tym samym miejscu zaczynają się też ślady racic. Dolores musiała być zdezorientowana, bo najpierw długo dreptała w kółko, żeby potem ruszyć w stronę domu Basi.

Róża przypomniała sobie czasy, kiedy należała do harcerzy. Zapisła się do nich tylko dlatego, żeby spędzić czas przy ognisku z przystojnym harcmistrzem, w którym się durzyła. Aby pojechać z nim na obóz, musiała, rzecz jasna, wziąć udział w jakichś zajęciach i zdobyć jakieś sprawności. Tropienie śladów zawsze było jej piętą achillesową. Jak raz zaczęła tropić w lesie stado jelenków, to wyprowadziła pół hufca wprost do pobliskiej lodziarni „Leśny Mróz”, gdzie wszyscy się zatruli salmonellą.

– Wierzę ci na słowo – zapewniła Pepe. – Co z tego wynika?

– Nie mam pojęcia – Pepe wzruszył ramionami – ale przynajmniej rozumiem już, dlaczego dalej są tylko pojedyncze ślady. Nie dawało mi to spokoju.

– A to ponoć ja jestem dziwna – mruknęła pod nosem Krull.

– Słucham?

– Nic, nic! Możemy już iść do tego dworku, zanim mój nos do reszty się odmrozi i odpadnie? Wolałabym nie przypominać Michaela Jacksona z ostatnich lat jego życia!

Droga do miejsca, w którym natknęli się na ogrodzenie w postaci wysokiego na mniej więcej dwa metry i wyraźnie nadgryzionego zębem czasu murku, zajęła im siedem minut. Pomni wskazówek danych im przez Barbarę, skręcili w lewo. Ku ich zdziwieniu okolice murku, prowadzące aż do bramy, były starannie odśnieżone. Znajdowały się tam też ślady butów, wskazujące, że nie tak dawno drogę tę przemierzyły, i to nie jeden raz, dwie osoby. Samo wejście na teren posiadłości zamknięte było na głucho za pomocą łańcucha spiętego kobylistą kłódką. Zgodnie jednak z tym, co powiedziała Jodelka, obok bramy znajdowała się dziura w murze. Pepe przeszedł przez nią swobodnie. Róża nieco mniej, a dodatkowo z niepokojem, że jak się po drodze zaklinuje, to będzie to tematem żartów i aluzji aż do sylwestra. Przyszłego. Albo jeszcze i następnego.

– Imponujące! – rzekł Pepe, patrząc z podziwem na oświetlony blaskiem księżycy potężny obiekt. Do piętrowego dworku wchodziło się przez ganek

zwieńczony trójkątnym frontonem opartym na dwóch kolumnach i ozdobionym kwiatowymi rzeźbiarskimi dekoracjami. Ogromne okna częściowo zabite były dyktą, a częściowo oszklone. Pepe naliczył ich na każdym z pięter dwanaście.

– Toż to cały pałac! – zdumiała się równie co jej przyjaciel zauroczona widokiem Róża. – Ile osób mogłoby tu zamieszkać?

– Tak z pół Kocierzyna spokojnie – mruknął Kwiatek, wchodząc na ganek i podchodząc do mocno zniszczonych drzwi. Nacisnął klamkę, która ku jego zdziwieniu bez problemu ustąpiła.

– Możemy wejść?! – Róża popatrzyła na niego niepewnie. – Myślisz, że nie ma tu alarmu?

– Basia nic nie mówiła o żadnym alarmie...

– Bo może nie przewidziała, że będziemy próbowali się włamywać!

– Dlaczego zaraz włamywać? – Pepe wzruszył ramionami. – Przecież jest otwarte! Poza tym po co mielibyśmy się włamywać, skoro jeśli nawet było tu kiedyś coś wartego kradzieży, to już lata temu zostało wyszabrowane?

– Niby tak – Róża nadal nie wydawała się przekonana – ale jakoś tak głupio wchodzić tak bez zaproszenia.

– To zapukaj – Pepe popatrzył na nią kpiąco – może ktoś ci otworzy. Na przykład ta Biała Dama, co tu straszy...

– Musiałeś mi o tym przypomnieć? – rzekła Róża z wyrzutem. – W międzyczasie udało mi się ją wyrzucić z głowy, a teraz znów się boję.

– Jak chcesz, to możesz tu zostać i poczekać – zaproponował Pepe, uchylając drzwi. – Ja wchodzę! Chcę zobaczyć, jak to wygląda w środku!

– Pewnie pusto i smutno – westchnęła Róża, robiąc krok w stronę swojego przyjaciela – jak każda ruina. Gdy byłam w takim jednym zamku na Kaszubach, co to go jakiś facio zakochany w średniowieczu zaczął budować, a potem zabrakło mu kasy, to wewnątrz też nic nie było. Tylko w sali balowej na środku spał jakiś wariat. Gdy go obudziliśmy, zaczął na nas krzyczeć, że jest królem Wacławem Czeskim i za zakłócenie mu snu skazuje nas na ścięcie toporem. I że zaraz własnoręcznie wykona wyrok. Na szczęście był tak pijany, że nawet nie mógł wstać, a co dopiero udźwignąć topór. Cóżeś tak zamarł?

Pepe stał w otwartych drzwiach i sprawiał wrażenie skamieniałego. Róża, która znalazła się za jego plecami, stanęła na palcach i spojrzała mu przez ramię, po czym też zamieniła się na dłuższą chwilę w żonę Lota. Powodem czasowego wyłączenia się funkcji życiowych obojga był widok, jaki rozciągał się przed ich oczami. Na środku przestronnego holu znajdowała się potężna dziura, obok której leżał okazałych rozmiarów kilof. Światło z latarki Pepe padało prosto na niego i nie trzeba było specjalnie wysilać wzroku, aby dostrzec, że po jednej stronie jego stylisko jest całe czerwone. Nie to jednak było najgorsze. To, co zmroziło krew w żyłach Pepe i Róży, oświetlał snop światła padający z latarki trzymanej w dłoniach przez pisarkę. Skulone ciało, przekrzywiona nienaturalnie

głowa i nieruchome oczy, wpatrzone w przestrzeń należały do młodego człowieka, który leżał u podnóża szerokich schodów prowadzących na pierwsze piętro.

Choć stali od niego w odległości kilku metrów, Pepe i Róża nie mieli żadnych wątpliwości.

Chłopak nie żył.

## ROZDZIAŁ II

### MORDERSTWO CZY WYPADEK?

Podkomisarz Eustachiusz Fronczak odkręcił korek służbowego termosu i przelał z niego odrobinę parującego napoju do dwóch plastikowych kubeczków. Jeden z nich podał siedzącej na tylnym fotelu radiowozu i szczękającej zębami, zarówno z zimna, jak i emocji, Róży, a drugi jej byłemu agentowi stojącemu przy otwartych tylnych drzwiach tegoż auta. Jedynie wstrząsem wywołanym znalezieniem zwłok można było wytłumaczyć fakt, że Pepe nie zaprotestował przeciw użyciu czegoś tak szkodliwego dla planety jak naczynie z plastiku. Z reguły bowiem wszystkie rzeczy wykonane z tego tworzywa traktował z większym obrzydzeniem niż wampir główkę czosnku, a gdy kiedyś Krull uraczyła go na urodziny kolorową plastikową michą wielkości pozwalającej spokojnie wykąpać w niej bawoła, to o mało co nie zrzucił jej ze schodów.

– Czy on na pewno nie żyje...? – zapytała Róża, upiwszy odrobinę napoju, który smakował jak zupa jabłkowa, tyle że z dodatkiem czegoś dziwnego, czego nie potrafiła rozpoznać.

– Przecież mówiłem ci, że nie miał pulsu. – Pepe uprzedził podkomisarza. – Tylko w twoich powieściach ktoś, kto nie ma pulsu, trzy rozdziały dalej bierze ślub.

– Oj, raz mi się zdarzyło. – Róża, której faktycznie raz udało się, ku zdziwieniu poprawiającej jej powieść pani redaktor, utłuc jedną z bohaterek, a następnie zapomnieć o tym i kilkadziesiąt stron dalej wydać ją za mąż, wzruszyła obojętnie ramionami. – Poza tym i tak to nie poszło do druku, więc niepotrzebnie ci o tym mówiłam. Więc...?

Znów skierowała wzrok na nowego komendanta w Kocierzynie, rekomendowanego na to stanowisko przez narzeczonego jej agentki po tym, jak kilka tygodni temu jego ówczesny przełożony komisarz Marek Grad musiał w przyspieszonym tempie przejść na niezasłużoną emeryturę. Wiązało się to z ujawnieniem jego niechlubnej roli w tuszowaniu pewnego wypadku samochodowego, do odkrycia czego Róża, w swoim mniemaniu, aktywnie się przyczyniła.

„Ciekawe, skąd oni biorą takie ciacha?“, pomyślała. Narzeczonego jej agentki, co musiała mu sprawiedliwie oddać, wyglądał jak żywcem wyciągnięty z typowego amerykańskiego serialu o dzielnych policjantach, do którego, jak wiadomo, obsadę rekrutuje się nie po talencie, ale po tym, jak będzie się prezentowała bez munduru tudzież innych części garderoby. Wszyscy znajomi twierdzili, że wygląda jak kopia Matta Bomera. Poprzedni komendant w Kocierzynie

przypominał jej za to nieco bardziej swojsko Bogusława Lindę za młodu, a ten nowy prezentował się jak brat bliźniak Mateusza Damięckiego.

– Tak? – policjant popatrzył na nią pytająco. – Pani o coś pytała?

– Owszem – potwierdziła Róża, hamując się przed wygłoszeniem pytania, czy jej rozmówca jest spokrewniony z gwiazdorem *Przedwiośnia*. – Ten mężczyzna w dworku na pewno nie żyje?

Podkomisarz pokiwał głową.

– Niestety tak – potwierdził.

– A kim on jest? To znaczy był... – Róża znów chlapnęła sobie trochę napoju. – Wiadomo?

– Tak. To kocierzanin, Jarek Klin – poinformował ze smutkiem Fronczak, sprawiając takie wrażenie, jakby najbardziej tego wieczoru zabolął go fakt, że znaleziony nieboszczyk jest miejscowy, a nie przyjezdny. – Pracuje... To znaczy pracował jako kustosz w naszym lokalnym Muzeum Ziemi Podlaskiej. Bardzo miły chłopak. Choć też trochę narwany. Odkąd pamiętam, miał skłonności do fantazjowania i bujania w obłokach. Od małego fascynowały go opowieści o jakichś ukrytych skarbach, zaginionych obrazach czy rzeźbach, drogocенnościach, które przepadły bez śladu na przestrzeni wieków. Szukał ich po całym kraju, miał w domu setki map, książek, jakichś starych przewodników, artykułów prasowych. Studiował historię sztuki na uniwerku w Białymstoku, ale potem wrócił do Kocierzyna. Jego ojciec zmarł, kiedy Jarek był jeszcze w kołysce, więc mieszkał tylko z mamą. Podzielili rodzinny dom między siebie. Do niego należało piętro, do niej parter. Kiedyś, gdy z nią rozmawiałem, to powiedziała, że ma zakaz wstępu do pokoiów syna po tym, jak spróbowała zrobić mu porządek w jego składzie makulatury, i że jest pewna, że niebawem załęgną się tam mole.

– Nie zazdroszczę panu tego, że będzie ją pan musiał zawiadomić o śmierci syna – westchnęła Róża, patrząc na niego ze współczuciem. – Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakich słów można użyć w takim momencie...

– Nie będę musiał – odrzekł Fronczak. – Mama Jarka zmarła miesiąc temu. Od kilku lat miała spore problemy ze zdrowiem. I tak pożyła dłużej, niż spodziewali się lekarze...

– Nie chciałabym zabrznieć bezdusznie – szepnęła Róża – ale może to i lepiej, że nie dożyła tego dnia.

– Na pewno lepiej – zgodził się podkomisarz.

Przez chwilę cała trójka milczała, patrząc na kilku członków policyjnej ekipy zabezpieczających ślady wokół dworku. Pozostali znajdowali się wewnątrz budynku, ale ich poczynania z miejsca, w którym siedziała, Róża niestety nie mogła zobaczyć, nad czym zresztą bardzo ubolewała, bo niewątpliwie takie obserwacje przydałyby się jej do kolejnej książki. Nieco zrezygnowana, znów skosztowała zaserwowanego jej przez Fronczaka napitku.

– Co to za napój? – zapytała w końcu z ciekawością. – Całkiem nieźle smakuje.

To coś lokalnego?

W tym momencie podkomisarz został przyzwany głośnym rykiem przez przybyłego niedawno ważniaka w garniturze, który, oceniając po tym, że nie raczył się z nikim przywitać i w ogóle sprawiał wrażenie nadętego bufona, z pewnością musiał być prokuratorem. Krull miała już w swoim życiu kilka razy do czynienia z przedstawicielami tego zawodu i prawie za każdym razem, kiedy trafiała na faceta, to był on ucieleśnieniem słowa „kabotyn”. Co ciekawe, panie prokuratorce stanowiły dokładne przeciwieństwo swoich kolegów po fachu i wykazywały się nie tylko kulturą osobistą, ale też – co Róża jako urodzona feministka odnotowywała z ogromną przyjemnością – zdecydowanie większymi kompetencjami zawodowymi i wiedzą prawniczą.

– To szczołok – zawiadomił ją Fronczak, otwierając swoje drzwi i szybko wysiadając z samochodu. – Cała moja rodzina dzisiaj coś do niego dolewała. Cieszę się, że zasmakował. Zostawiam wam termos. Dolejcie sobie, jeśli będziecie mieli ochotę! Na zdrowie!

Oddalił się w stronę, z której dobiegł ryk.

– Co on powiedział? – spytała niepewnie Róża. – Co to jest?!

– Szczołok – powtórzył z uprzejmym uśmiechem Pepe.

– Ale co to znaczy? – Krull, pomna faktu, że największą pasją jej przyjaciela są kulinaria i że w związku z tym zna chyba wszystkie potrawy i napoje świata, popatrzyła na niego pytająco.

– Nie wiem – Pepe rozłożył ręce i pokręcił głową – ale wnosząc z nazwy, to najpewniej ktoś do tego nasikał.

Róża poczuła, jak wypity trunek gwałtownie wraca jej pod gardło.

– Sama słyszałaś – dodał szybko Pepe. – Rodzina podkomisarza lała tam przez cały dzień...

Róża zamarła, wpatrując się w kubeczek z żółtawym płynem z miną dziecka, które uświadomiło sobie, że zamiast ulubioną oranżadką rodzice poją je „Vibovitem”.

– Ale że...? – zaciekawiał się Pepe. – Co cię tak dziabnęło? Przecież piłaś kiedyś przez kilka dni ocet jabłkowy, żeby schudnąć i wcisnąć się w sukienkę drużyny. Co prawda potem zeżarłaś państwu młodym pół tortu weselnego, łącznie z figurkami z lukru, ale i tak powinnaś być uodporniona. Nie wyobrażam sobie niczego gorszego w smaku niż ocet!

– Ale jak to... nasikał...? – jęknęła zamierającym głosem Róża.

– No, to jest Podlasie – wyjaśnił Kwiatek takim tonem, jakby mówił o czymś oczywistym. – Oni tu mają takie swoje lokalne dziwactwa...

Przez chwilę poobserwował z wyraźnym politowaniem, jak bladość na licu pisarki zmienia się powoli w zieleń z odcieniem pomarańczy.

– Ja mam z tobą sto światów i jeden maleńki – rzekł wreszcie z łagodną rezygnacją. – Szczołok to zwykły kompot owocowy. Na Wigilię przygotowuje się

na Podlasiu jego specjalną wersję z suszonych jabłek z dodatkiem rokitnika, śliwek suszonych i różnych innych składników. Na pewno ci nie zaszkodzi.

– To co mnie straszysz! – Róża popatrzyła na niego z wyrzutem. – Już chciałam lecieć w krzaki i to zwracać!

– Jak ciebie łatwo nabrać – westchnął Pepe, po czym spojrzął na ekranik komórki wyświetlający godzinę. – Dziesiąta. Ciekawe, kiedy nas puszcza.

– Też bym już stąd poszła – przyznała Róża. – Trzeba iść i zapytać tego nadętego, bo to chyba zależy od niego.

Wysiadła z radiowozu i udała się w stronę dworku. Domniemany prokurator stał na ganku pogrążony w rozmowie z podkomisarzem. Na widok Róży jakby lekko się zachłysnął.

– Nie powiedziałeś mi, że mamy tu gwiazdy literatury kryminalnej – rzekł z wyrzutem do Fronczaka. – Pani Róża Krull, prawda?

– Tak. – Mocno zdziwiona pisarka wyciągnęła do niego rękę. – Czy my się już kiedyś poznaliśmy? Bo szczerze mówiąc, nie przypominam sobie. Jeśli tak, to z góry przepraszam, ale jestem w szoku i nie myślę teraz jasno...

– Teraz! – prychnął stojący za nią Pepe. – Dobrze sobie...

– Waldemar Łucki – przedstawił się prokurator. – Nie, nie mieliśmy okazji się jeszcze spotkać, ale trudno pani nie rozpoznać. No i bardzo dużo o pani słyszałem od mojego kolegi z Warszawy. Państwo chyba się dobrze znacie. To komisarz Krzysztof Darski.

„No jakżeby inaczej”, pomyślała Róża. „Tylko tego mi jeszcze, kurwa, brakowało”.

– Tak, znamy się – potwierdziła z rezygnacją – i bardzo lubimy.

– Chcesz, żeby cię od razu zatrzymali za składanie fałszywych zeznań? – szepnął jej do ucha Pepe.

– Wiem, wiem – zapewnił prokurator, postanawiając przemilczeć fakt, że w czasie ich ostatniej rozmowy, gdy przez przypadek zeszło na temat pisarki, Darski wygłosił długą tyradę o pięknie średniowiecznych zwyczajów, nakazujących takim wieźmom jak Róża przywiązywać kamień do szyi i wrzucać je do głębokiej wody, najlepiej dla pewności wypełnionej piraniami. – On też wyrażał się o pani w samych superlatywach.

– To miłe – szepnęła Róża, nie wierząc w ani jedno słowo. – Chcieliśmy zapytać, jak długo to wszystko jeszcze potrwa i czy nasza obecność jest konieczna. Bo szczerze mówiąc, chętnie byśmy już się ogrzali w domu i trochę odreagowali.

– To państwo znaleźli zwłoki? – upewnił się prokurator. – Czy coś niecodziennego zwróciło tutaj waszą uwagę?

– Poza nieboszczykiem? – upewnił się Pepe. – I dziurą w posadzce? Chyba nie... Aczkolwiek...

– Tak, słucham. – Łucki popatrzył na niego badawczo.



– Ten kilof – rzekł z zakłopotaniem Pepe. – Był w czerwonych plamach. Wydawało mi się, że jest narzędziem zbrodni, ale to chyba niemożliwe, bo ten chłopak nie miał żadnych krwawych śladów. To znaczy, może miał, tylko nie było ich widać. Jak ktoś obrywa w głowę kilofem i na narzędziu widać krew, to chyba powinna też zostawić jakiś ślad dokoła nieboszczyka. A wokół niego nie było żadnej plamy.

– Widzę, że jest pan spostrzegawczy – pochwalił prokurator. – Tak, to dziwne, ale ze wstępnych ustaleń wynika, że dostrzeżony przez państwa kilof nie miał nic wspólnego ze śmiercią denata. Coś jeszcze?

– Zbadaliście Dolores? – zapytała Róża.

– Świnkę? – Wbrew jego wyraźnym staraniom na twarzy prokuratora pojawił się uśmiech. – Tak, nasz technik pojechał do pani Dżessiki i pobrał próbki. Dobrze, że mieliście państwo na tyle przytomności umysłu, żeby szybko zawiadomić panią Bąk o tym, co zaszło, bo jeszcze kilka minut i świnka zostałaby wykąpana, a ewentualne ślady by przepadły. Za to należą się państwu nasze ogromne podziękowania. Widać w tym doświadczenie, w pełni godne bestsellerowej autorki powieści kryminalnych. No i oczywiście zimną krew! Czapki z głów!

– Dziękuję bardzo – szepnęła niepewnie Krull, starając się choć na moment zapomnieć, że na widok zwłok dostała histerycznego ataku, zasłoniła sobie oczy i zaczęła się wycofywać rakiem z ganku, a chwilę potem przeleciała tyłem przez drewnianą balustradę, lądując w zaspie śnieżnej, z której litościwie wyciągnął ją Pepe. I że to jej przyjaciel błyskawicznie połączył się z Barbarą, której kazał w tę pędy biec do Dżessiki i czekać z Dolores na przybycie policji. – Cieszę się, że udało nam się pomóc w śledztwie.

– Będę wdzięczny, jeśli pierwszego dnia po świętach zgłosicie się państwo na komisariat – rzekł prokurator – a dzisiaj jesteście już wolni.

Pepe pokiwał głową, po czym, pożegnawszy się z podkomisarzem i prokuratorem, wyciągnął komórkę i wysłał SMS do Basi. Ta podjechała pod dworek w ciągu paru minut.

– Jarek Klin nie żyje? – Poznawszy tożsamość nieboszczyka, Jodełka wyglądała na wstrząśniętą. – Jesteście pewni?!

– Tak powiedziała policja, więc chyba nie ma żadnych wątpliwości – poinformowała ją Róża. – A co? Znałaś go?

– Oczywiście! – Basia ruszyła w stronę domu. – Wszyscy się tu dobrze znamy, jak to w małym miasteczku. A Jarek w dodatku pracował w muzeum, organizował pikniki historyczne, akcje dla młodzieży, koncerty. Nie było chyba osoby, która nie wiedziałaby, kim jest. Biedna Patrycja... No i Maciuś...

– Kto? – zaciekała się Róża.

– Patrycja Dworzak to jego narzeczona – wyjaśniła Barbara. – Mieli się pobrać na wiosnę. Wolę sobie nawet nie wyobrażać, jak przyjmie wiadomość o jego

śmierci! A Maciuś Sobieraj był jego najlepszym kumplem. Od dzieciństwa byli nierozłączni... Naprawdę, nie mogę w to wszystko uwierzyć. Co się z nim stało? Jakiś wypadek?

Pepe chciał zaprzeczyć, ale w tym momencie uświadomił sobie, że tak naprawdę nie jest to do końca jasne.

– Nie wiemy – odpowiedział.

Róża spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Przecież nie umarł sam z siebie – rzekła stanowczo. – Ktoś mu pomógł!

– Chyba nie możemy być tego pewni... – Pepe zastanowił się przez moment. – Pomyśl... Znaleźliśmy zwłoki, fakt. Ale nie zauważyliśmy niczego, co mogłoby być przyczyną śmierci. Nie było żadnych śladów krwi.

– Były – zaprotestowała Róża. – Na kilofie!

– Który leżał daleko od ciała i który według tego, co powiedział prokurator, nie miał nic wspólnego ze śmiercią tego chłopaka – przypomniał Pepe – więc moim zdaniem nie możemy być pewni, że to było morderstwo. Wiem, że wolałabyś, żeby było inaczej...

– Jasne! – prychnęła Róża z oburzeniem. – Bo ja to nic innego nie robię, tylko od rana do wieczora marzę o morderstwach!

– Takie sprawiasz wrażenie – mruknął Pepe. – W tym przypadku równie dobrze śmierć może być skutkiem wypadku. Ten chłopak mógł spaść ze schodów.

– Albo... – wtrąciła Barbara nieco drżącym głosem. – Załatwiła go ta zjawa!

– Jaka zja... – zaczęła Róża, ale błyskawicznie udało jej się opanować sklerozę. – Biała Dama, która tam niby straszy?! Mam nadzieję, że żartujesz?

– Tak, tak, no jasne, że żartuję... – potwierdziła Basia wbrew temu, co myślała, po czym ciężko westchnęła. – Mam tylko nadzieję, że to naprawdę był wypadek. Jakoś nie chciałabym, żeby znów się okazało, że grasuje tu morderca. W końcu to jest spokojna miejscina na końcu świata, a nie Los Angeles!

Kilka tygodni wcześniej w Kocierzynie zabito burmistrza. To właśnie przy tej ponurej okazji Barbara poznała Różę i Pepe, choć teraz miała wrażenie, że przyjaźnią się już od wielu lat.

– A jak sytuacja w domu? – zaniepokoił się Pepe.

– Mama i ciocia o mało co się nie pozabijały. – Barbara przewróciła oczami. – Gdy wróciłam od Dżessiki, to tak na siebie wrzeszczały, że wpadłam w panikę i na wszelki wypadek sprzątnęłam ze stołu wszystkie noże i widelce. Łyżki wydawały mi się niegroźne, ale niestety się pomyliłam, bo jak mama walnęła jedną w talerz dla podkreślenia swoich słów, to rozwalila i jedno, i drugie. Potem obie się nadeęły, bo ciocia powiedziała do mamy, że chyba jest adoptowana, gdyż w naszej rodzinie nigdy nie było przypadków aż tak kosmicznego debilizmu. Teraz ciocia śpi, bo musi jutro rano ruszyć w drogę, a mama klęczy w mojej sypialni pod plakatem Jima Morrisona i zmawia nowennę do świętej Rity w intencji przywrócenia swojej siostrze rozumu i wiary.

– Pod czym klęczy?! – zdumiała się Róża.

– Pod plakatem Jima Morrisona – powtórzyła Barbara. – Pólnagiego. Przywiozłam go sobie z Paryża i oprawiłam w ramy.

– Ale dlaczego pod nim klęczy?!

– Bo myśli, że to Zbawiciel – westchnęła Barbara. – Nie wyprowadzałam jej z błędu, bo po co? Zawsze, kiedy u mnie jest, to się pod nim modli.

Różę lekko zatkało.

– Czyli nic nie wiedzą? – upewnił się Pepe.

– Nie i lepiej, żeby tak było, jak długo się da – rzekła Barbara – bo inaczej ciocia będzie chciała zostać. To taka sama sensatka jak... – Ugryzła się w język.

– Jak ja? – Róża odzyskała głos. – Pewnie dlatego polubiłyśmy się od pierwszego spojrzenia.

– No tak, macie coś podobnego w charakterach – zawyrokowała Jodelka. – Ciocia też zawsze się pcha w to, od czego każdy inny człowiek uciekałby gdzie pieprz rośnie. A mama... No cóż, może uda mi się zachować przed nią śmierć Jarka w tajemnicy do końca świąt. Bo inaczej wszystko będzie jej leciało z rąk i przerobi Boże Narodzenie w totalny kataklizm. Ty, Pawelku, musisz jechać?

Kwiatek miał wieczorem ruszyć na Śląsk, aby oba świąteczne dni spędzić ze swoimi rodzicami.

– Tak – odpowiedział, zastanawiając się, które wyjście z sytuacji jest gorsze: odwołanie wizyty w rodzinnym domu i narażenie się na gniew rodziców czy też zostawienie Róży samej w miejscu, gdzie znowu wydarzyło się coś sensacyjnego. Znając bowiem swoją przyjaciółkę, był pewny, że zaangażuje się ona w sekundę w śledztwo, komplikując życie sobie i niezliczonej liczbie innych osób tudzież narażając swoje zdrowie, a może nawet życie, jeśli faktycznie mają do czynienia z kolejnym morderstwem. W sumie wcale by się nie zdziwił, gdyby wydarzyła się kolejna zbrodnia, bo przecież do czego jak do czego, ale akurat do nich Róża miała wyjątkowe szczęście. A raczej pecha. – Ale obiecuję, że wrócę już za trzy dni.

Dojechali do domu Barbary. Pepe pobiegł na piętro po swój bagaż. Po drodze uściskał serdecznie Cecylię, z którą wzajemnie się uwielbiali, i ucałował Barbarę, która wręczyła mu termos z gorącą kawą. Po chwili wyszedł z domu, włożył niewielką walizkę do bagażnika, zatrzasnął klapę i popatrzył z niepokojem na stojącą przy Stefanie Różę.

– Błagam, obiecaj mi, że podczas mojej nieobecności nie zrobisz nic głupiego – poprosił, wyciągając do niej rękę. – Nawet jeśli okaże się, że to nie był wypadek.

Róża zignorowała jego dłoń. Zamiast ją uścisnąć, zrobiła krok i objęła Pepe. Kwiatek, choć nie mogła tego zobaczyć, miał taką minę, jakby nagle Krull porwała go do odtąnczenia kujawiaka. Nie bez przyczyny! W czasie ich trwającej już z dobre dziesięć lat znajomości, pisarka po raz pierwszy zdobyła się na tak ciepły gest. O ile bowiem, mimo wypowiedzianych pod swoim adresem ciągłych złośliwości, od zawsze łączyła ich głęboka przyjaźń, o tyle żadne przytulania czy

inne czułości nie wchodziły między nimi w rachubę. Przez cały ten czas Róża tylko kilka razy musnęła Pepe w policzek przy okazji składania mu życzeń urodzinowych. Ten zaś odwzajemnił jej się kilkukrotnym pogłaskaniem po ramieniu w tych chwilach, kiedy Róża z jakichś tam przyczyn wpadała w rozpacz i trzeba było ją pocieszyć.

– Obiecuję – szepnęła mu do ucha, po czym, odsunąwszy się, dodała: – Ucałuj ode mnie panią Irenkę i pana Piotra. I proszę, jedź ostrożnie, i wysyłaj mi SMS-y co jakiś czas, bo na razie nie zamierzam kłaść się spać!

– Dobrze, babciu Rózo. – Pepe wsiadł do auta. – Będę się meldował niczym nastolatek, którego rodzice wypuścili na pierwszą randkę.

– Grzeczny chłopiec – rzekła Róża, po czym otworzyła mu bramę, a kiedy wyjechał, wyszła na drogę i machała tak długo, aż zniknął jej z oczu.

Westchnęła, zamknęła bramę i wolnym krokiem udała się w stronę domu.

– Tak sobie myślę... – rzekła, siadając za stołem ustawionym pośrodku oszklonej i ocieplonej kilkoma farelkami werandy, i krojąc sobie okazałą porcję kulebiaka. – Wybieracie się na pasterkę?

– Oczywiście! – odrzyknęła z Basinego pokoju Cecylia, nadal modląca się tam do wizerunku półnagięgo lidera grupy The Doors.

– A będą tam ludzie, którzy znali nieboszczyka...? – Róża ściszyła głos, patrząc pytająco na Barbarę.

Ta zastanowiła się przez chwilę.

– Na pewno będzie jego szef, dyrektor muzeum, Sebastian Janiszewski – stwierdziła niepewnie. – To znaczy powinien być, bo nigdy nie przegapił żadnej pasterki. Razem z nim pewnie przyjdzie jego córka Elwira, która kiedyś chodziła z Jarkiem. To było tuż po ich powrocie ze studiów. Co prawda, nie trwało to długo, jakieś parę miesięcy. Kto tam jeszcze? Będzie też nowa bibliotekarka, Joasia Złocińska.

– Nowa? – zdziwiła się Róża. – A co się stało z Dorotą?!

– Dostała propozycję czasowej pracy w wydawnictwie w Warszawie. Na zastępstwo, przez pół roku. Zaproponowali jej tak dobre warunki finansowe, że musiałaby upaść na głowę, żeby się nie zgodzić. No i poprosiła Joasię, żeby ją zastąpiła.

– I, jak rozumiem, ta Joasia znała Jarka?

– Kiedyś byli ze sobą bardzo blisko. Tak po przyjacielsku. Ale potem, jakoś tak wiosną zeszłego roku, o coś się pokłócili i przestali się do siebie odzywać. Nawet sobie „dzień dobry” na ulicy nie mówili. Żadne nie chciało zdradzić, o co im poszło, choć, jak się domyślasz, miejscowe kumoszki próbowały to z nich wszelkimi sposobami wyciągnąć. Ale poniosły sromotną klęskę.

– No więc... – Róża musiała chwilę powalczyć z własną twarzą, bo udało jej się dokumentnie zakleić sobie jamę ustną wepchanym tam i najwyraźniej źle obliczonym kęsem kulebiaka. – Może poszłabym z wami? I jakby się udało, to

przedstawiłabyś mnie tym wszystkim ludziom?

Barbara, której Pepe zdążył w czasie pożegnania szepnąć: „Tylko nie daj tej wariatce popełnić jakiegoś kolejnego kretynizmu”, popatrzyła na pisarkę niepewnie.

– Chce ci się? – zapytała nieśmiało, zastanawiając się w panice, jak wypełnić polecenie Kwiatka i odwieść Różę od jej pomysłu. – Tak późno? Może lepiej zostań w domu i wyśpij się po tych wszystkich stresach. Tak będzie najlepiej! Zaraz ci pościelę!

Krull zmrużyła oczy. Była pewna, że ten niespodziewany bunt Jodełki zawdzięcza kreciej robocie swojego byłego agenta. Na szczęście szybko znalazła sposób, aby postawić na swoim.

– Przecież tu chodzi o zbawienie mojej duszy! – wrzasnęła głosem godnym Walkirii.

Zgodnie z jej przewidywaniem ryk, a właściwie jego treść, błyskawicznie zwabił na werandę Cecylię.

– Co się stało? – zapytała gospościa Róży.

– Chciałam iść na pasterkę – rzekła pisarka niewinnym tonem – ale Basia uważa, że to niedobry pomysł...

– A to niby dlaczego?! – ryknęła Cecylia, uradowana możliwością przyciągnięcia na łono katolicyzmu takiej grzesznicy jak Róża, co zakrawało na wyczyn na miarę nawrócenia się na chrześcijaństwo cesarza Konstantyna Wielkiego. A może nawet i większy, bo w końcu rzymski władca zrobił to dopiero na łożu śmierci, a Krull jako żywo w kwiecie wieku. – Co to za jakieś fantasmagorie?! Jeśli pani Różyczka chce iść do kościoła, to pójdzie, i nie życzę sobie słyszeć ani słowa protestu. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło?! To pewnie te wszystkie podróże tak ci zaszkodziły. Nie chcę już nigdy więcej słyszeć, że jedziesz do jakiegoś pogańskiego kraju!

– Jakiego znowu pogańskiego kraju?! – jęknęła Barbara.

– Gdzie to tam ostatnio byłaś na wakacjach?! – Skierowane na córkę oczy Cecylii miały pioruny. – W Turcji?! O, proszę, i od razu są efekty! Po co tam w ogóle jeździć?! Jakbyś nie mogła sobie zjeść kebaba w budzie u starego Paździerzaka na rynku! To nie! Trzeba się tłuc do Saracenów, żeby cię tam jeszcze przekabacili na islam i żebyś potem pięć razy dziennie rozkładała na podłodze jakiś stary dywanik i mamrotała w stronę Mekki! Nie życzę sobie żadnej dyskusji! Idziemy do kościoła, żeby się pomodlić o twoje zbawienie. I zabieramy panią Różyczkę z nami!

Krull, wykorzystując okazję, że Cecylia odwróciła się do niej plecami, pokazała Basi język.

Dokładnie pół godziny później wszystkie trzy ruszyły wśród znów radośnie spadających płatków śniegu w stronę kościoła...

## ROZDZIAŁ III

### PASTERKA

Pojawienie się na mszy znanej już znakomicie mieszkańcom Kocierzyna Róży wywołało prawdziwe poruszenie. Wstrząśnięty poczuł się nawet ksiądz, doskonale znający dość dalekie od nauk Kościoła poglądy pisarki. Wypatrzywszy w tłumie oblicze Krull, potknął się z wrażenia na schodkach do ambony, nabral impetu i o mały włos nie przeleciał przez nią na wylot i nie wylądował głową w stojącej pod spodem ogromnej marmurowej chrzcielnicy. Następnie zapomniał, o czym miał mówić tej nocy podczas kazania, i zamiast przygotowanej wcześniej przemowy o wdowim groszu, stanowiącej ukrytą aluzję do coraz większego skąpstwa jego parafian, wygłosił płomienną tyradę o tym, że nawet „najbardziej zdegenerowane moralnie jednostki”, które „przez lata ulegały podszeptom szatana” i „brały demonstracyjny udział w tak niemiłych każdemu wierzącemu protestach i paradach dewiacji”, trafią ostatecznie „ze skrucną i w płaczu serca pokornego” na łono Kościoła.

Z całego jego gładzenia do „pokornego serca” Róży nie dotarło ani jedno słowo, bo od początku kazania zajęta była najpierw rozmyślaniami, czy widziała na jakimkolwiek obrazie grubą świętą, a następnie, czy zachowały się jakieś zapiski na temat diet stosowanych przez owe błogosławione córki katolicyzmu, a jeśli tak, to jak je odnaleźć. W momencie kiedy doszła do posępnego wniosku, że figury modelek „Vogue’a” owe niewiasty mogły jednak zawdzięczać cudowi, ksiądz zakończył swoje dywagacje. Róża, nieświadoma tego, że dzięki oderwaniu od rzeczywistości nie doznała zawału serca, do jakiego niewątpliwie doprowadziłyby ją słowa wielebnego, uraczyła go nawet zyczliwym uśmiechem. Wielebny tak od tego zbaraniał, że uczynił w jej kierunku znak krzyża, co zebrany w kościele tłum odebrał jako prywatne błogosławieństwo dla najwyraźniej nawróconej na wiarę przodków literatki.

– Róża?! Nigdy bym się tu ciebie nie spodziewał – Krull usłyszała nagle za plecami znajomy szept.

Odwróciła się i z zaskoczeniem zobaczyła stojącego za nią Bartka Domagalika, syna oddelegowanej do stolicy kierowniczkę miejscowej biblioteki, którego poznała przy okazji poprzedniego amatorskiego śledztwa, jakie prowadziła kilka tygodni wcześniej w Kocierzynie.

– I nawzajem! – odszepnęła. – Myślałam, że jesteś w Warszawie razem z mamą.

– Pojechała sama – wyjaśnił Bartek – a ja zostałem, żeby opiekować się domem. Mam go w całości dla siebie. To znaczy będę miał za trzy dni, bo teraz mama przyjechała na święta.

– Dorotka jest tutaj? – ucieszyła się Róża, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu jego rodzicielki.

– Nie. – Bartek pokręcił głową. – Została w domu, bo była padnięta. Pociąg z Warszawy do Siemiatycz zamiast dwie jechał prawie cztery godziny i była trochę zmordowana, bo dzieliła przedział z dwiema nadpobudliwymi kilkulatkami, które zachowywały się gorzej niż stado laleczek Chucky. Zjedliśmy kolację, obejrzelśmy *Kevin*, trochę pogadaliśmy i mama poszła spać, oddelegowując mnie, żebym zadbał o nasze dobre układy ze Stwórcą.

Róża zmrużyła oczy.

– Chyba nie jesteś za bardzo religijny – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak jak ty – odciął się Bartek.

– Skąd takie domniemanie? – zdziwiła się Róża, która w ciągu swojego żywota zdążyła wykonać w kwestii pobożności zjazd po równi pochyłej od dziewczynki, która w czasie procesji sypała biskupowi kwiatki pod nogi, po osobę zwiedzającą kościoły jedynie po to, aby popodziwiać ich architekturę. Co ciekawe, Krull modliła się dość często, zwłaszcza za krewnych i przyjaciół, którzy już odeszli z tego świata, tyle że kompletnie nie potrzebowała do tego kościoła jako takiego. Najlepiej zmawiało jej się modły na łąkach, szczytach gór, środkach oceanów i innych miejscach, na ogół bardziej kojarzących się z turystyką niż religią.

– Bo w czasie wszystkich pieśni mamrotałaś pod nosem „la la lalala”? – wyjaśnił Bartek z ironią skapującą z każdego słowa.

– Czy ja państwu nie przeszkadzam? – stojący za ołtarzem ksiądz Sobiesław patrzył na nich z wyraźną naganą.

– Przepraszamy – rzekła ze skruchą Róża, czując, że od kierowanych w jej stronę spojrzeń zgromadzonych w kościele wiernych, zaczyna się rumienić. – Proszę sobie nie przerywać...

Bartek delikatnie pociągnął ją za kurtkę, po czym kiwnął głową w bok, wskazując oczami na boczne drzwi wyjściowe, oddalone od nich ledwie o kilka metrów. Róża mrugnęła porozumiewawczo i wykorzystując fakt, że akurat wszyscy wstali do modlitwy i została zasłonięta przez jakiegoś chłopca o posturze tura, mruknęła do Basi: „Za chwilę wrócę” i szybko opuściła świątynię. Bartek pośpieszył za nią.

– No więc... – zapytał, kiedy już znaleźli się na zewnątrz i usiedli na ławeczce pod daszkiem chroniącym przed opadami uroczą, stojącą nieopodal kościoła małą kapliczkę. – Co takiego się stało, że dzisiejszej nocy poczułaś nagły przypływ dewocji?

– Chciałam zrobić przyjemność swojej gosposi... – spróbowała skłamać Róża.

Barek prychnął lekceważąco.

– Jaaaaassssneeeee... Najpierw koło mojego domu przejeżdża radiowóz, zaraz za nim karetka, a na koniec ty zupełnie bez powodu pojawiaasz się w kościele i gapisz się na ludzi jak sroka w malowane gnaty. Więc wiesz... Bujać to my, ale

nie nas. Mów, co się stało! Kogoś znowu tu utłukli?

Róża rozważyła w duchu, czy powinna zachować dyskrecję. W sumie żaden z funkcjonariuszy jej o to nie prosił.

– Dobra, powiem ci, ale na razie nie dziel się tym z nikim, bo nie wiem, czy wolno – poprosiła. – Odkryliśmy z moim byłym agentem trupa w dworku. Tym tam... – Złapała się, że nie pamięta jego nazwy. Chyba należało jednak posłuchać Pepe, który od jakiegoś czasu rekomendował jej codzienne łykanie wyciągu z miłorzębu japońskiego, twierdząc, że w przeciwnym przypadku zacznie zapominać swojego nazwiska i tym razem bynajmniej nie celowo, jak to robi w przypadku daty urodzenia. – Nawiedzonym!

Bartek przyjrzał jej się uważnie.

– W Dworku Pod Dębami? – upewnił się. – Kogo tam znaleźliście? Kogoś stąd czy obcego?

– Stąd. Kustosza z waszego muzeum.

– Tego stare... A nie, stary jest na pastercie. Czyli... Jarka?!

Róża pokiwała głową.

– Znałeś go?

– Tyle o ile – odpowiedział niepewnie wyraźnie wstrząśnięty Bartek. – Kumpluję się z jego narzeczoną. Kilka razy zatrudnił mnie do jakichś swoich pomysłów. Pomocy przy pikniku archeologicznym, remoncie sal w muzeum... Fajny gostek, z imponującą wiedzą historyczną. Jak zaczynał opowiadać o dziełach sztuki czy o jakichś tam zaginionych skarbach, to można go było słuchać całymi godzinami. I co...? Chcesz mi powiedzieć, że ktoś go wyprawił na tamten świat?

– Tego nie wiem... – stwierdziła Róża, po czym, widząc minę Bartka, dodała gniewnie: – Nie patrz tak na mnie! Naprawdę nie mam pojęcia! Znaleźliśmy go martwego w dworku. Nie widziałam żadnych śladów morderstwa. Równie dobrze mógł umrzeć śmiercią naturalną.

– Przecież nie był jeszcze aż tak stary! – zdumiał się Bartek. – Ile mógł mieć lat? Koło trzydziestki? Niby to już nie młodość, ale bez przesady. Za wcześnie, żeby umierać tak samemu z siebie.

Róża miała ochotę kopnąć go w jakąś tkliwą część ciała. Na przykład kostkę. Zanim to jednak zrobiła, przypomniało jej się, że kiedy miała dziewiętnaście lat, też uważała, że każdy trzydziestolatek stoi już jedną nogą w grobie.

– Ale rozumiem, że równie dobrze mogło to być morderstwo. – Domagalik popatrzył pytająco na Różę. – I co? Przyszłaś do kościoła węszyć?

– Oj tam, zaraz węszyć – mruknęła Krull. – Przyszłam zobaczyć i, jakby się udało, to od razu poznać parę osób. Tyle że, jak się okazało, mój chytry plan mogłam sobie o kant du... Nie no, nie będę przeklinać przy świętach i na terenie kościoła. No więc mój chytry plan nie wypalił, bo Cecylia tak się grzebała, że przed pasterką nie zdążyła mi nikogo przedstawić, a po zakończeniu wszyscy pewnie



będą lecieli od razu do domu...

– Niekoniecznie. Myślę, że sporo z nich będzie raczej chciało przynajmniej się z tobą przywitać. Jakbyś nie zauważyła, robisz tu za gwiazdę. A swoją drogą... Jeśli mi powiesz, kogo konkretnie chciałabyś poznać, to mogę ci w tym pomóc. Jak znam życie, to pewnie masz na oku szefa Jarka. No i jego córkę, bo z nim chodziła. Kogoś jeszcze?

– Kobietę, która zastąpiła twoją mamę...

– Tajemniczą lady Joannę? – Na twarzy Bartka pojawił się półuśmiezek. – To dopiero mimoza.

– Pod jakim względem? – zacięła się Róża.

– Pod każdym. Sama zobaczysz – zapowiedział zagadkowo. – Jest jeszcze narzeczona Jarka. Co prawda nie wypatrzyłem jej w kościele, ale mogłem nie zwrócić na nią uwagi. No i jeszcze jego kumpel Maciek. Zawsze łąził za nim jak cień. Myślę, że był w nim zabujany...

– W sensie zakochany? – upewniła się Róża.

– No może nie tak, że zaraz by chciał z nim iść do łóżka, choć kto go tam wie. – Bartek obojętnie wzruszył ramionami. – Miałem raczej na myśli to, że zazdrościł mu wszystkiego. Wiedzy, inteligencji, poczucia humoru, powodzenia u lasek. Byli jak Słońce i Księżyc. Wiesz, że Księżyc sam z siebie nie świeci, tylko odbija światło Słońca?

– Ja pierdzielę... – oburzyła się Róża. – Może mnie jeszcze zapytasz o to, czy wiem, że Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie odwrotnie? I że jest okrągła, a nie płaska i utrzymywana przez trzy gigantyczne słonie, które stoją na skorupie galaktycznego żółwia, co?! Uwierz mi, że naprawdę skończyłam podstawówkę i zawsze miałam świadectwo z czerwonym paskiem.

– Dobra, dobra, już się tak nie indorz! – mruknął Bartek. – Więc wydaje mi się, że ten jego kumpel był w nim zabujany jako w człowieku, a niekoniecznie jako tam gejawato. Bo w sumie też się prowadził z laskami. Tyle że jakiś czas temu. Ostatnio go z nikim nie widywałem...

– Jak ty się świetnie orientujesz w tych wszystkich międzyludzkich układach – zauważyła ironicznie Róża. – Nigdy bym się nie spodziewała...

Jeśli wypowiadając te słowa, chciała zawstydzić swojego towarzysza, najbliższe chwile miały jej przynieść rozczarowanie. Bartek w ogóle bowiem nie przejął się jej opinią.

– Wykazuję tylko wysoko rozwinięte zdolności przystosowawcze – poinformował Różę. – Skoro już mieszkam w mieście, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, w tym i o mnie, to nie mogę być jedynym, który będzie ciemny jak tabaka w rogu. Poza tym muszę składać codzienne raporty mojej matce, której się nudzi i żąda ode mnie powtarzania miejscowych plotek. Żeby powtarzać, muszę je najpierw poznać. Co do Jarka, to powiem ci, że wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby ktoś go załatwił.

– A to czemu? – zdumiała się Krull. – Przecież mówiłeś, że to był miły facet i wszyscy go lubili.

– Nic podobnego! – zaprotestował Bartek. – Nie powiedziałem, że wszyscy go lubili! Myślę, że kilka osób chętnie by się go pozbyło.

– Dlaczego? – Róża, która przez ostatnie godziny szkicowała sobie w głowie obraz nieboszczyka jako osoby, która budziła powszechną sympatię, teraz poczuła się nieswojo, że musi zrewidować swoje poglądy.

– Bo należał do grona tych upierdl...

– Bartek!

– No tak, kościół! Przepraszam. Więc należał do grona tych uroczych person, które uważają, że każdemu należy pomóc. I to nawet, kiedy ktoś sobie tego nie życzy. Pamiętam, jakie piekło rozpętało się nie tak dawno, kiedy zorganizował piknik historyczny połączony z kiermaszem i koncertami, żeby zebrać fundusze na remont domu pani Wasiakowej. Faktycznie, jej chałupa się już prawie rozlatywała. No i Jarek wykorzystał moment, kiedy Wasiakowa pojechała do sanatorium, w tydzień wszystko przygotował, ba! namówił nawet samą Klaudię Hutniak, żeby wystąpiła z recitalem za jakieś symboliczne pieniądze. Udało mu się zebrać od groma kasy, bo na koncert Hutniak przyjechali nawet jej fani z Białegostoku. A ona złapała fazę i przez kwadrans, zamiast śpiewać, opowiadała łązawą historię, jak to też wychowywała się w takiej ruderze i dlatego teraz ma nadwrażliwe gardło, bo jako dziecko wiecznie chorowała na anginę z powodu halnego, który dał jej nad kołyską. Wszyscy fani się rozsłochali i w sumie koncert zaczął przypominać stypę. Ale za to od razu rozsuptali woreczki z kasiorą. Przez kolejne dwa tygodnie Jarek razem z ekipą sześciu chłopów rychtował dzień i noc hacjendę Wasiakowej, i to tak, że zrobił z niej bez mała drugi Biały Dom. Gdy Wasiakowa wróciła z sanatorium, to mało co nie padła trupem. Okazało się, że wcześniej znalazła chętnego na zakup tej swojej rudery. Tylko ten ktoś miał mało pieniędzy i w sumie bardzo mu odpowiadało, że kupuje coś, za co nie musi dużo płacić, i będzie mógł to sobie spokojnie w miarę przyływu gotówki doprowadzać do jako takiego stanu. A Wasiakowa za pieniądze ze sprzedaży zamierzała nabyć okazjnie kawalerkę pod Warszawą, żeby być bliżej córki. Ostatecznie kupujący się wycofał, przerażony, że nawet jeśli kupi dom za ustaloną kwotę, to urząd skarbowy naśle mu kontrolę i każe uiścić podatek od różnicy między tym, co zapłacił, a realną wartością domu. Kawalerkę pod Warszawą kupił ktoś inny, a Wasiakowa zbiła laską na kwaśne jabłko swojego wnuczka, który podczas jej nieobecności zajmował się domem i wpuścił tam ekipę remontową. Potem wszyscy mieli pretensje do Jarka, Wasiakowa zaś od tego czasu nigdy nie mówiła o nim inaczej niż w sposób, którego nijak nie da się tu powtórzyć. No chyba że wyjdziemy za ogrodzenie...

– W święta w ogóle nie powinno się kłąć, nawet poza terenem kościoła – pouczyła go Róża. – Rozumiem z tego, co mówisz, że Jarek był typowym budowniczym piekła.

– Że co? – zaciekawiał się Bartek.

– Nie znasz przysłowia, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami? Serio? – zgorszyła się Krull.

– Znam, znam – zapewnił Domagalik. – Tylko nie wiedziałem, że do niego nawiązujesz. Jest już późno i momentami mogę nie czaić bazy. Z góry proszę o wybaczenie!

Nagły hałas uświadomił im, że przegadali całą resztę mszy. Róża z niepokojem pomyślała o reprimendzie, jaką za moment usłyszy z ust swojej gosposi za to, że urwała się z pasterki, i w popłochu usiłowała wymyślić jakąś bajeczkę, którą ją uraczy. Szybko jednak przekonała się, że takowa nie będzie jej potrzebna. Cecylia opuściła kościół głównym wyjściem w towarzystwie Nastazji Rudzkiej, babci chłopaka, który dzięki staraniom Róży uniknął nie tak dawno odsiadki za niepopelnione morderstwo burmistrza Kocierzyna. Obie pochłonięte były wyraźnie burzliwą rozmową do tego stopnia, że gosposia Róży nawet nie zauważyła, iż minęła swoją pracodawczynię.

– To ja spadam, bo mama będzie się niepokoić – rzekł Bartek. – Jakby ci się nie udało zapoznać z kimś, z kim byś chciała, to daj mi cynk. Znajdę na to sposób.

Róża podziękowała mu mrugnięciem oczu, po czym pomachała mu na pożegnanie.

– Zdaje się, że moja mama właśnie się dowiedziała o tym, co próbowałyśmy przed nią ukryć – szepnęła Barbara, która podobnie jak pisarka wyszła z kościoła bocznymi drzwiami i stała teraz za jej plecami.

– Żartujesz?! – Krull odwróciła się i popatrzyła na nią ze zdziwieniem. – Jakim cudem?

– Cudem bym tego raczej nie nazwała – westchnęła Barbara, po czym wyciągnęła palec przed siebie. – Sama popatrz!

Z kościoła, otoczona wianuszkiem mężczyzn wpatrzonych w nią niczym nastoletni chłopcy w seksowną nauczycielkę fizyki, wychodziła właśnie Dżessika Bąk. Ubrana w rozpięte długie, jasnoszare futro, ukazujące od czasu do czasu jej seksowne mini i piekielnie zgrabne nogi oraz dopasowaną, srebrzystą bluzkę z przerażająco wielkim dekoltem, a do tego mająca na nogach białe, połyskliwe kozaki, jedyna miss w historii Kocierzyna prezentowała się tak, jakby nie opuszczała progów świątyni, tylko klubu go-go, w którym właśnie skończyła swoją rundę pokazów tańca na rurze. Choć Róża nigdy nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do kwestii strojów i nie raziło jej, gdy ktoś przychodził na uroczyste party w swetrze, tym bardziej że i sama usiłowała się kiedyś w takowym wybrać na galę nagród Empiku, zanim Pepe z okrzykiem: „Po moim trupie pójdziesz w łachmanie!” przemocą go z niej zdarł, tym razem poczuła się mocno zniesmaczona. Już otwierała usta, żeby wygłosić do Barbary jakiś złośliwy komentarz pod adresem Dżessiki, kiedy ta nagle ją dostrzegła. Klasnęła w ręce i w asyście swych satelitów podbiegła do pisarki.

– Kogóż to ja widzę?! – krzyknęła radośnie, po czym zwróciła się do

towarzyszących jej mężczyzn. – Nie wiem, czy wszyscy się znacie. To jest słynna pisarka z Warszawy. Pani Róża Żul!

– Krull – poprawiła pisarka, poprzedzając to zgrzytnięciem zębami, wykonanym wbrew ostrzeżeniu swojej dentystki, która uprzedziła ją kilka tygodni temu, że „jak jeszcze raz majtnie tak szczeną, to wyleci jej górny mostek”.

– No tak, tak... – rzekła lekceważąco Dżessika. – Faktycznie. Żul, Krull, Mróz, Świst, kto by tam was wszystkich spamiętał! Zresztą... ja w ogóle nie czytam! Szkoda oczu!

„Czemu mnie to nie dziwi?”, pomyślała Róża, starając się wyrzucić sobie z głowy przerażający obraz, jak w wyniku ciągłego zgrzytania zębami przy Dżessice zmuszona jest zacząć nosić sztuczną szczękę, którą następnie swoim zwyczajem gubi w różnych niestosownych momentach i miejscach ze spotkaniami autorskimi na czele.

– Od tyłu literek tylko kręci mi się w głowie. – Bąk zaśmiała się perliście. – Więc mamy kolejne morderstwo w naszym miłym, cichym Kocierzynie? I znowu jest pani w to zamieszana?

– Ja?! – Róża usiłowała udać zdziwioną.

– No, tak powiedział funkcjonariusz, który przyszedł do mnie, żeby zbadać Dolcię. – Dżessika włożyła rękę do kieszeni futra i wyciągnęła z niej ozdobną fifkę oraz mieniącą się dziesiątkami srebrnych kryształków niewielką papierośnicę. Z tej ostatniej z gracją wyjęła coś, co wyglądało bardziej na ręcznie zrobionego skręta niż taśmowy wyrób przemysłu tytoniowego. Włożyła ów wynalazek w fifkę, przyłożyła do ust i zrobiła wymowny dzióbek. Towarzyszący jej panowie rzucili się do obmacywania swoich kieszeni w poszukiwaniu zapalniczek. Ten, od którego płomienia Dżessika odpaliła swojego „papierosa”, wyglądał na tak uszczęśliwionego, jakby wygrał w lotto.

Róża obserwowała to wszystko z coraz większym niesmakiem, starannie zamaskowanym dyżurnym, wystudiowanym uśmiechem, którego używała w tak kryzysowych chwilach jak na przykład ogłoszenie na gali Złoty Pocisk, że statuetkę za kryminał roku znowu zgarnęła jej sprzed nosa Kasia Puzyńska.

– Ponieważ mężczyźni nie mają przede mną tajemnic – Bąk potoczyła nieco kpiącym wzrokiem po swoich kompanach – więc błyskawicznie z niego wyciągnęłam, że kilkadziesiąt minut wcześniej dwoje ludzi znalazło w naszym nawiedzonym dworku zwłoki miejscowego... No tego tam, co to przestawia meble w muzeum...

– Kustosza – odpowiedziała Barbara.

– O, właśnie! – Dżessika obdarzyła ją życzliwym spojrzeniem. – Swoją drogą, co to za nudna robota jak na faceta. Ale... O czym to jak właściwie mówiłam...? A, już wiem! Więc jak ten policjant mi to zdradził, natychmiast zainteresowałam się, kim są te dwie osoby. I dowiedziałam się, że jedną z nich jest pisarka z Warszawy, a drugą jej przyjaciel. Mogę się oczywiście mylić, ale chyba nie gościmy obecnie w Kocierzynie żadnej innej kobiety, która pisałaby książki, nieprawdaż?

W trakcie jej wypowiedzi do grona osób stojących przed kościołem dołączyło kilka pań. Obserwując pełne obrzydzenia spojrzenia, jakimi co rusz obrzucały Bąk, Róża oceniła, że zapewne są to partnerki otaczających ją wianuszkami panów. Po ostatnim pytaniu Dżessiki całe to zgromadzenie zwróciło wzrok w stronę Krull i wpatrzyło się w nią niczym w świętą mającą objawić im jakieś wiekopomne prawdy.

– No tak... – rzekła Róża z wahaniem. – Nie chciałam się przyznać, bo policja prosiła mnie o dyskrecję, ale skoro już i tak wszyscy się dowiedzieli, to chyba mogę to potwierdzić. Tak, znaleźliśmy wraz z moim byłym agentem zwłoki młodego człowieka. Ale od razu zaznaczę, że nie wiadomo, czy stracił on życie w wyniku zbrodni, czy też nieszczęśliwego wypadku. Policja dopiero to bada.

– Myślę, że chyba nikt z nas nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. – Dżessika zaciągnęła się skrętem, po czym wypuściła z ust kłęb dymu. Kiedy doleciał on do Róży, pisarka przestała mieć już wątpliwości, co też jest składową owego blanta. W końcu w czasach studenckich też nie była znowu taka święta, a czego jak czego, ale akurat fetoru marihuany nie sposób pomylić z jakimkolwiek innym zapachem. – Jak to się mówi? Kto wiatr sieje, ten burzę zbiera, prawda?

Nieco zdumiona jej słowami, Róża potoczyła wzrokiem za spojrzeniem byłej miss. Choć teoretycznie Dżessika rzuciła swoją uwagę ot tak, z głupia frant, to jednocześnie miała wzrok skierowany na jedną osobę, eleganckiego, postawnego, na oko pięćdziesięciolatka, stojącego tuż obok Barbary w towarzystwie młodszej o dobre dwadzieścia lat dziewczyny, tak podobnej do niego, że nie było najmniejszych wątpliwości, że jest jego córką. Mężczyzna nie zareagował na słowa miss, choć po jego pulsującej, nabrzmiałej żyłce na czole można było ocenić, że wcale nie jest tak spokojny, na jakiego pozuje. Za to jego córka nie kryła irytacji.

– Co też ty opowiadasz?! – krzyknęła gniewnie. – Jarek był aniołem!

Dżessika wydała z siebie niezbyt sympatycznie brzmiący chichot i znów się zaciągnęła skrętem.

– No tak, o umarłych tylko dobrze, prawda? – rzekła kpiąco. – Zresztą nie mówię przecież, że nie był! Twierdzą tylko, że czasem musimy udawać, że jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. Nawet jeśli tak naprawdę jesteśmy kanaliami. Nikt nie wie tego przecież lepiej od ciebie, moja droga Elwirko...

Na twarzy dziewczyny pojawiły się czerwone rumieńce.

– Nie rozumiem, do czego pijesz! – W jej głosie pojawiły się histeryczne tony.

Dżessika przez moment poobserwowała ją z jadowicie złośliwym wyrazem twarzy. Widać było, że owo, jak to nazwała w duchu Róża, grillowanie dziewczyny sprawia jej psychopatyczną wręcz przyjemność. Po chwili jednak raptownie zmieniła wyraz twarzy.

– Do twojego zawodu! – odparła, robiąc zdziwiony dzióbek, czyniący z niej modelową wręcz słodką idiotkę. – Przyjmujesz pewnie w swoim gabinecie wielu ludzi, którzy jedno myślą, drugie mówią, a trzecie robią. Zawsze wydawało mi się,

że takie zachowanie z reguły prowadzi do problemów z psychiką. Czyżbym się myliła?

Mimo że Dżessika wypowiedziała to wszystko tonem niewinnego zdziwienia, Róża odniosła wrażenie, że znów miało to zabrzmieć aluzyjnie. Pytanie tylko – dlaczego?

– Nie – warknęła ze złością dziewczyna. – Jesteś jak zawsze wybitnie mądra. Tato, czy możemy już iść?

– Idziecie już? Szkoda, bo Róża chciała was poznać! – zmartwiła się Barbara, po czym wskazała na pisarkę. – Różyczko, pozwól, że ci chociaż przedstawię moich dobrych znajomych. Sebastian Janiszewski, dyrektor naszego muzeum, i jego córka Elwira.

Róża najpierw uściśnęła rękę wciąż wyraźnie zirytowanej dziewczyny, potem jej ojca, przez cały czas czując na sobie ironiczne spojrzenie Dżessiki.

– Jeśli nie ma pani planów na drugi dzień świąt – rzekł Sebastian – to zapraszam na zwiedzanie muzeum. Teoretycznie tego dnia jest zamknięte, ale dla takiej gwiazdy zrobimy wyjątek. Osobiście panią oprowadzę.

– Z ogromną przyjemnością skorzystam. Uwielbiam muzea! – zapewniła Róża, starając się zapomnieć, że podczas zwiedzania Luwru dwa razy zasnęła, w tym raz na środku dużej sali, i to tak kamiennym snem, że japońska wycieczka zrobiła jej sesję fotograficzną, myśląc, że umarła. – Bardzo dziękuję.

– W takim razie do zobaczenia za dwa dni. – Sebastian uraczył ją uśmiechem, po czym zmierzył lodowatym spojrzeniem Dżessikę, ujął córkę pod ramię i spokojnym krokiem wyszedł z terenu kościoła. W jego ślady poszło kilka stojących w pobliżu osób.

– Podejrzany numer jeden i podejrzana numer dwa – zauważyła kąśliwie Bąk, po czym ostentacyjnie podwinęła nieco rękaw futra i popatrzyła na swój zegarek. – Nie sądzicie, moi drodzy, że pora już iść spać? Bardzo wam dziękuję za towarzystwo, ale chciałabym przez chwilę porozmawiać z panią Różą w cztery oczy.

Kilku panów, nieodciągniętych jeszcze od Dżessiki przez inne kobiety, zapewne kawalerów albo wdowców, z wyraźnym żalem spełniło jej prośbę.

– Niby to słodkie, że tak mnie uwielbiają, i niektórzy z nich są nawet całkiem do rzeczy, ale czasem mam ich już po dziurki w nosie... – westchnęła Bąk. – Chyba doskonale to pani rozumie, prawda? W końcu też pewnie nie brakuje pani wielbicieli?

Róża ujrzała przed oczami swojego jedyne aktualnego stalkera, który miał siedemdziesiąt trzy lata, sto kilogramów nadwagi, ubierał się niczym rolnik z Tyrolu, mówił dyszkantem i zakochał się w Róży, ponieważ akcję jednego ze swoich kryminałów umieściła w Pasłęku, gdzie się urodził. W związku z powyższym uznał, że są sobie pisani i w licznych mailach roztaczał przed nią rajską wizję tego, jak to zamieszkają razem w jego siedlisku w pobliżu Zalewu

Zegrzyńskiego, gdzie będą hodować krowy, owce i kury z wolnego wybiegu. Krull, którą w dzieciństwie krowa kopnęła w piszczel, przez moment rozważała nawet, czy nie donieść na niego na policję i nie oskarżyć o groźby karalne, ale porzuciła ten pomysł po tym, jak pewnego dnia pokazała go palcem Darskiemu, który dostał ataku śmiechu, po czym poradził jej, żeby natychmiast się za niego brała, bo „może i nie jest jakoś specjalnie wyględnny, ale hektary to zawsze hektary”. Nijak owego wielbiciela nie dawało się podciągnąć pod Bąkowe określenie „całkiem do rzeczy”.

– Tak, tak, mam ich całą armię – zapewniła, starając się, aby zabrzmiało to przekonująco. – Opędzić się po prostu nie mogę.

„Jak to dobrze, że Pepe pojechał na Śląsk i nie może sobie teraz pochrząkać”, pomyślała jednocześnie z ulgą.

– No właśnie, takie dziewczyny jak my nigdy nie tracą tego „czegoś” – Dżessika nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu – i dlatego uważam, że powinniśmy trzymać sztamę. Tym bardziej że polubiłam panią od pierwszego spojrzenia i czuję, że z wzajemnością.

– Tak, oczywiście – zapewniła Róża, po czym usłyszała za sobą kilka cichych kaszlnięć Barbary.

– Przepraszam, coś mnie drapie w gardle – wykrztusiła z niewinną miną Jodelka. – To pewnie przez te dymy w kościele.

„Pepe ma znakomite zastępstwo”, przemknęło przez głowę Krull.

– Może przejdziemy na ty? – zaproponowała Dżessika, najwyraźniej postanawiając kuć żelazo, póki gorące. – Chyba mogę to zaproponować? Nie jestem w końcu tak bardzo od pani młodsza?

„Jesteś starsza, szantrapo”, pomyślała Krull.

– Z przyjemnością – zapewniła, siłąc się na radosną spontaniczność i wyciągając do niej rękę. – Róża!

– Dżessika. – Miss rzuciła się jej w objęcia.

Pisarka z trudem pohamowała obrzydzenie, jakim napawał ją dotyk naturalnego futra, muskającego w tym momencie jej twarz. O ile nijak nie umiała się przestawić na wegetarianizm, o tyle hodowanie i zabijanie zwierząt na potrzeby przemysłu odzieżowego uważała za współczesną postać barbarzyństwa.

– Bardzo mi miło – rzekła, postanawiając w duchu, że jeśli nadarzy jej się okazja, to obleje futro Dżessiki czerwoną farbą. – A teraz chciałabym zapytać, co miała pani... Znaczący się co miałaś na myśli, mówiąc, że dyrektor i jego córka to główni podejrzani, jeśli by się okazało, że ta dzisiejsza śmierć to nie wypadek, tylko morderstwo?

– Och, nic wielkiego. – Dżessika wydała z siebie wieloznaczny chichot. – Czasem tylko, kiedy uczciwy człowiek stanie na drodze komuś, kto przyzwyczaił się robić świństwa i załatwiać wszystko w szemrany sposób, to źle się to kończy.

– Jakies konkrety? – wtrąciła Barbara, wnosząc po tonie jej głosu, wyraźnie

zdegustowana tym, co usłyszała. – Bo na razie wydaje mi się, że bez powodu oczerniasz uczciwych ludzi!

– Nikogo nie oczerniam – odpowiedziała spokojnie Dżessika. – Po prostu mówię o swoich odczuciach. Tak ogólnie. I nie wiem, czemu ci twoi... przyjaciele – to słowo zaakcentowała mocniej – tak od razu wzięli to do siebie. Niekoniecznie musiałam mieć ich na myśli. Z drugiej strony to ciekawe, że tak ich to ubodło. Jak to mówią, uderz w stół...

– Czasem naprawdę trudno z tobą wytrzymać – westchnęła Barbara – i zobaczysz, że kiedyś się doigrasz...

– Spokojna twoja głowa. – Dżessika popatrzyła na nią z politowaniem, po czym rzuciła dopalający się z wolna joint na trawnik i przydeptała go obcasem kozaka. – Lecę, bo Dolores pewnie się obudziła i się denerwuje. Co prawda opiekuje się nią Banderas, ale oni czasem się kochają, a czasem nie mogą dojść do porozumienia. Lepiej mieć na nich oko. To ciao, kochane!

Posłała im buziaka i tanecznym krokiem oddaliła się w stronę bramy wyjściowej, po kilku sekundach znikając im z oczu. Róża i Barbara w o wiele wolniejszym tempie podążyły za nią.

– Kto się opiekuje Dolores? – zapytała pisarka.

– Kot Dżessiki. – Barbara przewróciła oczami, dając znać, że nie odpowiada za szaleństwa swojej znajomej. – Został tak nazwany na cześć jej ulubionego aktora, Antonio Banderasa. To maine coon, cudownej urody. Dżessika ma jeszcze chihuahue. Wabi się Marilyn.

– Po Marylinie Mansonie? – spytała ironicznie Róża. – Idealnie by pasował do takiej baby z piekła rodem.

– Nie wygłupiaj się! Oczywiście, że po Marilyn Monroe. Dżessika uważa, że jest jej reinkarnacją. Jej i Vivien Leigh. Na spółkę.

Zjęte konwersacją przeszły przez kościelną bramę, natykając się zaraz za ogrodzeniem na wyraźnie wzburzoną Cecylię.

– Ile można na was czekać?! – krzyknęła gospoia Róży na ich widok. – Już nawet zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyszłyście tyłem. A pani... – starsza Jodelka popatrzyła z wyrzutem na swoją pracodawczynię – ...nic mi nie powiedziała! I naraziła mnie na wstrząs. I to w kościele! Gdy mi Nastka Rudzka zdradziła, co się stało, to o mało co nie padłam trupem. Jak Safira i Ananiasz. Choć w sumie oni sami byli sobie winni.

– Kto?! – Róża za późno ugryzła się w język.

– Widać, że dawno już nie zaglądała pani do Biblii – zawyrokowała z naganą Cecylia. – Safira i Ananiasz byli członkami gminy chrześcijańskiej w Jerozolimie. Sprzedali swoją posiadłość i zamiast zgodnie z obietnicą oddać wszystkie pieniądze apostołom, część zachowali w tajemnicy dla siebie. Kiedy Ananiasz resztę majątku złożył u stóp apostołów, święty Piotr zapytał go, dlaczego szatan zawładnął jego sercem, że skłamał. Ananiasz nie odpowiedział, tylko od razu padł



martwy. Potem święty Piotr zadał to samo pytanie jego żonie, która nie wiedziała, co spotkało jej męża, i też skłamała, więc ostatecznie również natychmiast zeszła z tego świata. Prawie jak ja, kiedy dowiedziałam się, co odkryliście z panem Pawełkiem w Dworku Pod Dębami!

Róża pohamowała się przed poinformowaniem jej, że do Biblii nie zagłębiała nie tyle dawno, co nigdy, oraz że święty Piotr w tej przypowieści wydaje jej się działać niczym urząd skarbowy i że ona za każdym razem, kiedy musi się tłumaczyć przed funkcjonariuszami skarbowki, też jest pewna, że błyskawicznie przeniesie się ze stresu na tamten świat.

– Najpierw nie chciałam pani przeszkadzać w modlitwie – rzekła za to usprawiedliwiającym tonem – a potem jakoś się nam nie zeszło. Poza tym nie chciałam psuć świętecznego nastroju, zwłaszcza przed pasterką. Miałam dobre intencje, ale i tak bardzo przepraszam.

– Co za tragedia...! – Cecylia, wyraźnie rozkoszująca się nową sensacją, puściła jej wypowiedź mimo uszu. – Taki młody chłopak! I jeszcze, jak mówi Nastka, wszyscy go tu bardzo lubili i szanowali. To straszne, co się wyprawia z tym światem! Co się stało z tym miastem?! Morderstwo za morderstwem! Aż strach będzie jutro wyjść z domu!

– Nie wiadomo, czy tym razem to na pewno było morderstwo – zauważyła nieśmiało Barbara.

– Oj, córuś, córuś. – Cecylia spojrzała na nią z pobłażliwością. – Kiedy przeżyjesz tyle lat co ja i tak dobrze poznasz życie, to zrozumiesz, jak zły i niesprawiedliwy bywa czasem Los.

– Kiedy Barbara ma rację! – wtrąciła Róża. – Tego chłopaka niekoniecznie ktoś musiał zamordować. Równie dobrze mógł to być wypadek.

– Jasne! I dlatego policja aresztowała już jego przyjaciela?! – zapytała Cecylia, niezwykle zadowolona z dramatycznego efektu, jaki wywołały jej słowa.

– Maćka?! – krzyknęła zdumiona Barbara.

– Jak to: aresztowali?! – dokładnie w tym samym momencie zapytała zaszokowana Róża.

– Tak, Maćka. – Cecylia postanowiła odpowiadać zgodnie z chronologią zadanych pytań. – Nastka mieszka obok niego i gdy wychodziła na pasterkę, zobaczyła, że pod jego dom podjeżdża radiowóz, a po dłuższej chwili Maciek wychodzi z policjantami z domu, wsiada do samochodu i odjeżdża. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale kiedy usłyszała od Dżessiki, co się stało w Dworku Pod Dębami, od razu skojarzyła jedno z drugim.

– Nie wierzę w to, że Maciek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Jarka – zawyrokowała stanowczo Barbara. – Przyjaźnili się od małego, wszystko zawsze robili razem. Może zabrali go tylko jako świadka albo żeby zidentyfikował ciało. Przecież Jarek nie miał już nikogo bliskiego, kto mógłby to zrobić.

– Tyle że w takim przypadku policjanci nie wyprowadzaliby go w kajdankach –

Cecylia, zapewne dla osiągnięcia bardziej spektakularnego efektu, postanowiła dawkować zdobyte niedawno informacje – a jego mama nie wybiegłaby za nimi z płaczem. Nie! Jestem pewna, że wydarzyło się coś bardzo, bardzo złego...

– To dlaczego nie mówisz wszystkiego od razu?! – Córka popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Bo wiecznie mi przeszkadzacie i nie dajecie dokończyć – zgromiła ją Cecylia.

– Dowiedziała się pani czegoś jeszcze? – zaciekawiła się Róża. – Obiecuję z ręką na sercu, że już pani nie przerwiemy.

– Niewiele – westchnęła z żalem starsza Jodelka. – Nastka oczywiście podbiegła do Krysi, mamy Maćka, z pytaniem, co się stało i czy może jej w czymś pomóc, ale ta biedaczka nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Powiedziała tylko, że szykowali się na pasterkę, kiedy usłyszeli dzwonek u drzwi. Maciek poszedł otworzyć. Na progu stało dwóch policjantów, Esio od Fronczaków i jakiś młody, którego Krysia nie znała. Zapytali Maćka, co robił w godzinach popołudniowych. Nie odpowiedział, a przynajmniej nie w drzwiach, tylko zaprosił ich do środka, a potem zamknął się z nimi w swoim pokoju. Krysia usiłowała podsłuchać, o czym rozmawiali, ale nie dała rady. Słuch już u biedaczki nie taki jak kiedyś. Po jakichś dziesięciu minutach policjanci wyszli razem z Maćkiem, który miał na rękach kajdanki. Powiedział do niej, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze i że to zwykle nieporozumienie. Krysia zapytała policjantów, czy mogłaby jechać z nimi na komisariat, ale kazali jej zostać w domu. Podobno byli dla niej bardzo oschli i niemili, co jest dziwne, zwłaszcza że Esia, gdy był dzieckiem, wiele razy złapała na kradzieży czereśni i winogron z jej ogrodu i nigdy złego słowa mu nie powiedziała. Raz tylko poszczuła go psem. Ale niemożliwe, żeby miał o to do tej pory żal, bo jej Azor to już wtedy stary był i nie miał ani jednego zęba, to co to za szczucie! Będę się musiała przy okazji rozmówić z mamą Esia, bo przecież nie może być tak, że jej syn będzie hańbił mundur. W Warszawie to by było nie do pomyślenia. Tam wszyscy policjanci tacy zawsze mili, kulturalni i uczynni. Aż serce rośnie, gdy się na nich patrzy!

Ostatnie słowa gosposi sprawiły, że Róży pociemniało nieco z irytacji przed oczami i w związku z tym tylko dzięki wrodzonemu refleksowi nie wpakowała się w zaspę. Traf bowiem chciał, że kilka dni przed wyjazdem na Podlasie wzięła udział w pikiecie ekologicznej, na której została potraktowana przez funkcjonariuszy gorzej niż islamski terrorysta. Najpierw oberwała pałką po plecach, następnie dostała gazem po oczach, a na koniec jeden z krewkich stróżów prawa, rycząc jej przez megafon w ucho: „Proszę się rozejść!”, o mało co nie pozbawił jej słuchu. Zważywszy na fakt, że kilka chwil wcześniej jej współmanifestanci rozpierzchli się na wszystkie strony i stała przed nim sama jedna, nieco ogłupiała Róża usiłowała uściślić, czy ma się rozejść w szwach, czy w jakiś inny sposób, ale zanim wyartykułowała swoje pytanie, policjant natarł na nią tarczą, a następnie urwał jej ozdobny pompon z szalika. Krull poczuła, jak wstępuje w nią duch jej przodkiń, z których jedna o mało co w pojedynkę nie

rozpędziła całego oddziału gestapo w czasie drugiej wojny światowej. Nie myśląc wiele, pisarka przyłożyła funkcjonariuszowi po łbie trzymaną w rękach parasolką, następnie podstawiła mu nogę, po czym, korzystając z tego, że policjant klapnął tyłkiem na krawężnik, czym prędzej nawiała, przy okazji bijąc życiowy rekord w biegu na kilometr.

Z trudem powstrzymała się teraz, aby nie wypowiedzieć głośno, gdzie dokładnie Cecylia może sobie wsadzić swoje zachwyty nad warszawską policją.

– To wszystko? – zapytała w zamian.

– Jest jeszcze coś... – Cecylia wyraźnie się zawahała. – Nastka mówi, iż nie tak dawno Maciek chwalił się jej wnukowi Alanowi, że razem z Jarkiem są na tropie niezłego przekrętu i że jeśli wszystko pójdzie po ich myśli, to nie tylko się wzbogacą, ale także staną się sławni. Nie zdradził jednak żadnych szczegółów...

– Kto komu? – spróbowała uściślić Róża. – Alan babci? Czy Maciek Alanowi?

– Aaa, to faktycznie nie jest takie oczywiste – Cecylia popatrzyła na pisarkę z błyskiem w oku – ale jutro będę miała okazję dopytać, bo Nastka wpadnie do nas po południu, bo ma dla mnie prezent urodzinowy.

Róża i Barbara wymieniły się spojrzeniami. Z tego wszystkiego obie na śmierć zapomniały o urodzinach Cecylii! Jakby tego było mało, to w dodatku Pepe uwoził właśnie na Śląsk przygotowany na tę okazję tort, który został w bagażniku Stefana! Po prostu mogiła!

– No tak... – rzekła niepewnie Barbara. – Już po północy. Wszystkiego najlepsze...

Ostatnie słowo uwięzło jej w krtani. Powodem było to, co właśnie pojawiło jej się przed oczami. Znajdowały się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od jej domu, widocznego z tej odległości jak na dłoni. Wziąwszy pod uwagę, że dochodziła druga w nocy, należało się spodziewać, że domostwo będzie już uśpione, pogrążone w ciszy, a jego okna ciemne. Tymczasem szyby mieniły się dziwnym srebrzystym blaskiem, sprawiającym takie wrażenie, jakby dom zamienił się z nienacka w pojazd kosmiczny z filmu science fiction i właśnie szykował się do startu. W dodatku z jego wnętrza dobiegały jakieś głucho łomoty.

– Co, do jasne ciasnej, się tu wyprawia... – wyszeptała nieco przerażona Barbara.

Cecylia wydała z siebie gniewne pufnięcie.

– To ta stara wariatka – zawyrokowała. – Na moment nie można jej zostawić samej. Już ja tej zwariowanej krowie nagałam do słuchu!

Przyśpieszyła kroku. Barbara i Róża podążyły za nią. Cecylia otworzyła furtkę, bez mała kurcgalopkiem dopadła do drzwi wejściowych, otworzyła je i zamarła. Podobnie jak sekundę później Róża i Barbara. Nie bez powodu!

Altana i salon domu młodszej Jodelki przerobione zostały na coś przypominającego wnętrze klubu tanecznego, co dodatkowo podkreślały dwie kręcące się pod sufitami tych pomieszczeń ogromne świetliste kule disco. Na

każdej ścianie wisiały kwieciste girlandy, w tym jedna z napisem: „Wszystkiego najlepszego”. Oprócz tego wszędzie, gdzie się dało, zwisały kolorowe spirale serpentyn. Nie to jednak sprawiło, że trzy przybyłe do tej jaskini szaleństwa niewiasty zamieniły się w kamienne posągi. Powody ich metamorfozy były dwa. Jeden z nich ubrany był w kwiecistą, luźną szatę, okręcone fantazyjnie wokół szyi wściekle różowe boa i srebrzyste buty na koturnach. Drugi miał na sobie złote trampki, czarną cekinową marynarkę założoną na gołe ciało, krótkie połyskujące na srebrno spodnie i czarny melonik. Oba znajdowały się na stole, trzymały w dłoni wielgaśne kieliszki i w rytm dudniącego z głośników prastarego hitu Haliny Mamy po *dwadzieścia lat* wykonywały takie ruchy, jakby złapał je atak paralizu.

– Sodoma i gomora – wyszeptała pobladłymi ustami Cecylia.

– Wreszcie jesteście! – krzyknęła radośnie jej siostra, po czym z niejakim trudem zeszła najpierw ze stołu na krzesło, a potem z tegoż na podłogę. – Sto lat, sto lat... Pawełku, kochanieńki, przycisz tę muzyczkę, bo się nie mogę wpaśować w melodię.

Pepe zwinnie zeskoczył ze stołu, podbiegł i chwycił za pilota od wieży. Po chwili dudnienie znacznie zmniejszyło swoje natężenie.

– Co wy, do licha ciężkiego, wyrabiacie?! – zapytała Cecylia, wchodząc do przedpokoju.

W odpowiedzi Wiesia wsadziła sobie do ust rozwijaną piszczałkę, nadeła policzki i z całej siły zađeła w ów przedmiot.

– Niespodzianka! – krzyknęła radośnie.

Pepe chwycił za stojącą obok stołu butelkę i z hukiem godnym odpalenia petardy pozbył się z niej korka, a następnie podszedł do małego stolika, na którym stało pięć kieliszków do szampana.

– Najlepszego! – krzyknął radośnie, rozlewając trunek z butelki po czym się tylko dało i tylko czasami trafiając do któregoś z pięciu celów. – Zdrówka, szczę... szczę... liwości, pomy... ślności! I tam... tego... i owego...!

Do obserwującej go uważnie Róży, nieco przerażonej, że oto po raz pierwszy w ciągu ich długiej znajomości widzi swojego przyjaciela marnującego choć kroplę alkoholu tudzież nierwącego się od razu do wycierania powstałych po jego rozlaniu plam, z trudem dotarło, że Pepe jest chyba wstawiony. I to bynajmniej nie leciutko.

– Co ty... – zapytała, podejrzewając, że ma omamy – ...tu robisz?!

– Stefan się... No się... Tego... Wytentegował! – poinformował ją wesolutko Pepe, na moment przerywając rozlewanie szampana. – I zanim przyjechała kuweta... znaczy się... laweta... No to się bez sensu było tara... traba... trabanić. Tym bardziej że ci od kuwety jechali do Białej... pod laskiem...

– Chyba do Białegostoku? – poprawiła Barbara.

Pepe popatrzył na nią mętłym wzrokiem.

– Możliw, możliw – zgodził się.

– Czy ty jesteś pijany?! – zapytała Róża.

– Nie, no co ty... – odpowiedział nieco bełkotliwie jej przyjaciel z wyrzutem. – Czym mmmmmiałbym... się upić?! Wieśśś... iuleńka... poczęstowała mnie tylko... kompocikiem...

– Precyzując: naleweczką. – Wiesia mrugnęła okiem do pisarki. – Pawełek, gdy przyjechał, był tak zestresowany, że musiałam go jakoś rozprężyć. Więc mu swojej naleweczki nalałam. Takiej trochę mocniejszej. Ku zdrowotności je robię i zawsze kilka wożę ze sobą na wszelki wypadek. Wszystkim pomagają! Na nastrój też.

– Właśnie widzę – rzekła z przekąsem Róża. – Ile ty tego wypijeś?

– Szszszklaneczkę – wybełkotał Pepe, po czym prawie złożył kciuk z palcem wskazującym. – Taką... tycią, tycią...

– Ja pierdziele – westchnęła Cecylia – przecież od szklaneczki tego jej zajzajera to można się przekręcić. – Popatrzyła z wyrzutem na swoją siostrę. – Czy ciebie naprawdę już rozum opuścił?!

– Ale, ale!!! – Pepe stanowczym gestem rozepchnął stojące w przedpokoju trzy zdumione kobiety. – Tort!!! Trzeba rozpalić sztuczne... sztuczne... iskry!

Pobiegł do altanki, skąd chwilę później rozległ się taki łomot, jakby co najmniej walnął w to miejsce meteoryt. Wszystkie kobiety ponownie skamieniały. Róża, pełna złych przeczuc, że za moment jej wstawiony przyjaciel puści z dymem całą chałupę, odzyskała sprawność ruchową jako pierwsza. Zrobiła kilka kroków, stanęła w progu altanki i z oszołomienia przyłożyła sobie dłonie do policzków.

Pepe leżał na podłodze, ręce miał wyciągnięte przed siebie, a między nimi szczątki tego, co jeszcze kilka sekund wcześniej było tortem. Na widok Róży oraz wychylającej się z za jej pleców Cecylii uśmiechnął się i z trudem wybełkotał:

– Niech ci gw... iazdka... pomyślnooooości... nigdy... nie... da... w kości!

Po czym opadł głową w sam środek swojego śmietanowo-malinowego dzieła i zasnął snem sprawiedliwego.

## ROZDZIAŁ IV

### BEZ ŚLADÓW

– Ile razy mówiłaś mi, że jestem za mało spontaniczny? – zapytał Pepe, przykładając sobie do głowy zimny okład, podany mu chwilę wcześniej przez Cecylię. – No to raz byłem...

– Aż za bardzo – mruknęła Róża, patrząc na niego ze współczuciem. – Który to twój kac w życiu? Pierwszy?

– Drugi – odpowiedział Pepe. – Tyle że poprzedni był w czasach studenckich i zdążyłem już zapomnieć, jakie to paskudne uczucie.

– A co z wizytą u rodziców? – zaciekała się Róża. – To chyba będą wasze pierwsze święta osobno?

– Zapomnij! – Pepe pokręcił głową. – Gdy mama się dowiedziała, co się wydarzyło, to pogoniła ojca, zapakowali cały bagażnik żarcia i jadą tutaj... To znaczy nie tutaj, tylko do jakiejś mojej ciotki do Białegostoku. Nawet nie wiedziałem, że mam tam jakichś krewnych. Więc po południu ruszam tam i pewnie przenocuję, bo ciotka kiedyś po wycieczce do Londynu wpadła na pomysł, że wybuduje sobie minikopię pałacu Buckingham i w sumie ma tryliard pokoi. Podobno wujek, jak wrócił z rocznego kontraktu i zobaczył tę chałupę, to od razu umarł z wrażenia, więc mieszka sama. Wrócę jutro wieczorem. O ile, rzecz jasna, wcześniej nie eksploduje mi głowa!

– Przecież możemy przyrządzić twój magiczny eliksir! – przypomniało się Róży. – Mamy pod ręką wszystkie potrzebne składniki!

– Kiedy on jest ohydny! – zaprotestował niemrawo Pepe.

Krull zmierzyła go dziwnym wzrokiem.

– Każesz mi go stosować za każdym razem, kiedy mam kaca – rzekła z odcieniem zdumienia.

– Tobie – westchnął Pepe. – Nie sobie...

– No to teraz tym bardziej cię nim napoję – oznajmiła stanowczo Róża. – Pani Cecylio, pstryknie pani gaz pod czajnikiem? Robimy lekarstwo na kaca dla pani pupilka!

– Ojoj... – Gospościa pokręciła głową z troską. – A pan Pawełek to przeżyje?!

– Ja przeżyłam, i to nie raz, to i jemu nie zaszkodzi – stwierdziła Krull.

– Kiedy pani jest... – Cecylia zastanowiła się, jak ubrać w ładne słowa to, co chciała powiedzieć – ...bardziej zaprawiona w bojach! Podobnie jak moja siostra. Gdy ją odprowadzałam z rana na autobus, to sprawiała wrażenie, jakby całą noc przespała, a nie zmarnowała na jakieś szatańskie swawole. Swoją drogą, nie

wiem, co ją opętało, żeby robić z siebie takie dziwowisko. Ten, kto wymyślił przysłowie, że jak łeb siwieje, to dupa szaleje, musiał się nią mocno inspirować. Im starsza, tym głupsza.

– Chyba pani jednak trochę przesadza – zaprotestowała Róża. – Nie ma nic złego w tym, że ktoś lubi się zabawić. Poza tym chciała zrobić pani przyjemność!

– Przebijając się za podstarzałą Świteziankę? – Cecylia popatrzyła na nią z politowaniem. – Co to za przyjemność patrzeć, jak mi siostra na starość idiociej! W pewnym wieku, pani Różyczko, trzeba już zacząć się szanować. Pani, owszem, może sobie pozwalać na szaleństwa, bo jest młoda i nie wygląda jak jakaś artretyczna kokota...!

– Dobra, dobra, niech mnie pani nie bierze pod włos. – Róża popatrzyła na nią z politowaniem. – A ten domorośły znachor niech sam w końcu skosztuje swojej własnej trucizny!

Mniej więcej pięć minut później na stole przed Pepe stanął kubek z napojem, który wymyślił w czasach, gdy był agentem Róży i pewnego poranka musiał błyskawicznie doprowadzić ją do idealnej formy po wyjątkowo rozrywkowej i suto zakrapianej nocy. Traf chciał bowiem, że o poranku Krull miała umówiony wywiad w telewizji, o którym to fackie, rzecz jasna, radośnie zapomniała. W stanie, w którym zastał ją Pepe, nadawała się zaś jedynie do zagrania w nowej wersji słynnego narkotycznego dramatu *Requiem dla snu* i istniała obawa, że przed kamerą nie tylko nie opowie nic o swojej twórczości, ale nawet nie będzie umiała przypomnieć sobie żadnego z piętnastu tytułów napisanych przez siebie książek, a najpewniej zaśnie na kanapie jeszcze przed usłyszeniem pierwszego pytania. Zrozpaczony Pepe, posiłkując się radami z Internetu, stworzył wtedy mieszankę, która w mgnieniu oka postawiła Różę do pionu. Jej bazą była mocna, czarna kawa, do której wycisnął całą cytrynę, dołał trochę soku z kiszzonej kapusty, łyżkę koncentratu pomidorowego i na koniec dołożył czubatą łyżkę miodu. Różę już po pierwszym łyku wykręciło od tego na wszystkie strony świata niczym opętaną dziewczynkę z *Egzorcysty*, ale niedługo później siedziała na kanapie w Tele-Polu, ożywiona, sypiąc jak z rękawa anegdotami i żarcikami.

– Do dna! – Róża posłała teraz swojemu przyjacielowi złośliwy uśmiezek. – Na zdrowie!

Pepe zamknął oczy i łyczek po łyczku wdusił w siebie przygotowaną pieczołowicie przez pisarkę miksturę. Smakowała gorzej niż znieawidzony przez niego sos rybny, którego spróbował kiedyś przez przypadek, po czym od razu pobiegł przepłukać jamę ustną, bo przeraził się, że jeśli nie zrobi tego błyskawicznie, to mu się owo świństwo weźre w zęby i dziąsła, a potem będzie czuł, a co gorsza roztaczał, jego smród do końca życia.

Mikstura, choć paskudna, pomogła mu teraz na tyle szybko, że już po godzinie wsiadł w samochód Barbary i udał się do Białegostoku, w drzwiach mijając się z Nastazją Rudzką. Ta wręczyła jubilatce prezent w postaci ozdobnego kosza wiklinowego, wykonanego przez kocierzyńskiego artystę, po czym rozsiadła się

wygodnie w fotelu w salonie. Róża, która miała w pamięci opinię swojej gosposi o innym tego typu dziele sztuki, wyrażoną pytaniem: „I na chuj mi ta wylęgarnia korników?!”, z podziwem odnotowała, że Cecylii przy odbieraniu podarunku nie drgnęła nawet brew. Choć była też pewna, że wygłoszone w podziękowaniu zdanie: „Jaki piękny! Na pewno znajdę na niego miejsce...” jej gosposia dokończyła w myślach słowami: „na śmietniku”.

– To straszne, co się wyprawia w tym mieście. – Nastazja wyręczyła pisarkę, która od chwili kiedy ją zobaczyła, rozmyślała, jak ma dyplomatycznie nakierować rozmowę na temat wydarzeń wczorajszego wieczoru. – I to w święta! Ludzie to już naprawdę nie mają żadnej przyzwoitości. Jakby nie mogli umierać w normalne dni!

– No właśnie! – Róża usadowiła się na kanapie vis-à-vis niej. – Wiem od pani Cecylii, że była pani świadkiem aresztowania jakiego mężczyzny...

– Tak, Maćka Sobieraja – potwierdziła Nastazja, przykładając sobie rękę do serca. – Gdy tylko o tym pomyślę, od razu dostaję palpacji! Taki sympatyczny młody człowiek. Może odrobinę skryty i melancholijny, ale bardzo kulturalny. Na „dzień dobry” zawsze mi odpowiadał i kilka razy, kiedy zobaczył, że dźwigam zakupy albo jakieś ciężkie toboły, od razu zaoferował się, że mi pomoże. To takie drobne gesty, ale znowu nie tak często spotykane wśród dzisiejszej młodzieży. Zgodzi się, pani ze mną?

Róża, która sama siebie też ciągle zaliczała do „dzisiejszej młodzieży”, potaknęła bez przekonania.

– Za czasów naszej młodości obowiązywała większa kindersztuba, prawda? – Nastazja uraczyła ją miłym uśmiechem.

Ponieważ Rudzka miała tak na oko koło siedemdziesiątki, to tym razem Krull zatchnęło już radykalnie. Minę miała jednak na tyle jednoznaczną, że obserwująca ją Barbara cicho zachichotała.

– Podobno pani wnuczek dowiedział się czegoś ciekawego od Maćka – rzekła po chwili, ratując Różę od dalszych porównań międzypokoleniowych. – Nie zdradził, co to było? Bo może miało coś wspólnego z jego aresztowaniem i śmiercią Jarka?

– Też tak pomyślałam dzisiaj rano! – Nastazja skierowała na nią spojrzenie. – I od razu zadzwoniłam do Alanka, ale niczego wielkiego się nie dowiedziałam. Maciek powiedział mu tylko tyle, że Jarek znalazł niedawno jakieś dokumenty sprzed lat i że jeśli to, co jest tam napisane, się potwierdzi, to wszyscy będą zdziwieni, jak wiele tajemnic kryje nasze małe miasteczko. I dodał jeszcze, że to znalezisko może przynieść im rozgłos i trochę pieniędzy, a komuś innemu wstyd i hańbę. Brzmi to tajemniczo, prawda?

– Raczej niezbyt jasno – mruknęła Róża z niezadowoleniem. – A co pani wie o dworku?

– Tym nawiedzonym? – Nastazja spojrzała na nią z przestrachem. – Że lepiej się do niego nie zbliżać! że każdy, kto nie posłuchał tej rady, marnie kończył. Są takie przeklęte miejsca i ja w to święcie wierzę. Sama nie poszłabym tam za żadne



skarby świata. Nawet nie lubię przejeżdżać obok tej diabelskiej posiadłości! Wszyscy tu tak mamy! Z kim się nie pogada, to wszyscy mówią, że tam zło jakieś siedzi.

– Jednak Jarek poszedł tam czegoś szukać – zauważyła cicho Barbara.

– No właśnie! – krzyknęła triumfalnie Nastazja. – I jak skończył...?! To szatańskie miejsce!

– Co ty za pierdoły opowiadasz?! – oburzyła się nagle Cecylia. – Byłam tam wiele razy i nic takiego nie czułam. Dworek jak dworek.

Trzy pary oczu wgapily się w nią wzrokiem idealnie zbaraniałym.

– Jak to: byłaś tam? – szepnęła w końcu Barbara. – Czemu ja nic o tym nie wiem?

– Bo nigdy nie słuchasz tego, co mówię! – wytknęła jej Cecylia. – Gdy byłam młoda, to dworek był jedynym miejscem, gdzie można było znaleźć odrobinę spokoju. Wszyscy prześcigali się, żeby opowiadać o nim jakieś niestworzone historie, które sami najczęściej wymyślali, a potem sami zaczynali w nie wierzyć. Ludzie to głuptoki, całe życie to powtarzam. Nikt tam nie był, bo wszyscy się bali, więc ja chodziłam tam sobie na wagary. Posiedzieć w ogrodzie, poczytać książki. A potem zaprzyjaźniłam się z Franią.

– Kto to jest Frania? – zaintrygowała się Barbara. – Chyba nigdy nie słyszałam od ciebie tego imienia.

– Franciszka Niepołomicka – wyjaśniła Cecylia. – Ostatnia właścicielka dworku, która w nim mieszkała. Była trochę starsza ode mnie... To znaczy nie jestem pewna, czy była, czy może ciągle jest, bo nie wiem, co się z nią stało po tym, gdy się stąd wyprowadziła.

Nastazja nabrała powietrza, aby coś powiedzieć, ale Róża ją uprzedziła.

– I naprawdę nic was nigdy nie straszyc w tym miejscu? – zdziwiła się. – Żadna zjawa? Zły duch?

– Jedyne, co nas straszyc, to jej brat, bo był wyjątkowo nieatrakcyjnym mężczyzną. Na szczęście bywał tutaj tylko od przypadku do przypadku i nigdy nie zatrzymywał się na noc. Poza tym duchy i zjawy nie istnieją! Kościół zakazuje wiary w takie rzeczy. Nawet jeśli coś takiego się spotka, to przecież wiadomo, że i tak „wszelki duch Pana Boga chwali”!

– A to nie ty przypadkiem twierdziłaś, że mój tata wrócił po śmierci, żeby obejrzeć finał mundialu? – wtrąciła niewinną miną Barbara. – I że sam włączył sobie telewizor i nie dał go wyłączyć, dopóki się nie okazało, kto wygrał?

– Twój ojciec był wyjątkowo uparty – westchnęła Cecylia. – Gdy sobie wbił coś do tego swojego durnego łba, to nawet święty Piotr nie mógł mu tego pewnie wypukać. Ale on nie był wtedy żadną zjawą. To była jego dusza, która nie poszła jeszcze do nieba albo wynegocjowała sobie powrót na kilka godzin. Przyleciała, włączyła sobie telewizor, i jak się tylko skończył mecz, to zaraz sobie odleciała i więcej nie wróciła.

– A dlaczego Franciszka się w końcu też wyprowadziła? – zapytała Róża, zostawiając bez komentarza dziwaczne pośmiertne fanaberie członków rodziny Jodelków. – Basia wspominała, że ze względu na stan zdrowia...

– Tak, tak – potwierdziła Cecylia. – Frania od dzieciństwa cierpiała na nawracające bóle stawów. Leczyło ją wielu specjalistów, odbywała różne kuracje, ale nikt nie umiał jej pomóc. Podejrzewano, że może mieć dziecięcy reumatyzm, i nawet powiedziano jej mamie, żeby była przygotowana, że jej córka może zostać kaleką, bo w wyniku tej choroby dochodzi do uszkodzenia stawów i innych narządów z oczami na czele, a poza tym do osłabienia mięśni i w najgorszych przypadkach nawet do karłowatości, ale ku zdziwieniu tych wszystkich konowałów i wbrew ich tragicznym zapowiedziom Frania wyrosła na normalną i z medycznego punktu widzenia zdrową kobietę. Tyle że wiecznie narzekającą na bóle w kolanach, stopach albo łokciach. I wreszcie po wielu latach ktoś podpowiedział jej, aby zleciła tam wykonanie badań geograficznych i sprawdziła, czy przyczyną nie jest wilgoć...

– Chyba geotechnicznych – poprawiła niepewnie Barbara.

– No, przecież tak powiedziałam! – warknęła Cecylia. – I te badania wykazały, że cała posiadłość wybudowana została na podmokłym terenie. Frania zaczęła szukać w starych dokumentach informacji o tym, co znajdowało się na tych ziemiach, zanim postawiono dworek, i doszukała się w jakichś kronikach kocierzyńskich, że było tam ogromne bagno, w którym utopił się jakiś hrabia i dlatego o tym napisano. Podobno jechał konno wraz ze swoim służącym z Rutków-Kossaków do Białegostoku, gdzie miał poprosić o rękę jakiejś hrabianki. Chciał zaimponować wybrance bogactwem i idealną figurą, więc zestroił się jak cymbał w ciężki, paradny kontusz, a że wyglądał w tym jak słoń, to się pod spodem pozawiazywał w jakieś metalowe, wyszczuplające pasy. Ważył tyle, że koń o mało co nie wyzionął pod nim ducha i jak tylko zwąchał pierwsze lepsze bagno, to go tam wrzucił, a następnie uciekł gdzie pieprz rośnie.

– Wcale nie mam mu tego za złe – mruknęła cicho Róża, która jako miłośniczka zwierząt wywołała kiedyś prawdziwą rewolucję w okolicach Morskiego Oka, kiedy to na widok dwóch ledwie co dychających z przemęczenia i upału koni ciągnących fasiaż z jakimiś kobitami wyglądającymi, jakby przed chwilą zjadły na spółkę ławicę wielorybów, zatrzymała ów pojazd, a następnie za pomocą ciupagi oraz szaleństwa w oku spędziła panie z bryczki i z okrzykiem: „Jak se pochodzicie, to przynajmniej dupska wam schudną!” zmusiła je, aby resztę drogi odbyły pieszo. Było to o tyle łatwe, że korpulentne niewiasty okazały się jej czytelniczkami i wielbicielkami, natychmiast cyknęły sobie z nią milion zdjęć i uznały ten incydent za, jak to określiła jedna z nich, „niezapomnianą wakacyjną przygodę”.

– Służący usiłował mu pomóc, ale ze względu na te metalowe pasy nie dał rady. Dojechał sam do Białegostoku i tam zdał relację z tego, co się wydarzyło. Jego opowieść trafiła do kroniki i tam odnalazła ją Frania. Ponieważ okazało się, że próby osuszenia, czy też raczej dosuszenia, tego miejsca nie mają sensu,

postanowiła się wyprowadzić. Po tym, jak się rozstałyśmy, przez jakiś czas pisałyśmy do siebie listy, ale potem jakoś te nasze kontakty się rozluźniły. Ciekawe, czy jeszcze żyje...

– Żyje, żyje! – zapewniła ją Nastazja. – Nie wiadomo, jak długo jeszcze, ale żyje. Właśnie chciałam ci to powiedzieć, ale pani Róża nie dopuściła mnie do głosu.

– Przepraszam – szepnęła pisarka.

– Co to znaczy, że nie wiadomo, jak długo jeszcze? – zapytała jednocześnie Cecylia. – I skąd to wiesz?

– Ano stąd, że mniej więcej tydzień temu skontaktował się ze mną Roland Niepołomicki.

Cecylia wydała z siebie nieartykułowany okrzyk zdumienia.

– No właśnie! – Nastazja mrugnęła do niej porozumiewawczo i pokiwała głową. – Wtedy nie wydało mi się to jakoś specjalnie dziwne, ale teraz, w świetle tego, co wydarzyło się w dworku, uważam to za bardzo podejrzane...

– Kim jest ten cały Ronald? – zapytała Róża. – Właścicielem dworku? Bratem tej całej Frani?

– Po pierwsze, Roland, nie Ronald – poprawiła ją Nastazja – a po drugie, nie bratem, tylko bratankiem. Synem Tadeusza, tego, który tak bardzo nie podobał się Cecylii, choć ja go zapamiętałam jako całkiem postawnego mężczyznę.

– Zawsze miałaś jakiś dziwny gust – mruknęła z lekceważeniem Cecylia. – Moim zdaniem wyglądał jak wąsaty cep.

– Prawdziwy chłop musi mieć wąsa...

– I wyglądać jak sum?!

– Moje drogie! – Róża, czując, że rozmowa niebezpiecznie zbacza z właściwego toru, postanowiła zainterweniować. – Pokłóćcie się później! Są ważniejsze sprawy. Pani Nastazjo, czego chciał ten Roland?

– Wynająć pokój. Bo ja tu mam drugi dom, właściwie domek, i podnajmuję go, żeby dorobić sobie do emerytury. Roland zadzwonił, potem połączył się ze mną na Skype, bo tak było mu wygodniej, i zapytał, czy teraz mam tam jakichś gości, bo ich ciocia przed śmiercią chciała jeszcze raz zobaczyć swoje rodzinne strony i w związku z tym wybraliby się tu tuż po świętach.

– Nie mogli zatrzymać się w dworku? – zdziwiła się Cecylia.

– W ruinie, po której hula wiatr? – Barbara posłała jej sarkastyczne spojrzenie.

– Aż tak źle to teraz wygląda? – upewniła się jej mama. – Kiedy ostatni raz tam byłam, był to normalny dom. Taki jak wszystkie inne. Tyle że większy.

– Teraz są tam głównie gołe ściany – Róża przypomniała sobie te fragmenty posiadłości, które dane jej było zobaczyć w ciągu tych kilku minut, kiedy tam przebywała w oczekiwaniu na przyjazd policji – jakieś zdezelowane meble, no i zaskakująco dobrze utrzymana posadzka. Oczywiście poza dziurą, którą ktoś zrobił na samym środku holu.

– No tak... – westchnęła Cecylia, po czym popatrzyła na Nastazję. – Nic więcej nie mówił?

– Roland? – upewniła się Rudzka. – Niewiele. Kiedy go poinformowałam, że mój domek jest wolny, upewnił się tylko, czy są w nim trzy osobne pokoje z miejscami do spania.

– Trzy?

– Tak. Poza Franią i nim przyjedzie jeszcze jego siostra Laura, o ile dobrze usłyszałam imię. Słuch już u mnie nie taki dobry jak kiedyś, a on mówił tak niewyraźnie, że połowy musiałam się domyślać.

– I kiedy przyjeżdżają? – zapytała Róża.

– Pojutrze.

– Znakomicie! – ucieszyła się pisarka.

Barbara popatrzyła na nią podejrzliwie.

– A to dlaczego? – zapytała, choć właściwie znała odpowiedź.

– Bo jeśli to nie był wypadek, to... – zaczęła Róża i w tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka przy furtce.

Barbara wstała, przeszła do przedpokoju, przycisnęła jeden z guziczków na domofonie i wyszła z domu. Po chwili wróciła w towarzystwie Bartka Domagalika i nieznanej Róży drobnej, na oko dwudziestokilkuletniej blondynki o trupio bladej twarzy, wyraźnie zmęczonej i sprawiającej takie wrażenie, jakby dopiero co przestała płakać. Na jej widok Nastazja poderwała się z miejsca, z okrzykiem „Kochanie...!” podbiegła do nieznajomej i serdecznie ją objęła.

– Bardzo przepraszamy za najście – rzekł z zakłopotaniem Bartek – ale nie za bardzo wiedzieliśmy, co zrobić. Chcieliśmy pójść do podkomisarza Fronczaka, ale nie ma go ani w domu, ani na komisariacie. To znaczy zrozumią, że w święta tam nie urzęduje, ale mieliśmy nadzieję, że w związku z tym, co się stało wczoraj, może go tam zastaniemy. Skoro już byliśmy w pobliżu, to wpadłem na pomysł, żeby poradzić się Róży. W końcu jest specjalistką od spraw kryminalnych...

– Bardzo mądra decyzja – pochwaliła go Krull. – A jaki macie problem?

– Pozwól, że najpierw przedstawię ci... – Bartek położył rękę na ramieniu dziewczyny, która delikatnie wyswobodziła się z objęć Rudzkiej. – To jest Patrycja.

Róża była pewna, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin słyszała już to imię, tylko nijak nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Ucisnęła rękę dziewczyny, po czym wskazała jej miejsce obok siebie na kanapie.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytała ponownie.

– Patrycja jest... To znaczy była narzeczoną Jarka – rzekł Bartek, siadając na fotelu vis-à-vis nich – i dzisiaj rano odkryła coś dziwnego. Właściwie zostało jej to dostarczone...

Róża pomyślała z rezygnacją, że chyba faktycznie dostaje początków demencji. Oczywiście! Patrycja! Wczoraj przecież imię to usłyszała od Barbary wieczorem

w samochodzie!

– Co takiego? – spytała, postanawiając w duchu ograniczyć spożycie masła, które, jak kiedyś wyczytała, fatalnie wpływało na pamięć.

– List – odpowiedziała cicho dziewczyna. – Właściwie to nawet nie list, bo nie ma tam zbyt wiele napisane. Po prostu taki świstek papieru... – Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła stamtąd złożoną na dwoje kartkę wyrwaną z zeszytu w kratkę.

Róża wyciągnęła rękę, ale dziewczyna, która już chciała jej podać trzymany w rękę karteluch, nagle wyraźnie się zawahała.

– Może ja to pani po prostu pokażę? – rzekła niepewnie. – Moje ślady papilarne już i tak tam są, ale pani chyba nie powinna zostawić swoich, bo policja może potem nie uwierzyć, że zostawiła je pani teraz. Ja... Uwielbiam kryminały, zwłaszcza napisane przez panią, i wiem z nich, że powinno się zwracać uwagę na każdy drobiazg. Jarek zresztą też bardzo lubił pani powieści... – Jej głos zadrżał, a oczy niebezpiecznie się zaszklily.

– Jasne. – Róża pokiwała głową.

Dziewczyna rozłożyła kartkę. Róża zerknęła na nią i zmarszczyła brwi. Cecylia i Nastazja wstały ze swoich miejsc, stanęły im za plecami, przebiegły wzrokiem treść kartelucha i najwyraźniej straciły zdolność mowy.

– No i co tam jest? – zapytała ze zniecierpliwieniem Barbara, która jako jedyna została na swoim miejscu, z którego nie widziała, co było napisane na kartce.

– Coś dziwnego... – odpowiedziała jej Krull, jak zahipnotyzowana wpatrzona w świstek.

Znajdowało się na nim krótkie zdanie, nabazgrołone kulfoniastymi, nieforemnymi, dużymi literami przez kogoś, kto najwyraźniej chciał zakamufłować swój charakter pisma.

– „Twój chłoptaş został zabity” – przeczytała na głos Krull. – „Wiem, kto jest mordercą. Zdradzę ci ten sekret, ale najpierw złap mnie, jeśli umiesz! Gall Anonim”.

– Słucham? – zdziwiła się Barbara. – To jakiś żart?!

– Nawet jeśli, to wyjątkowo niesmaczny – przyznał Bartek – ale wydaje nam się, że nikt w Kocierzynie nie ma aż tak zwyrodniałego poczucia humoru. Poza tym nawet jeśli to dowcip, to i tak powinno się to pokazać policji.

– Na pewno – zgodziła się Róża, po czym popatrzyła pytająco na Patrycję. – Jak to się dostało w twoje ręce?

– Z rana, a dokładnie o siódmej, obudził mnie dzwonek – dziewczyna złożyła kartkę i włożyła ją z powrotem do kieszeni – przy furtce. Kiedy tam doszłam, nikogo już nie było. Ten anonim... Tak to się nazywa, prawda?

Róża potaknęła.

– Ktoś go wepchnął w furtkę, tuż nad klamką. Nie sposób go było nie zauważyć. Kiedy przeczytałam to, co tam napisano, natychmiast rzuciłam okiem na drogę,

ale była pusta. Dziwne, bo mój dom znajduje się na końcu ślepej uliczki. Droga do niego nigdzie nie skręca ani nie przecina jej żadna inna ulica, i to przez dobrych kilkaset metrów. Powinam była jeszcze zobaczyć tego, kto mi podrzucił ten list. Bo przecież nie rozplynął się w powietrzu!

– Jesteś pewna, że nie zdążyłby ci zniknąć z pola widzenia w czasie, kiedy szykowałeś się do wyjścia? – upewniła się Róża.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Po tym, jak wczoraj dowiedziałam się o... Jarku – jej głos znów zadrżał – nie mogłam długo zasnąć. Siedziałam na werandzie i rozmawiałam z moją mamą, która dla uspokojenia wlała we mnie chyba z pół litra koniaku. Poszłam spać koło czwartej. Kiedy dowlokłam się do łóżka, to nie miałam już siły, żeby zdjąć ubranie, więc w nim zasnęłam. Gdy z rana usłyszałam dzwonek, to tylko po drodze narzuciłam na siebie kurtkę. Nie wiem, ile mogło mi to zająć, ale nie więcej niż kilkadziesiąt sekund. To za mało, aby nawet dobiec do końca ulicy. Ten ktoś musiałby być chyba sprinterem.

– A ślady na śniegu? – Umysł Róży pracował na najwyższych obrotach. – Przecież ten ktoś musiał je zostawić!

Dziewczyna popatrzyła niepewnie na Bartka.

– Nie mówcie mi, że przeoczyliście tak ważny dowód! – bez mała krzyknęła pisarka.

– Nie, nie. – Domagalik pokręcił głową. – Problem w tym, że tam nie było żadnych śladów.

Róża lekko zbaraniała.

– Jak to?

– Patti najpierw zadzwoniła do mnie – wyjaśnił Bartek. – Przybiegłem do niej, jak tylko mogłem najszybciej. Czekala na mnie u wylotu ulicy. Pierwsze, co mi powiedziała, to że nie ma żadnych śladów. Trochę nas to przeraziło. Tym bardziej że chodzi przecież o nawiedzony dworek...

– Bartek! – Róża popatrzyła na niego z oburzeniem. – Zastanów się, co wygadujesz!

– Wiem, że brzmi to idiotycznie – zgodził się Domagalik – ale fakt jest faktem. Nad ranem padał śnieg i droga jest cała biała. Gdy tam dotarłem, to były na niej tylko ślady Patti i nikogo więcej. A przecież ktoś zostawił tę kartkę i zadzwonił do furtki!

– Chcesz mi powiedzieć, że twoim zdaniem to był duch? – rzekła Róża z wyraźnym politowaniem. – W dodatku bazgrzący jak kura pazurem? Weź się i opanuj!

– Co ja ci na to poradzę? Od dzieciństwa słyszę, że wszystko związane z tym dworkiem jest paranormalne. I to od wielu osób! Sama też byś w końcu uwierzyła, że to miejsce jest nawiedzone...

Nastazja nabożnie się przeżegnała. Cecylia spojrzała na nią z przekąsem

i nakreśliła sobie znak kółka na środku czoła.

– Nie ma miejsc nawiedzonych! – rzekła stanowczo.

– A Trójkąt Bermudzki?! – nie dawał za wygraną Bartek, nieco zawstydzony, że wypada na przesądnego trzęsidupka, i to w większym stopniu niż jego własna babcia, która spóźniła się trzydzieści minut na ślub swojej córki, bo w drodze do Kocierzyna przez jezdnię przebiegł jej czarny kot i w związku z tym musiała nadłożyć kilkadziesiąt kilometrów, żeby jej trasa nie przecięła się z wytyczonym przez niego szlakiem. – Wiele jest rzeczy, których nie da się logicznie wytłumaczyć!

– Proszę cię! – prychnęła lekceważąco Róża, która przy okazji researchu do swojej ostatniej książki była na bieżąco ze wszystkimi kwestiami związanymi ze wzmiankowanym przez Bartka fragmentem naszej planety. – Poczytaj sobie, a dowiesz się, że według najnowszych badań w Trójkącie Bermudzkim wybucha metan. Naukowcy w Norwegii znaleźli kraterę po wybuchu tego gazu na dnie Morza Barentsa. Metan nagromadzony tam w formie przypominającego lód hydratu, uwalniał się gwałtownie i zostawiał dziury o głębokości nawet pięćdziesięciu metrów i średnicy trzech czwartych kilometra. Podobno analogiczne zjawiska zachodzą też w Trójkącie Bermudzkim i nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Tak jak i tutaj. Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Jak mocno padał śnieg, gdy przyjechałeś na miejsce? Może zdążył pokryć ślady?

– W ogóle już nie padał.

– Może po prostu coś przeoczyliście?

– W sensie, że na przykład list dostarczył pies? – Tym razem to w głosie Bartka słychać było ironię. – A potem zadzwonił dzwonkiem? Też nie! Jedyne, co mogłoby wchodzić w rachubę, to ewentualnie ptaki, ale nie wiem, czy istnieją takie, które można aż do tego stopnia wyszkolić. – Widząc, że Róża nadal ma podejrzliwą minę, wyciągnął z kieszeni komórkę, przejechał palcem po ekranie i podał ją Róży. – Co ja cię będę przekonywał... Sama popatrz! Zrobiłem zdjęcia, żeby mieć dowód na policji.

Krull przyjrzała się uważnie kilku fotkom prezentującym długą, zasypaną śniegiem ulicę, przy której z obu stron ciągnęły się rozmaitego kształtu i koloru ogrodzenia, od zwykłych drewnianych płotów po ozdobne parkany, odgradzające ją od zabudowań. Pisarka powiększyła nawet dwa zdjęcia, ale nie dopatrzyła się na nich żadnych śladów poza tymi, które należały do Patrycji.

– Faktycznie dziwne... – mruknęła pod nosem.

– I co? Masz jakąś teorię.

– Nie. – Krull pokręciła głową, postanawiając na razie nie zdradzać tego, co myśli. Zaświtało jej bowiem w głowie wyjaśnienie tej zagadki. Tyle że nienadające się do ogłoszenia w tym gronie.

Przez moment panowało milczenie.

– Nie napilibyście się czegoś? – Barbara zniecka przypomniła sobie o swojej

roli gospodyni. – Mam kompot z suszu albo czerwony barszczyk? Pierwszy jest znakomity na zimno, a drugi w razie czego podgrzeję...

– Chętnie – odpowiedział Bartek. – W sumie od rana nic nie jadłem...

– Ja też nie – przyznała nieśmiało Patrycja – i w dodatku chyba po wczorajszym wieczorze mam kaca.

Róża zdusiła w sobie chęć poczęstowania jej pozostałą resztką mikstury Pepe. Tym bardziej że zużyła do niej resztę soku z kiszonej kapusty, jaki Barbara miała w lodówce, a obawiała się, że ze zbliżającym się sylwestrem może się ona jeszcze w tym towarzystwie przydać.

– W takim razie zaraz przygotuję też coś do jedzenia! – Barbara zerwała się ze swojego miejsca.

– Pomogę ci! – zaoferowała Róża. – Na pewno przyda ci się tam trzecia i czwarta ręka!

Barbara popatrzyła na nią ze zdumieniem, ale nie zaprotestowała.

– Mów! – rozkazała, kiedy tylko weszły do kuchni. – Przecież wiem, że nie chcesz mi pomóc, tylko pewnie o coś zapytać albo coś mi powiedzieć.

– Naprawdę masz mnie za aż tak aspołeczną jednostkę? – zmartwiła się Róża.

– Nie, po prostu Pawełek powiedział mi kiedyś, że w kuchni czujesz się bardziej zagubiona niż Kaja Godek na Paradzie Równości i że jedyne, co potrafisz zrobić w tym pomieszczeniu, to wykręcić numer do Wolta i zamówić sushi z dowozem. Więc...?

– Chciałabym, żebyś powiedziała mi, co myślisz o Patrycji – rzekła z rezygnacją Krull, myśląc jednocześnie w duchu o swoim byłym agencie w sposób nienadający się do powtórzenia w żadnym kulturalnym towarzystwie. – Czy można jej ufać?

Barbara zastanawiała się przez dłuższy moment, jednocześnie wyciągając z lodówki kolejne świąteczne potrawy.

– Myślę, że tak – odpowiedziała w końcu, pstrykając włącznik gazu pod garnkiem z barszczem. – Głowy oczywiście za to nie dam, ale znam jej rodzinę. Spokojni, kulturalni ludzie. Nigdy nie słyszałam ani o nich, ani o niej niczego złego. Czemu pytasz?

– Bo jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy à propos braku tych śladów – rzekła Róża powoli – jest takie, że ich nie ma, bo nikt nie zostawił tej wiadomości.

– Nie rozumiem. – Barbara spojrzała na nią pytająco.

– Mogła napisać ją sama – wyjaśniła Krull, po czym, widząc, że Jodelka marszczy brwi, szybko dodała: – Nie twierdzą, że tak było, ale tak naprawdę to najprostsze i najbardziej logiczne wytłumaczenie.

Barbara rozważała przez moment jej słowa.

– Owszem – przyznała niechętnie. – Możesz mieć rację. Tylko po co by jej to było?



– Nie wiem. – Róża rozłożyła ręce. – Dlatego zapytałam, czy masz do niej zaufanie. Teoretycznie nie wygląda na niezrównoważoną ani też na jakąś tanią sensatkę, ale młodzi ludzie są teraz dziwni i trochę już za nimi nie nadążam. Choć powinnam, bo w sumie niedawno też byłam jeszcze nastolatką.

– Tak, oczywiście. – Barbara zanurkowała dyplomatycznie w lodówce, żeby nie ujawnić swojej rozbawionej miny. – Gdzie też ja podziałam ćwikłę?

– Tym niemniej – na szczęście Róża nie zwróciła uwagi na jej reakcję – warto byłoby, aby policja jak najszybciej zbadała ten anonim. Gdzie mieszka ten cały Fronczak? Daleko?

– A bo tu cokolwiek jest daleko? – zauważyła filozoficznie Barbara. – Jak mieszkałam w Warszawie na Żelaznej, to wydawało mi się, że do Łazienek Królewskich też ode mnie jest bliźutko, a to taka odległość, że gdyby ją przełożyć na warunki Kocierzyna, to byłabym już w następnym miasteczku. Podkomisarz ma taki mały domek między rynkiem a kościołem. Nie wiem zresztą, jak wytrzymuje codzienną pobudkę, bo przecież dzwony kościelnie potrafią u nas z rana bić nawet przez kwadrans. Kiedyś wprawiał je w ruch wielebny i było normalnie, dwa–trzy uderzenia i po krzyku, ale ostatnio mu się znudziło i powierzył to zadanie siostrze Eulalii. A ta, jak się uwiesi na tych sznurach, to niczym małe dziecko na huśtawce, buja się i buja. Wcale się nie zdziwię, jeśli kiedyś w dzwonnicy znajdziemy jej zwłoki, bo przecież ile można to znosić? Już były skargi do wielebnego, a stara Antosiakowa, która mieszka obok podkomisarza, mówi, że od tego huku już jej się do końca we łbie pomieszało i co rano jest pewna, że dzwony biją na alarm, bo na Kocierzyn najeżdżają Krzyżacy. Ale wielebnemu to nie przeszkadza, bo mieszka koło Patrycji, z dobry kilometr od kościoła.

– Nie na plebanii? – zdziwiła się Róża.

– Nie. On pochodzi z Kocierzyna i odziedziczył dom po swoich rodzicach. Plebania też jest, ale mieszkają tam tylko siostry. A co do podkomisarza, słyszałaś przecież, że nie ma go w domu!

– Ale znam kogoś, kto ma do niego prywatny numer, i zaraz się dowiemy, gdzie jest i za ile może się z nami spotkać. Zastanawiałam się więc, dokąd mamy bliżej, czy na komisariat, czy do niego, ale w sumie wychodzi na to, że obojętne.

– Jak niby zdobędziesz do niego numer? Teraz? W święta? – Barbara lypnęła na nią podejrzliwie.

– Proszę cię...! – Róża pufnęła pogardliwie. – Dla mnie nie ma rzeczy trudnych! – Wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała jeden z kontaktów. – Krzyś? – upewniła się. – Wesółych Świąt! Co? Nie, nic nie narozrabiałam! Skąd taki pomysł?! Po prostu chciałam ci złożyć życzenia... Ale dlaczego jesteś taki podejrzliwy...? Nie, nie zrobiłam znów nic idiotycznego. I nie wiem, skąd ci się wzięło słowo „znów”! Niby kiedy...? A, no może... Ale to był tylko jeden raz! Co? No dobrze, dwa razy każdemu mogą się zdarzyć. Nie, nie idiocieję! Siedzę sobie spokojnie na Podlasiu, wypoczywam i zbieram inspiracje do nowej książki. I tak pomyślałam, że

przydałaby mi się jakaś fachowa konsultacja, a ponieważ wiem, jak bardzo jesteś zajęty, to przyszło mi do głowy, że może mógłbyś mi dać numer do swojego tutejszego protegowanego, podkomisarza Fronczaka...? Że co...? A, zbyt dobrze mu życzysz? Jak ja mam to niby rozumieć? Oj, proszę cię, Krzys, nie wygłupiaj się, bo inaczej będę wydzwaniała do ciebie! Sam sobie oceń, co będzie mniejszym złem! Nie, naprawdę nic się nie wydarzyło. To jak? Prześlesz mi SMS-em? Widzisz, potrafisz być cudowny, jeśli tylko chcesz. Ucałuj ode mnie Betty! I powiedz jej, że jeszcze raz mi umówi przedświąteczne spotkanie autorskie w przedszkolu, gdzie każą mi się przebrać za Pszczółkę Maję, to ją zwolnię! Widziałam zdjęcia z tego spotkania. Wyglądałaś jak przerośnięty bąk! No to pa! I czekam na SMS-a! – Rozłączyła się i popatrzyła triumfalnie na Barbarę. – Widzisz?

– Dzwoniłaś do komisarza Darskiego? – upewniła się Jodelka.

– Tak. – Ciągłe zadowolona z siebie Róża pokiwała głową. – Na początku, jak słyszałaś, był trochę podejrzliwy. Jak zawsze, choć przecież znamy się już tyle lat i doskonale wie, że może mieć do mnie zaufanie. Ale ten typ po prostu tak ma. Sama jednak przyznasz, że udało mi się to załatwić bardzo dyplomatycznie!

Dokładnie w tej samej chwili w drzwiach stanęła Cecylia. W rękę trzymała telefon swojej córki. Ekranik smartfona jarzył się błękitnym światłem.

– Ktoś do ciebie dzwoni – oznajmiła Cecylia, podając córce komórkę. – Nieznany numer.

Basia przejechała palcem po ekraniku i przyłożyła aparat do ucha.

– Dzień dobry – rzekła. – A, to pan komisarz. Tak, słucham...?

Krull przewróciła oczami i wymamrotała pod nosem coś, co Barbara i Cecylia zidentyfikowały jako słowo „sukinmłot”.

– Nie, tym razem Róża nikogo nie zamordowała – zapewniła Darskiego młodsza Jodelka. – Zdarzył się wypadek. Przynajmniej mamy nadzieję, że to był wypadek, a nie zbrodnia. Znalazła zwłoki naszego miejscowego kustosza. Nie, nie weszła nigdzie jak psychopatka, tylko natknęła się na nie przypadkowo. Słucham? Nie, nie, słowo daję! I w związku z tym mamy jedną pilną sprawę, o której warto, żeby podkomisarz Fronczak dowiedział się jak najszybciej. Tak, byłoby miło, gdyby pan do niego zadzwonił i poprosił, aby się z nami skontaktował. Będę panu bardzo wdzięczna. I przy okazji wesołych i spokojnych świąt życzę! Dziękuję! Przekażę, oczywiście!

– No, wielkie dzięki! – rzekła z przekąsem Róża, kiedy Barbara zakończyła połączenie. – Teraz będzie mnie miał za kłamczuchę i krętaczkę.

Basia popatrzyła na nią z politowaniem.

– Naprawdę uważasz, że dotychczas cię za taką nie miał? – rzekła niewinnym tonem, po czym szybko dodała: – A teraz pomóżcie mi obie pozanosić to wszystko do salonu. Sensacje sensacjami, a jeść trzeba!

## ROZDZIAŁ V

### BIAŁA DAMA

Choć w czasie przygotowywania się do pełnienia swoich obowiązków podkomisarz Fronczak przeszedł wiele rozmaitych szkoleń, to jednego nie nauczył się nigdy: jak zachować twarz pokerzysty. Przesłuchiwani przez niego ludzie doskonale wiedzieli, kiedy ich zeznania go irytują, kiedy nużą, a kiedy śmieszą. W chwili gdy po rozmowie telefonicznej ze swoim warszawskim kolegą podjechał do domu Barbary, a następnie rozsiadł się wygodnie na kanapie i dostał do ręki anonim, podrzucony wcześniej nie wiadomo jakim sposobem Patrycji, dla sześciu obserwujących go bacznie osób było jasne, że jest bezbrzeżnie zdumiony. Powodów ku temu było kilka, acz o tym oczywiście jego towarzysze nie mogli wiedzieć. Po pierwsze, Fronczak od poprzedniego wieczoru zdążył już sobie w głowie zakwalifikować zdarzenie w Dworku Pod Dębami jako wypadek. Po drugie, także wstępna opinia lekarska głosiła, że śmierć najprawdopodobniej nastąpiła w wyniku przerwania rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym, zwanego popularnie skręceniem karku, spowodowanego upadkiem ze schodów rezydencji. I wreszcie po trzecie, podkomisarz zdążył w nocy przestuchać najbliższego przyjaciela nieboszczyka, Macieja Sobieraja, który co prawda na widok policjantów usiłował zwać przez okno swojego pokoju, a potem po gzymsie, i dlatego został przewencyjnie zakuty przez nich w kajdanki, ale kiedy się już uspokoił, złożył dość logicznie brzmiące, acz i nie najlepiej świadczące o jego umysłowości zeznania.

Wynikało z nich, że obaj z Jarkiem szukali w dworku ukrytych tam lata temu kosztowności, a przy okazji też i dokumentów, świadczących o tym, że posiadłość ta należy się zupełnie komu innemu niż jej aktualni właściciele. Ponieważ według wskazówek zawartych w dokumencie, który dostał się w ręce Klina, owych skarbów należało szukać pod posadzką, zaczęli ją skuwać, ale delikatnie i ostrożnie – tak, żeby potem przywrócić wszystko do początkowego stanu. Tym bardziej że owa posadzka była nieźle zachowana i aż cud, że nikt jej wcześniej nie usiłował gwizdnać. Ta feralna noc była drugą, od kiedy się tam zainstalowali. Pierwsza przeszła bez żadnych incydentów, czego nie da się powiedzieć o kolejnej. Najpierw spłoszyły ich odgłosy silnika samochodowego dobiegające od strony bramy wjazdowej znajdującej się po przeciwnej stronie ogrodzenia niż furtka. Tak to zostało jakoś dziwacznie pomyślane przez architekta tej posiadłości, że pieszo wchodziło się do niej przez furtkę od strony frontu, natomiast karety i inne większe środki lokomocji musiały podjechać od tyłu, a przybywający nimi goście – obejść pół dworku, żeby dostać się do jego wnętrza. Warkot dobiegł od tej tylnej strony i sprawił, że przez kilka minut siedzieli obaj

z Jarkiem w ciemnościach, przygotowani na szybką ewakuację, gdyby usłyszeli, że ktoś chce się dostać do środka, bo w końcu, jak by nie patrzeć, przebywali tam nielegalnie. Nic takiego jednak nie nastąpiło, doszli więc do wniosku, że pewnie samochód tylko przejeżdżał obok. Dziwne, wzięwszy pod uwagę, że biegnąca tamtędy droga prowadziła dokładnie do niczego, a mówiąc konkretniej do małego jeziorka, będącego prywatną własnością jednego z mieszkańców Kocierzyna i ogrodzonego przez niego drutem kolczastym godnym więzienia Guantanamo. Nawet po sforsowaniu tych zasieków jeziorka jako takiego nie dało się pokonać inaczej niż tylko amfibią. Maciek z Jarkiem doszli więc do wniosku, że zapewne kierowca owego warczącego pojazdu pomylił drogę, zorientował się, że dojedzie donikąd, zawrócił i odjechał. Na wszelki wypadek wyjrżeli przez wielkie okna, ale zobaczyli tylko biały śnieg zalegający aż do ogrodzenia dworku, zasłaniające horyzont drzewa i ani żywego ducha. Uspokojeni, wrócili do roboty.

Nie minął kwadrans, kiedy do ich uszu dobiegły jakieś niepokojące piski i odgłosy przypominające rżężenie. Zaczęli szukać ich źródła. Ponieważ w środku dworku nie znaleźli nic, wyszli na zewnątrz i oto ich oczom ukazała się... mała biała świnka z wielką czerwoną kokardą na szyi, znana im doskonale jako pupilka Dżessiki Bąk. Biedne, przerażone zwierzątko, które – jak wykoncypowali – najwyraźniej chciało się dostać do środka i zaczęło się wspinać po schodach, musiało się poślizgnąć i nieszczęśliwie utknęło w zaspie, z której nijak nie umiało się wydostać. Wydobyli je czym prędzej i zaczęli uspokajać. Dolores nawet szybko doszła do siebie. Postanowili, że na razie pozwolą jej pozwiedzać dworek, a potem odwiozą do właścicielki. Wrócili do swojej roboty, ale ich nowa towarzyszka zaczęła podejrzenie kichać. Przestraszyli się, że pobyt w zaspie źle wpłynął na jej zdrowie. Jarkowi przypomniało się, że na piętrze widział jakieś stare koce i fragmenty zdezelowanego materaca, które mogły się przydać jako legowisko dla Dolores. Wbiegł więc na piętro, a potem zniknął Maćkowi z oczu, aby po chwili pojawić się na górze, niosąc jakieś gałgany. Był już przy samych schodach, kiedy nagle z przeciwnej strony niż ta, z której nadchodził, pojawiła się... W tym momencie na twarzy Maćka podkomisarz dostrzegł tak ogromną zgrozę, że aż sam poczuł gęsią skórkę. Pojawiła się ONA! Kobieta w bieli. Twarz miała skrytą za woalką, ubrana była w szatę jaśniejącą takim blaskiem, jakby wychodziły z niej płomienie, a do tego zdawała się nie iść, ale raczej płynąć w powietrzu. Z każdą chwilą była coraz bliżej Jarka! Ten wydał z siebie przeraźliwy okrzyk, wypuścił z rąk szmaty i chciał zbiec po schodach. Potknął się jednak już na pierwszym z nich i runął w dół, po kilku chwilach lądując na posadzce w pobliżu kopanej przez nich dziury.

Maciek podbiegł do niego, ale Klin nie dawał już znaku życia. Nie miał pulsu, nie oddychał. Sobieraj przestał myśleć racjonalnie. Rzucił tylko okiem na górę, ale piekielnej zjawy już tam nie było. Nawet nie miał odwagi spojrzeć na schody i sprawdzić, czy aby nie zmierza ona nimi na parter. Ogarnęła go tak wielka panika, że rzucił się do ucieczki. W głowie miał tylko jedną myśl: „Byleby i mnie nie dopadła!”. Ochłonął dopiero wtedy, kiedy dobiegł do swojego domu, a i to nie

do końca, bo nawet gdy już znalazł się w swojej sypialni, nadal szcząkał zębami i trzęsły mu się ręce. Zastosował więc jedyną metodę, jaka zawsze pozwalała mu się odprężyć, a mianowicie zajał odrobinę „zioła”. Przy czym określenie „odrobina” było mocno umowne, zważywszy, że najpierw zapadł w sen, a kilkadziesiąt minut potem przeżył kolejny, mocno irracjonalny atak paniki, spowodowany wizytą policji. Bardzo przepraszał za próbę ucieczki, ale wydawało mu się, że nikt nie uwierzy w tę dziwną opowieść. Na pytanie, skąd wzięły się ślady krwi na kilofie, stwierdził, że nie ma zielonego pojęcia, bo gdy ostatni raz miał go w ręku, na pewno ich tam nie było. Podkomisarz mógł teoretycznie nie dowierzać jego słowom. Znał jednak Sobieraja na tyle dobrze, aby być pewnym, że nie siedzi przed nim ktoś, kto z siebie tylko znanych przyczyn nagle zwariował i po prawie trzydziestu latach znajomości postanowił zabić swojego najlepszego kumpla. Istniała oczywiście możliwość, że mógł mieć jakiś niezamierzony udział w jego śmierci, na przykład przez przypadek zrzucić go ze schodów, a potem ze strachu wymyślić opowieść o zjawie z zaświatów, ale Fronczak też traktował tę wersję jako mniej prawdopodobną. O wiele bardziej przekonująca wydawała mu się hipoteza, że tego wieczoru w dworcu przebywało więcej żywych istot niż dwóch mężczyzn i jedna świnka. Jeśli tak, to należało sprawdzić, kim była owa „Biała Dama”. Podkomisarz nie wierzył bowiem, żeby był to duch. Zaprotokołował zeznania Sobieraja, po czym pouczył go, żeby na razie nie oddalał się ani na krok poza Kocierzyn, i puścił go do domu.

Oczywiście żadnej z tych informacji Fronczak nie mógł teraz zdradzić towarzyszącym mu osobom.

– I twierdzi pani, że nie widziała żadnych śladów kogoś, kto to dostarczył? – upewnił się, spoglądając na Patrycję.

W odpowiedzi Bartek zaprezentował mu te same fotki, które wcześniej pokazał Róży.

– Hmm, faktycznie dziwne – przyznał policjant, po czym, najwyraźniej tknięty tym samym podejrzeniem, które pojawiło się w głowie pisarki, znów popatrzył na Dworzak. – Czy ma pani jakichś świadków, którzy mogliby potwierdzić jej wersję zdarzeń?

– Jaką wersję? – zapytała Patrycja ze zdziwieniem.

– Że faktycznie znalazła pani tę kartkę zatknietą w furtkę – wyjaśnił podkomisarz, nie przestając przeszywać ją przenikliwym wzrokiem.

Patrycja przez moment patrzyła na niego, sprawiając takie wrażenie, jakby nie rozumiała sensu jego pytania, po czym lekko poczerwieniała na twarzy.

– Myśli pan, że ja to sama napisałam?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem. – I wymyśliłam, że ktoś mi to podrzucił? Czemu miałabym to zrobić?!

– Na pewno nie ma żadnego powodu? – Fronczak zmarszczył brwi. – Być może wie pani coś, czego nie sposób było ujawnić w żaden inny sposób, jak tylko wywołując taką... sensację.

– Ale co niby miałabym wiedzieć? – jęknęła Patrycja.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zapytała pani, dlaczego miałyby coś takiego zrobić, więc wymieniłem pierwszy lepszy powód, który przyszedł mi na myśl. Teraz wróćmy do mojego pytania. Czy jest ktoś, kto może potwierdzić pani słowa?

Patrycja zastanowiła się przez moment, po czym niepewnie pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że nie – przyznała cicho. – Rodzice spali... Może babcia patrzyła przez okno. Nie wiem. Należałoby ją spytać. Ale jak znam życie, to pewnie też nie. Jak nie trzeba, to zawsze filuje przez to okno, jakby pracowała jako ochroniarz, więc pewnie teraz, kiedy wreszcie by się to na coś przydało, to sobie wyjątkowo odpuściła. Zawsze tak jest!

Róża w duchu przyznała jej rację. Sama doskonale pamiętała, co przydarzyło się jej kiedyś w czasie transmitowanej przez telewizję uroczystej gali. Czekala wówczas niecierpliwie na kategorię, w której była nominowana. Przyczyną zniecierpliwienia był krępujący fakt, że nie zdążyła w domu załatwić potrzeby natury fizjologicznej i w związku z tym z każdą minutą była coraz bardziej rozdarta między niepewnością, czy aby zaraz nie ogłoszą jej wygranej, a potrzebą natychmiastowego skorzystania z miejsca, do którego nawet królowe chadzają piechotą. W takim stanie mocno heroicznego zawieszenia w próżni przeczekala dwie części gali i dwie trwające w nieskończoność przerwy reklamowe, po czym, czując, że od naporu na pęcherz robi jej się ciemno przed oczami, wykorzystala trzecią przerwę na reklamę na to, aby galopem godnym klaczy biorącej udział w Wielkiej Pardubickiej pognać do toalety. Wróciła na swoje miejsce dwie i pół minuty później, dokładnie w momencie, w którym odbierająca w jej imieniu nagrodę szefowa wydawnictwa, którą Krull w duchu uważala za zmierzłą żonę, kończyła swoją przemowę „uroczym” żarciem: „I jestem pewna, że gdyby Róża mogła tu teraz stać, to podziękowałaby także mi! Głównie za to, że każde z jej licznych spóźnień książek przyjmuję z tak ogromną, wręcz matczyną wyrozumiałością!”. Wspominając teraz tamte chwile, pisarka nie mogła odmówić słuszności ostatniej opinii wygłoszonej przez Patrycję. Faktycznie, najbardziej trafną życiową teorią, jaką znała, było prawo Murphy’ego, zakładające, że jeżeli istnieje prawdopodobieństwo, że kilka rzeczy może pójść źle, to najpewniej wydarzy się ta, która spowoduje największe szkody.

– Porozmawiam z pani babcią – rzekł podkomisarz, wkładając anonim do plastikowej koszulki, przyniesionej mu nieco wcześniej przez Barbarę – i z rodzicami też. A teraz, skoro już i tak się spotkaliśmy, mam pytanie, które właściwie może być skierowane do wszystkich państwa: czy znacie kogoś, kto życzyłby źle nieboszczykowi?

Ponieważ mówiąc te słowa, patrzył na Różę, ta poczuła się wywołana do tablicy.

– Ja go w ogóle nie znałam – odpowiedziała szybko – więc trudno mi cokolwiek powiedzieć.

Fronczak machnął niecierpliwie ręką.

– To oczywiście – mruknął, po czym potoczył wzrokiem po Barbarze, Nastazji

i Bartku. – Miałem na myśli pozostałych. Ty... – zatrzymał wzrok na Domagaliku – ...chyba pracowałeś dla niego, prawda?

– Owszem. Zdarzało się – przyznał Bartek z widoczną niechęcią. – Kilka razy pomagałem mu przy organizacji różnych imprez. Ostatnio pikniku historycznego. Wtedy kiedy zbieraliśmy fundusze na remont domu Wasiakowej. No, akurat ona to na pewno życzyła Jarkowi źle. Ale chyba nie aż tak, żeby go zabijać. Poza tym jeśli już, to raczej załatwiłaby go w afekcie, wtedy kiedy odkryła, co zrobił, a nie teraz.

– Co ty opowiadasz?! – zgorszyła się Nastazja. – Przecież Wasiakowa muchy by nie skrzywdziła! To już prędzej Sebastian!

Podkomisarz przeniósł spojrzenie na nią.

– Sebastian...? – zawiesił pytająco głos.

– Ach, niepotrzebnie się wyrwałam – westchnęła wyraźnie zła na siebie Rudzka.

– Skoro się powiedziało *a*, to trzeba też powiedzieć *b* – pouczył ją Fronczak. – Więc...? Kogo ma pani na myśli?

– Sebastiana Janiszewskiego – odpowiedziała Nastazja.

Fronczak znów nie potrafił opanować wyrazu twarzy i wszyscy mogli bez trudu zobaczyć, że nieco zdębiał.

– Przełożonego Jarosława? – upewnił się.

– Tak. – Nastazja jeszcze moment się wahała. – No, już trudno... Może nie powinnam o tym mówić, ale kilka dni temu przypadkowo byłam świadkiem bardzo niemilej sprzeczki między nimi. Nawet nie tyle sprzeczki, co prawdziwej awantury. Przyszłam do muzeum, żeby zapytać, czy jak co roku użyczą nam sali na kolędowanie. Pukałam, ale nikt mi nie otworzył, więc nacisnęłam klamkę. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy na pewno nikogo nie ma w środku. Przysięgam! Jak Panienkę naszą kociarzyńską kocham!

Gorliwość, z jaką wypowiedziała te ostatnie słowa, sprawiła, że piątka jej słuchaczy z miejsca nabrała podejrzeń, że Nastazja weszła do muzeum tylko dlatego, że stojąc przed drzwiami, usłyszała odgłosy kłótni i chciała podsłuchać, co jest jej przedmiotem. Szósta słuchaczka, Barbara, znała Rudzką na tyle dobrze, żeby nawet mieć co do tego kamienną pewność.

– I co dalej? – ponaglił podkomisarz.

– No, obaj się strasznie wyzywali. Tak strasznie, że nawet nie mogłabym tego powtórzyć, bo nie używam takich słów.

– Dlaczego się wyzywali?

Nastazja wyraźnie się zmieszala.

– Nie chciałam, oczywiście, podsłuchiwać – zarzekła się stanowczo – ale co nieco usłyszałam, tak się darli. Sebastian krzyczał, że nie da się szantażować i że Jarek nie ma na coś tam dowodów. Nie zrozumiałam na co. Jarek odpowiedział mu, że jak zdobędzie dowody, to nie zawaha się ich ujawnić. Sebastian nazwał go wtedy... takim słowem, którego łatwo się domyślić, po czym wrzasnął, że

doskonale wie, że Jarek jest zdolny do każdego świństwa. I że ma tego świadomość, od czasu kiedy wykorzystał i skrzywdził jego córkę. Jarek zaśmiał się wtedy jakoś tak nieprzyjemnie i powiedział, że jego córka nie jest takim niewiniątkiem, na jakie się kreuje, i żeby miał na nią oko, bo jeszcze nieraz go wyroluje. Sebastian krzyknął w odpowiedzi, żeby uważał, co mówi, bo może oberwać, na co Jarek znowu się roześmiał i powiedział, że przynajmniej raz uderzyłby mężczyznę, a nie jak zawsze kobietę. I dodał, że choć gardzi damskimi bokserami, to chętnie pokaże mu, co naprawdę znaczy oberwać. Sebastian wrzasnął wtedy, żeby go nie prowokował, bo źle skończy. I żeby pisał wymówienie, a jak skończy, to wypier... No, tu znowu było wulgarne słowo. Potem... zaczęło mi się kręcić w nosie. Bałam się, że kichnę, więc się wycofałam. A gdy niestety naprawdę kichnęłam, to udałam, że dopiero co weszłam do środka.

– Ktoś wie, o co mogło chodzić? – podkomisarz popatrzył z nadzieją na Patrycję. Ta jednak ku jego rozczarowaniu pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wspominał – oznajmiła – ani w ogóle nie mówił, że ma jakieś kłopoty w pracy. A co do Elwiry... Wydaje mi się, że wiem, co mógł mieć na myśli. Ona naprawdę nie jest dobrym człowiekiem.

– Skąd ten wniosek? – zaciekawił się policjant.

Patrycja zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Czy to, co powiem, potraktuje pan jako rozmowę prywatną, czy jako zaznania?

– Są święta, mam na sobie jeansy i sweter, siedzę w wygodnym fotelu, popijam kompot z suszu, notabene przepyszny. – Fronczak lekko pokłonił się Barbarze. – Czy wyglądam, jakbym był tu służbowo?

– To dobrze – odetchnęła z wyraźną ulgą Patrycja – bo gdyby to miały być zeznania, to nic bym nie powiedziała! A tak, to mogę wam zdradzić, że przez tych kilka miesięcy, kiedy byli razem, Jarek odkrył, że wiele rzeczy, które o sobie opowiadała, było kłamstwem. Wcale nie studiowała w Białymstoku. Ba! Nawet nie zaczęła studiować, o czym nie wie chyba nawet jej ojciec. Jeździła tam tylko po to, żeby się spotykać ze starszymi panami. Jak to ich nazywała: swoimi wielbicielami. Dostawała od nich prezenty, a w zamian sprawiała, że ich życie stawało się znacznie miłsze. Jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć...

– Jest dziwką?! – zdumiała się Róża.

– Raczej była – poprawiła ją Patrycja – i nie dziwką, tylko osobą żyjącą ze sponsoringu. Tak to się w tych czasach dyplomatycznie nazywa. Kiedy zakochała się w Jarku, podobno zerwała kontakty ze swoimi fanami. To znaczy na początku Jarek w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co wcześniej robiła. Dowiedział się przypadkiem, kiedy jeden z byłych klien... sponsorów Elwiry zobaczył ich razem na spacerze. Znał Jarka, bo razem przygotowywali jakąś imprezę, i tak go z głupia frant zapytał kilka dni później, czy jest z Elwirą na takich samych zasadach jak kiedyś on. Jarek nie mógł w to uwierzyć, ale jego „ukochana” – to słowo Patrycja wymówiła z wyjątkową ironią – nawet zaskakująco nie usiłowała mu wmówić, że



to kłamstwo, tylko uraczyła go łzawą opowieścią o problemach, jakie miała w dzieciństwie. Szlochała, że u nich było w tym czasie bardzo cienko z kasą, co akurat może być prawdą, bo nasz świętej pamięci burmistrz zamknął wtedy miejscowy dom kultury i jej tata, który tam szefował, wyładował na bezrobociu. Burmistrz w ogóle miał pomysł, żeby zamknąć wszystkie tutejsze placówki kultury. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że jego idolem był Zenek Martyniuk, na którego koncert spokojnie wystarcza remiza strażacka. Poza tym Elwira wyznała, że jej tata był psychopatycznym tyranem, który bił i ją, i jej mamę, i że dlatego szukała opieki u starszych, szanujących ją panów, którzy mieli jej go zastąpić. Przepraszam, że mówię o tym w takim dwuznacznym tonie, ale jak dla mnie, to akurat było bredzeniem chorego umysłu. No, ale Jarek dał się na to początkowo nabrać. Tym bardziej że Elwira przysięgała mu, że odkąd go poznała, skończyła ze swoim procederem i że dzięki niemu zaczęła nowe życie. Zapisła się nawet do jakiegoś policealnego studium psychologii, a potem otworzyła pierwszy w Kocierzynie gabinet psychoterapii. Śmiech na sali! Kupiła sobie nawet okulary, zerówki, żeby wyglądać jak rasowa psycholożka. Dzięki znanemu nazwisku, autoreklamie i przystępnym cenom udało jej się złowić naiwniaków z Kocierzyna i nie tylko, którzy zalegają na jej kozetce w celu uleczenia swojej duszy i wysłuchują jej „świątłych rad” w stylu: „Niech pan znajdzie swój wewnętrzny korzeń rdzenny i zapyta go, jaką podjąć decyzję”. Stary Matyszczyk, którego żona wysłała do niej, żeby się leczył z alkoholizmu, gdy wyszedł od niej po pierwszym seansie tej parapsychoterapii, to był ogłupiały, bo zrozumiał z jej gadaniny, że ma rozmawiać z pietruszką, i na wszelki wypadek od razu się upił, żeby mu lepiej poszło. Ale to tak na marginesie... Potem Jarek dowiedział się, że Elwira powtarza ojcu, z czego ludzie zwierają się jej na tych seansach, a on wykorzystuje to do rozmaitych swoich celów.

– Szantażu? – zainteresował się Fronczak.

– Nie nazwałabym tego tym słowem. Bo to nie działało tak, że kiedy Elwira coś mu wypaplała, to leciał do tego, kto jej to powiedział, i próbował go do czegoś zmusić. Wszystko odbywało się bardzo subtelnie, taka bułka przez bibułkę, tu jakaś aluzja, tu dyskretne napomknięcie i ludzie zaczynali się bać...

– Mimo to nadal chodzą do jej gabinetu? – zdziwiła się Róża. – Przecież niedyskretny psychoterapeuta powinien splajtować w mgnieniu oka!

– Kiedy to jest tak, że pokrzywdzone przez nią osoby trzymają język za zębami, bojąc się mniejszej czy większej kompromitacji, a za to kilka, którym faktycznie pomogła, robi jej niezłą reklamę. Bo muszę jej sprawiedliwie oddać, że parę razy, pewnie na zasadzie ślepej kury i ziarna, zdarzyło jej się osiągnąć niezłe efekty. Moja najlepsza przyjaciółka nigdy nie uwolniłaby się od swojego toksycznego męża, gdyby nie wizyty w gabinecie Elwiry. Wszyscy dokoła mówiliśmy jej przez kilka miesięcy, co ma zrobić, ale ona musiała to usłyszeć z ust – w tym miejscu Patrycja nakreśliła znak cudzysłowu w powietrzu – specjalistki. To zadziwiające, że ludzie słuchają profesjonalistów, którzy są nimi tylko z plakietki, i to nawet jeśli ci są kompletnymi idiotami. Oczywiście jeszcze raz podkreślam, że wszystko

to wiem tylko z plotek i z tego, co mi zdradził Jarek, który nie może już nic potwierdzić.

Fronczak pokiwał głową, po czym dopił barszcz i wstał z fotela.

– Dostarczyliście mi państwo sporo materiału do przemyśleń i sprawdzenia – oznajmił, kłaniając się na pożegnanie. – Myślę, że po świętach będę miał sporo roboty. O ile, oczywiście, okaże się, że mamy do czynienia z morderstwem. Bo na razie jeszcze tego nie wiemy, wbrew temu, co napisano na tej kartce, którą mi pokazaliście. Przy okazji bardzo dziękuję za szybkie jej przekazanie. A teraz życzę bardziej spokojnej reszty świąt. Mam nadzieję, że nic już nas przez te półtora dnia nie zaskoczy. Do widzenia!

Patrzącej na niego Róży nie widzieć czemu przypomniła się prastara prawda głosząca, że nadzieja jest matką głupich. Zdziwiłaby się, jak szybko wszystkim obecnym w domu Barbary dane będzie się przekonać, ile prawdy kryje się w tym powiedzeniu.

## ROZDZIAŁ VI

### FUTRO

Dżessika Bąk obciągnęła swoją przerażająco opiętą, złotą sukienkę, przejechała ręką po falach, w jakie fantazyjnie ułożyła z przodu swoje włosy, upodobniając się – oczywiście swoim zdaniem – do przedwojennej hollywoodzkiej gwiazdy, po czym nacisnęła dzwonek przy srebrnej furtce. Po chwili, kiedy rozległ się cichy brzęczyk, otworzyła ją i swoim stałym, godnym modelki na wybiegu krokiem pokonała krótki odcinek drogi dzielący wejście na teren posiadłości od drzwi stojącego tam niewielkiego, ale uroczonego białego domku.

– Dżessika? – Stojąca w progu kobieta patrzyła na swojego gościa ze zdziwieniem. – Coś się stało?

– Muszę z tobą koniecznie porozmawiać – oznajmiła Bąk, całując ją na powitanie w oba policzki, a dokładniej rzecz ujmując: w powietrze wokół nich.

– Ale ja zaraz mam gości...

– Nie szkodzi! To zajmie tylko chwilkę. Obiecuję!

– W takim razie zapraszam – rzekła zrezygnowanym tonem kobieta, a kiedy Dżessika zamknęła za sobą drzwi, po czym przeszła do salonu, dodała: – Chcesz się czegoś napić?

– Nie, dziękuję. Chciałam ci tylko podziękować za to, że tak troskliwie zaopiekowałaś się wczoraj Dolores. Nie wiem, co w nią ostatnio wstępuje, że coraz częściej ucieka z domu. Ma tam przecież wszystko, czego jej potrzeba. Nawet talerzyki zmieniłam jej ostatnio z ikeowskich badziewi na prawdziwą porcelaną. I poduszki ma nowe. Myślę, że żadna świnka w naszym kraju nie ma lepszych warunków. A mimo to co i rusz gdzieś mi znika. Nie mam już do niej siły!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O tym, że zabrałaś ją wczoraj z Dworku Pod Dębami i odwiozłaś pod dom – wyjaśniła Dżessika z niewinną miną. – No, prawie pod dom. W każdym razie w miejsce, z którego bez trudu wróciłaby już sama. Jestem ci za to bardzo wdzięczna.

– Nie byłam wczoraj w żadnym dworku! – zaprotestowała kobieta.

– Jasne. – Dżessika przyłożyła palec do ust i mrugnęła okiem. – Oczywiście, że nie byłaś i będę tak twierdziła, jeśli ktokolwiek mnie o to zapyta. Mam jednak nadzieję, że postarałaś się, żeby nikt nie miał powodu, aby coś takiego podejrzewać.

– Nadal nie rozumiem ani słowa...

Dżessika zachichotała.

– Pięknie! Tak trzymaj! – Klasnęła w dłonie. – Gdybym nie wiedziała, jak było naprawdę, na pewno uwierzyłabym w twoją niewinność.

Kobieta milczała, nadal mając w oczach dwa znaki zapytania.

– Policjant, który wczoraj wieczorem przyszedł do mnie, żeby pobrać próbki krwi ze szczeciny Dolores – rzekła powoli Bąk – nie wiedział o jednym. Mianowicie o tym, że wcześniej zdążyłam ją dokładnie obejrzeć. Cał po calu. I że pod wstążką, którą miała zawiązaną na szyi, znalazłam coś bardzo ciekawego. Kłaczki futra. Białego futra. O ile się nie mylę, wykonanego z lisów. Tak się składa, że w naszym mieście jest tylko jedna osoba, która nosi coś takiego. Ja to wiem i wszyscy dokoła, łącznie pewnie z tym ciapowatym podkomisarzem. Jestem pewna, że gdyby owe kłaczki trafiły do policyjnego laboratorium, to szybko okazałoby się, że idealnie pasują do futra, które znaleźć można w twojej szafie. Nie mam racji?

– Czego ode mnie chcesz? – Na twarzy kobiety udawane zdumienie zastąpił lekki niepokój. – Przyszedłś mi szantażować?

– Skąd niby takie podejrzenie? – odparła Dżessika z oburzeniem. – Przyszedłam podziękować za opiekę nad Dolores. I tyle!

Kobieta przez chwilę mierzyła ją taksującym wzrokiem.

– Ja nic nie zrobiłam! – rzekła nieco drżącym głosem. – Przysięgam!

– Wiem o tym, kochanie – zapewniła Dżessika spokojnie. – Policja mogłaby jednak mieć na ten temat inne zdanie, prawda? Zwłaszcza, gdyby dokładnie poszperała w twojej przeszłości...

W oczach jej rozmówczyni pojawiło się przerażenie.

– Ty... wiesz?! – jęknęła rozpaczliwie.

– Oczywiście, że wiem – Dżessika przewróciła oczami – i nie mam ci tego za złe. Na twoim miejscu zrobiłabym pewnie to samo. Nie można w końcu pokutować całe życie za jeden nieprzemyślany czyn.

Kobieta lekko się zachwiała, po czym, najwyraźniej nie będąc pewna tego, czy za moment z emocji nie straci przytomności, przysiadła na kanapie i schowała twarz w rękach. Patrząca na nią ze współczuciem Dżessika usiadła obok i pogłaskała ją po ramieniu.

– No już, spokojnie – rzekła miękkiem, kojącym głosem. – Nic się przecież nie stało...

– Jak możesz tak mówić? – Kobieta odjęła rękę od twarzy i spojrzała na nią z wyrzutem załzawionymi oczami. – Przecież on nie żyje! Przeze mnie!

– Przez ciebie? – Tym razem akcent zaskoczenia słychać było w głosie Dżessiki. – Jak to? Co ty mówisz?!

– Prawdę – szepnęła rozpaczliwie kobieta. – Umarł z mojego powodu. Przypadkowo. Gdybym tylko mogła to przewidzieć...

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła z niezadowoleniem Dżessika. – Czy mogłabyś mi co nieco wytłumaczyć? Bo zaczynam się o ciebie martwić...

Kobieta wahała się tylko przez moment.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Już ci mówię po kolei, jak to było...

\*\*\*

Manuela Konopka ze złością rzuciła plecak na kanapę. „Szlag by to wszystko trafił!”, pomyślała z rozgoryczeniem, rozglądając się po pokoju, w którym spędziła całe swoje dzieciństwo i lwią część młodości. Jak bardzo nie chciała znów tu wracać...!

Kilka tygodni temu, po tym, jak uratowała życie Róży Krull tropiącej wówczas zabójcę burmistrza Kocierzyna, Manuela stała się prawdziwą sensacją. Jej twarz pojawiła się na czołówkach gazet i portali, a zewsząd zaczęły spływać oferty pracy. Spośród licznych propozycji dziennikarka wybrała tę najbardziej lukratywną, a mianowicie zasilenia, i to od razu w randze wiceszefowej, działu politycznego w największym rodzimym portalu – Internetowej Polsce. Decyzja była o tyle prosta, że jej nowe zajęcie wiązało się z regularnymi, gościnnymi występami w programach stacji telewizyjnej Tele-Pol 24, którą Manuela wymarzyła sobie jako swoje docelowe miejsce zatrudnienia. Początkowo wszystko szło fantastycznie. Po pierwszym występie usłyszała od szefa tej stacji, że jest „stworzona do pracy przed kamerą”, a on sam jest „pod ogromnym wrażeniem jej erudycji, urody i fachowości”. Wniebowzięta Konopka z miejsca wyobraziła sobie, jak już lada moment zostaje główną gwiazdą Tele-Polu, a za kilka miesięcy, ubrana w specjalnie dla niej uszytą suknię Zosi Gałczyńskiej, odbiera Telekamerę w kategorii „Dziennikarz polityczny”. Potem zaś, wracając na swoje miejsce i mijając po drodze Monikę Olejnik, ostentacyjnie przejeżdża jej zdobytą przez siebie statuetką tuż przed nosem. Jej wizji nie mącił nawet fakt, że ostatnimi czasy Zosia Gałczyńska zafascynowana była kulturą indiańską, w związku z tym wszystkie jej projekty prezentowały się wypisz wymaluj jak wigwamy. Co tam! Dla sławy Manuela mogła wyglądać nawet jak nedorobiona Pocahontas. I w chwili kiedy wszystko to było już w zasięgu ręki, nagle wydarzyła się katastrofa.

W czasie programu na żywo Manuela skomentować miała fakt, że żona prezydenta Marta Maliniak po raz pierwszy od chwili, kiedy jej mąż dwa lata wcześniej objął swoją funkcję, zdecydowała się wystąpić publicznie. Konkretnie zaś przecięła wstęgę w czasie uroczystego otwarcia Wyższej Szkoły Gospodarstwa Domowego i Dobrych Manier, kształcącej kobiety pod ochoczym patronatem Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w tak fascynujących przedmiotach jak „Techniki gotowania potraw narodowych”, „Segregacja rzeczy do prania” oraz „Klasyfikacja podłóg i przeznaczonych do nich środków czyszczących”, a przez opozycję nazywanej „inkubatorem kur domowych”. Przy okazji występu pani prezydentowej fortuny potracili wszyscy ci, którzy w zakładach bukmacherskich obstawiali, że jest ona niemową. Po przecięciu wstęgi Maliniakowa

wypowiedziała bowiem słowa: „O kurwa, obcięłam se też rękaw!”. Manuela, mająca tego dnia wyjątkowo frywolny nastrój, beztrzesko stwierdziła, że i tak dobrze, iż pani prezydentowa zrobiła cokolwiek, bo „przez ostatnie dwa lata wykazywała mniejszą aktywność niż moja babcia, która zmarła pięć lat temu”, a następnie dodała, że ze swoją gadatliwością pani Marta powinna czym prędzej zostać zatrudniona przez kabaret Ani Mru-Mru. Traf chciał, że jej wystąpienie poza milionem zwykłych widzów obejrzała też, akurat podczas konsumowania śniadania, para prezydencka. I choć prezydent Marian Maliniak, w cichości ducha dzieląc zdanie dziennikarki na temat swojej małżonki, z uciechy aż opluł się jajecznicą, to chwilę potem przestraszył się wściekłego wzroku swojej połowicy, która tym razem wykazała się wyjątkową jak na siebie elokwencją i wskazując z kwaśną miną palcem na ekran, rzekła z odrazą: „Natychmiast zrób coś... z TYM!”. I choć ów komunikat wydał mu się dość niejasny, bo w sumie prezydent nie był pewny, czy jego żona wydała w ten sposób polecenie wyrzucenia telewizora za okno, zamknięcia całego Tele-Polu czy też likwidacji telewizji jako takiej, to na wszelki wypadek zaczął spełnianie jej życzenia od dyskretnego pozbycia się z wizji Manueli.

W tym celu zaprosił na partyjkę tenisa prezesa stacji, a następnie w przerwach między kolejnymi setami przypomniał mu dyplomatycznie, że tylko od jego podpisu zależy, czy kierowany przez niego kanał będzie musiał płacić w kolejnych latach większe podatki. Prezes aluzję wyłapał w lot, a potem w jeszcze szybszym tempie wydał polecenie wpisania Konopki na listę osób, które nie mają prawa przekroczyć progu Tele-Polu. W ten sposób telewizyjna kariera Manueli zakończyła się, zanim jeszcze na dobrą sprawę się rozpoczęła, a i w Internetowej Polsce dziennikarka usłyszała wyrażoną przyjacielskim i troskliwym tonem radę, żeby może „wzięła trochę wolnego, pojechała na święta w rodzinne strony i przemyślała swoją zawodową przyszłość”. Choć Konopka nie zawsze wykazywała się trzeźwością umysłu, to tym razem pojęła, że owe słowa oznaczają w praktyce, iż nie ma już czego szukać w tym portalu. No, chyba że wydarzy się kolejny cud!

W tej sytuacji przesłana jej przez mamę wiadomość, że w Kocierzynie znowu ktoś umarł, a jego zwłoki znalazła Róża Krull, podziałała na Manuellę niczym odgłos rogu przyzywającego myśliwych na polowanie. Gdybyż tylko to było morderstwo i ponownie wykryłaby sprawcę, znów byłaby na fali! Trafiłaby do gazet, udzieliła setek wywiadów, a jeśli w dodatku i tym razem udałoby jej się wciągnąć w tę akcję Różę Krull, to razem obleciałyby telewizyjne „śniadaniówki”, oczywiście poza tą w Tele-Polu, a może nawet napisały razem książkę o wspólnych śledztwach. W końcu Róży też przydałby się wreszcie jakiś bestseller, bo przecież od czasu wydania trzy lata temu thrillera *Zabij mnie znów, kochanie* nie miała w sumie żadnego większego hitu. Nie mówiąc już o tym, że każdy pisarz dałby się pokroić za możliwość wystąpienia w stacjach telewizyjnych, które na co dzień traktują przedstawicieli tego fachu jak chorych na trąd. Taaak... Przyszłość znów mogłaby się malować w jasnych barwach, wszelako tylko pod warunkiem,

że znaleziony przez pisarkę nieboszczyk opuścił ten padół w sposób gwałtowny, a nie naturalny. I to właśnie Manuela chciała ustalić jak najszybciej. Po tym, jak się rozpakowała, a następnie wręczyła swojej mamie prezent w postaci jakiegoś przecenionego polskiego filmu na DVD, notabene kupionego w pośpiechu na stacji benzynowej w drodze ze stolicy na Podlasie, i zjadła świąteczne śniadanie, czym prędzej pognąła do swojej stałej informatorki, czyli babci miejscowego posterunkowego. Tę zaś za pomocą banknotu z wizerunkiem króla Władysława Jagiełły zmusiła do podstępnego wyciągnięcia z wnuczka wszystkich tajemnic interesującej ją sprawy. Zbrojna w te wieści najpierw odwiedziła Maćka Sobieraja, który po kwadransie rozmowy z nią doszedł do wniosku, że Manuela jest gorsza nie tylko od większości współczesnych stróżów prawa, ale też i wojennego gestapo, a następnie udała się do domu Jodełki. I choć Róża Krull na jej widok zrobiła taką minę, jakby miała ochotę chwycić za grabie i ją na nie nadziać, to Konopka bynajmniej się tym nie przejęła.

– Jakże miło się znów zobaczyć! – wykrzyknęła z udawaną radością, rzucając się pisarce w ramiona. – Jak pięknie pani wygląda! Udało się zrzucić kilka kilogramów, prawda?

Róża, która dwie godziny wcześniej doszła do wniosku, że waga w łazience Barbary albo się popsowała, albo dolicza jej ciężar talentu pisarskiego, z miejsca nabrała podejrzeń, że Manuela czegoś od niej chce. Oceniając po kalibrze komplementu, musiało to być coś naprawdę wielkiego.

– Mnie nie jest aż tak miło – mruknęła z kwaśną miną, wyswobadzając się z objęć Konopki.

– A to czemu? – zdziwiła się Manuela, kiwając głową na powitanie Cecylii.

– Naprawdę chce pani podczas świąt poruszać tak przykre kwestie? – spytała pisarka.

– Nie za bardzo rozumiem, o co może pani chodzić – zapewniła Manuela, robiąc swoją najbardziej niewinną minę.

– Serio?! – warknęła Krull. – Zrobiła pani z siebie Jamesa Bonda w spódnicy, a ze mnie nieodpowiedzialną kretynkę i histeryczkę, która najpierw szuka guza, a potem zachowuje się jak kompletna ciapa i której na moment nie można spuścić z oka, żeby nie ściągnęła sobie na głowę jakichś kłopotów.

– Na razie wszystko się zgadza... – mruknęła pod nosem Cecylia.

– Słucham?! – Róża odwróciła się w jej stronę.

– Nic, nic. – Gospościa skrzątnie przejechała ręką po stole, przy którym siedziała.

– Obrusik wyglądam, bo to się tak jakoś tutaj brzydko pogniótł w czasie śniadania...

– Oby sobie pani tylko skóry przy tym nie zdarła – rzekła złośliwie Róża, po czym wróciła wzrokiem do Manuely. – W dodatku wszędzie podkreślała pani, że nabawiła się kontuzji kręgosłupa po tym, jak pomogła mi pani wstać z podłogi po udaremnieniu ataku na moje życie...

– Nic takiego sobie nie przypominam – zaprotestowała Manuela.

– Doprawdy?! – Głos Krull kojarzył się z tym, jaki wydaje z siebie przydeptana żmija. – Spróbuję zacytować dokładnie fragment pani wywiadu dla „Koktajlu”: „Kiedyś podczas wakacji wybrałam się na safari. Mieliśmy tam fajną przygodę. Na naszych oczach mały słońik przewrócił się i odłączył od stada, Musieliśmy go podnieść i oddać mamie. To zadziwiające, ile takie maleństwo waży! Dokładnie to samo poczułam, kiedy podałam rękę Róży i usiłowałam pomóc jej wstać”.

– W ogóle sobie nie przypominam tych słów – zapewniła Manuela, ciesząc się w duchu, że ze względu na ograniczone miejsce w gazecie przeprowadzając z nią wywiad redaktorka wycięła ciąg dalszy tej wypowiedzi, brzmiący: „Rzecz jasna, słońik to był pikus przy Róży!”.

– Zrobiła pani ze mnie jakieś stutonowe monstrum! – Róża miała mord w oczach. – Czy zdaje sobie pani sprawę, że nawet mój były agent przez miesiąc zwracał się do mnie per Hansken?

– Kto to jest Hansken? – wyrwało się Barbarze podsłuchującej ich rozmowę z kuchni.

– Najstynniejsza biała słońica w historii świata – wyjaśniła gniewnie Krull. – Żyła w siedemnastym wieku. Rembrandt namalował nawet jej portret! Na jej cześć ochrzczono holenderski statek „Biały Słoń”, uczestniczący w bitwie pod Livorno.

– To powinnaś być zadowolona – podsumowała rozbawiona Barbara. – Słonie to szlachetne zwierzęta i bardzo rozumne.

– Sarenki też – rzekła stanowczo Róża. – Jeśli już mam być do kogoś porównywana, to do nich. Albo do kozic górskich. A nie do jakichś indyjskich tłusciochów!

– Ależ zapewniam panią, że nic takiego nigdy nie powiedziałam – przekonywała Manuela, kładąc sobie rękę na sercu. – „Koktajl” wszystko to sobie wymyślił. Sama pani wie, jak to jest z tą prasą. Muszą sobie zmyślić kilka bzdur, żeby potem być cytowani w portalu Sensatek. Poza tym nie to jest teraz ważne, tylko sprawa, z którą do pani przychodzę – dziennikarka tajemniczo ściszyła głos – i która może się nam obu przysłużyć...

Róża chciała dać jeszcze przez moment wyraz swojemu niezadowoleniu, ale wrodzona ciekawość jak zawsze wzięła u niej górę.

– Jaka sprawa? – zainteresowała się, ciągle jednak patrząc na Manuellę z podejrziwością.

– Morderstwa w Dworku Pod Dębami – wyjaśniła Konopka.

– Chyba wypadku – poprawiła ją Cecylia.

– Nie sądzę. – Dziennikarka pokręciła głową. – Wydaje mi się, że to było morderstwo. Rozmawiałam z Maćkiem Sobierajem...

Róża wzięła szybki oddech.

– No właśnie! – Manuela ucieszyła się, że oderwała pisarkę od kwestii swojej



niefortunnej wypowiedzi na temat jej gabarytów. – Dowiedziałam się od niego wielu interesujących rzeczy, w tym jednej, na którą chyba nie zwróciła uwagi policja. Jeśli pozwolicie, to szybko streszczę...

Powtórzyła tę wersję przebiegu wydarzeń owego feralnego wieczoru, którą wcześniej usłyszał od Sobieraja podkomisarz Fronczak.

– Naprawdę dwóch dorosłych chłopów przeraziło się jakiejś zjawy? – zapytała wyraźnie zdęgotowana Róża, kiedy Manuela zakończyła swoją opowieść. – Jak małe dzieci!

– Jakbyś się wychowała, słysząc od maleńkości co rusz o tym, że to miejsce jest nawiedzone – wtrąciła usprawiedliwiającym tonem Barbara – to też byś się tam czuła niepewnie.

– Być może. – Krull nadal nie wydawała się przekonana. – Skoro jednak nie wierzymy w Białą Damę, to znaczy tylko tyle, że poza nimi dwoma był tam ktoś jeszcze. Pytanie: kto? Wciąż jednak wygląda to bardziej na nieszczęśliwy wypadek niż morderstwo...

– Otóż i nie! – krzyknęła triumfalnie Manuela.

– A, właśnie – przypomniało się Barbarze. – Wspominałaś, że jest coś, co przeoczyła policja...

– Dokładnie! – potwierdziła szalenie zadowolona z siebie dziennikarka. – Przeoczyła albo zachowała dla siebie, żeby nie robić sensacji i nie psuć ludziom świąt. Z nimi to nigdy nic nie wiadomo. Otóż kiedy Maciek opowiadał mi, co wydarzyło się po tym, jak Jarosław spadł ze schodów, powiedział, że kiedy podbiegł do niego, żeby zobaczyć, czy ma puls, musiał sięgnąć po tę jego rękę, która zwisała nad wcześniej wykopaną przez nich dziurą w posadzce, bo druga znajdowała się pod jego ciałem.

Róża zmarszczyła brwi.

– To przecież niemożliwe! – rzekła ze zdumieniem. – Gdy tam weszliśmy, zwłoki leżały tuż przy schodach. Nie wiem, w jakiej pozycji, bo nie patrzyłam dokładnie, ale w takim oddaleniu od dziury, że nie ma siły, żeby jego ręka w niej zwisała. Musiałby mieć kończyny jak... Kto właściwie ma długie ręce?!

– Złodziej? – podpowiedziała niepewnie Barbara.

– Teraz to najdłuższe na świecie ma Sultan Kösen – poinformowała Cecylia. – Jak je rozłoży, to mierzą dwa metry i siedemdziesiąt pięć centymetrów. Ale to nie jest rekord wszech czasów. Najdłuższe w historii miał Robert Wadlow, całe dwa metry osiemdziesiąt osiem centymetrów.

Pozostałe trzy panie wgapily się w nią wzrokiem doskonale zbaraniałym.

– To jacyś święci? – spytała niepewnie po dłuższej chwili Róża, przyzwyczajona do tego, że jej gosposia wie wszystko jedynie o ponad jedenastu tysiącach osób uznanych przez włodarzy Watykanu za kanonizowane. I niekoniecznie o kimkolwiek więcej. Doskonale pamiętała, że gdy pewnego razu westchnęła przy Cecylii, że przydałby jej się Prokop, mając na myśli numer telefonu do Marcina

Prokopa, prezentera TVN, jej gosposia po paru dniach uraczyła ją figurką świętego Prokopa z Sazawy oraz opowieścią, jak to orał on ziemię za pomocą pługą zaprzęzonego w diabła, którego w dodatku poganiał krzyżem. Na koniec zaś zapytała, czy Róża nie wybrałaby się wraz z nią na pielgrzymkę do Kutnej Hory, gdzie stoi cudowna figura owego niekonwencjonalnego rolnika.

– Jacy tam święci! – zgorszyła się Cecylia. – Ten nieżyjący był amerykańskim uczniem. Kaleką. Gdy umarł, to miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. A ten drugi to jakiś turecki chłop małorolny.

– Skąd ty to właściwie wiesz? – zaciekała się Barbara.

– Bo rozwiązuję krzyżówki – wyjaśniła Cecylia – i zapamiętuję hasła, żeby ćwiczyć umysł. Wam też by się przydało. Zawłaszcza pani Różyczce, bo nie potrafi zapamiętać nawet, w którym roku przyszyła na świat...

– Więc nieboszczyk – rzekła szybko Krull – musiałby mieć ręce jak ten turecki, jak to była pani uprzejmie nazwać, małorolny. A nie miał, to nie ulega wątpliwości. Nie za bardzo więc rozumiem, co tam się wydarzyło. Bo skoro założymy, że ten cały Sobieraj mówi prawdę, to niby co to oznacza? Że po jego ucieczce trup wstał i przeniósł się w stronę schodów, odsuwając od dziury? Dlaczego?

– Może się bał, że do niej wleci? – podsunęła Barbara. – To znaczy co ja plotę!? Chyba już mi się zdenerwowanie rzuca na mózg.

– A Sobieraj... – Róża popatrzyła pytająco na Manueleę. – Sam go nie przesunął?

– Nie. – Dziennikarka pokręciła głową. – Wręcz przeciwnie. Mówi, że gdy tylko stwierdził, że jego przyjaciel nie żyje, to spanikował i uciekł.

– Czyli jedno z dwojga – rzekł Róża – albo nieboszczyk wcale nie był nieżywy i sam zmienił swoją pozycję, albo ktoś go przeciągnął w inne miejsce. Czy ten Sobieraj wydaje się wiarygodny?

– Maciej? – upewniła się Konopka. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nie znam go prawie w ogóle. Gdy dzisiaj z nim rozmawiałam, to wydawał się całkiem logicznym i poukładanym facetem, ale pozory mogą mylić...

Róża skierowała wzrok na Barbarę.

– W noc, kiedy odkryliśmy z Pepe zwłoki, nazwałeś go Maciusiem – przypomniało jej się. – Zdrobniłeś go przez przypadek czy też znaliście się jakoś lepiej?

– I tak, i nie. – Barbara miała niezdecydowaną minę. – W czasach licealnych przez moment chodziliśmy ze sobą, ale naprawdę króciutko. Był... Jak by to dobrze ująć...? Dziwny.

Ponieważ urwała swoją wypowiedź i wydawało się, że nie zamierza nic dodawać, Róża posłała jej spojrzenie pełne niesmaku.

– No, to faktycznie wszystko bardzo dokładnie wyjaśniłaś – rzekła z przekąsem. – Co to znaczy „dziwny”? Bo to szerokie pojęcie. Dziwny, bo zbierał komiksy z Tytusem, Romkiem i A'Tomkiem, czy dziwny, bo lubił urywać motyłom

skrzydełka? To jest jednak subtelna różnica.

– Był... – Barbara wyraźnie zastanowiła się nad odpowiednim słowem. – Zaborczy. I bardzo zazdrosny.

– O ciebie? – spróbowała uściślić Róża.

– Też. Ale nie to miałam na myśli. Jeśli coś należało do niego, to nie chciał się tym z nikim dzielić. Ale zarazem zazdrościł innym ludziom wielu rzeczy, i to nie tylko materialnych, choć tych też. Pieniędzy, popularności, przebojowości, ba! nawet wiedzy. Wszystkiego! Był permanentnie sfrustrowany. Bo inni mieli lepsze oceny albo wyniki sportowe, droższe ciuchy albo ładniejsze domy. Zawsze coś było nie tak. Nawet gdy zdobył coś, o czym marzył, to cieszył się tym tylko chwilę, po czym przestawało mu to wystarczać.

– Brzmi uroczo – podsumowała sarkastycznie Róża. – Cud, że z nim wytrzymałaś...

– Bardzo krótko – rzekła usprawiedliwiającym tonem Barbara. – Głównie dlatego, że był przystojny. Wiem, jak to brzmi, ale gdy się ma piętnaście lat, to wiadomo, że człek jest głupi i nie wie, na co zwracać uwagę. Poza tym był taki romantycznie posępny, a ja przechodziłam wtedy okres fascynacji Norwidem. No i co się tak szczerzysz?!

– Cieszę się, że nie Szymonem Szymonowiczem – zachichotała Krull – bo skończyłabyś u boku polnego pastuszka z małą fujarką...

– Sama jesteś mała fujarka! – Barbara popatrzyła na nią z politowaniem. – No, w każdym razie po tym, jak się rozstaliśmy, zostaliśmy... Może nie przyjaciółmi, ale dobrymi znajomymi. I mogę zaręczyć, że Maciek nie ma najmniejszych skłonności do fantazjowania. Nie starczyłoby mu na to wyobraźni. On niestety ma tę smutną przypadłość, że nie chwytą żadnych aluzji, metafor, przenośni i sam się nimi też nigdy nie posługuje. Jeśli opowiada o tym, co się wydarzyło, to można mieć pewność, że wszystko odbyło się tak, jak to przedstawił, i że nic tam nie dodał od siebie. Przez lata naszej znajomości nie złapałam go też na żadnym kłamstwie. Jeśli nie chciał czegoś zdradzić, to po prostu o tym nie mówił. Wolał uciec w milczenie niż coś żelgać.

– Czyli twoim zdaniem jego relacja z tamtego wieczoru jest wiarygodna? – upewniła się Róża.

Barbara stanowczo pokiwała głową.

– Na bank! – zapewniła.

– W takim razie nic nie rozumiem – rzekła z niezadowoleniem Róża. – Jakim sposobem ten trup się przemieścił?

Przez chwilę w salonie Jodelki panowała atmosfera tajemniczości.

– Może jednak należałoby zwrócić na to uwagę policji – podsunęła niepewnie Barbara.

– Policja, jak jest mądra, to powinna sama na to wpaść – rzekła stanowczo Manuela. – Mają zeznania Sobieraja, mają pani Róży, powinni umieć sobie

wszystko poukładać.

– Oczywiście, że powinni. – Ku jej zachwytowi Róża zdawała się tyknąć haczyk.

– No właśnie! I ta Biała Dama... – Manuela postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Ten wątek bardzo mnie zainteresował.

– Jest frapujący, to prawda – zgodziła się Róża – bo jeśli przyjmiemy, że nie jest to istota nadprzyrodzona, tylko z krwi i kości, to po ucieczce Sobieraja została sama ze zwłokami i mogła je przesunąć.

– Ale po co? – zdziwiła się Barbara.

– Może nie tyle przesunąć, co... obszukać? – podsunęła Manuela.

– Myśli pani? – zainteresowała się Róża. – Tylko w jakim celu?

– Maciej mówił, że Jarosław wszedł w posiadanie jakichś papierów wskazujących na to, że gdzieś w dworku ukryte są kosztowności oraz... – w tym miejscu Manuela zrobiła efektowną pauzę – ...dokumenty, które mogą podać w wątpliwość, do kogo należy ta posiadłość. To właśnie ich szukali.

– Co to za bzdury?! – oburzyła się Cecylia. – Przecież, odkąd tylko pamiętam, mieszkają tam Niepołomiccy. Z dziada pradziada! Nigdy nie było tam nikogo innego!

– Być może te dokumenty są starsze nawet od tego pradziada – podsunęła Manuela – i moim zdaniem trzeba to zbadać.

– Ale jak? – Róża popatrzyła na nią z ciekawością. – Rozumiem, że ma pani jakiś pomysł?

– Owszem – przyznała Manuela. – Idąc tutaj, spotkałam dyrektora naszego lokalnego muzeum, który poprosił, aby przypomnieć pani o tym, że jesteście umówieni dzisiaj na zwiedzanie.

– O, matko! Faktycznie! – Róża, która rzecz jasna zdążyła dawno zapomnieć o zaproszeniu Janiszewskiego, zerwała się z fotela. – Mówił, o której mam być?!

– Nie – uspokoila ją Konopka. – Powiedział, że idzie uporządkować jakieś eksponaty, będzie tam siedział do jakiejś piętnastej i w związku z tym, o której pani przyjedzie, o tej będzie. Pomyślałam, że mogłybyśmy tam iść we dwie i że nie ma lepszego miejsca, żeby poznać historię posiadłości, niż to, w którym zebrano wszystkie dokumenty związane z naszym miasteczkiem. A przy okazji nie ma odpowiedniejszej osoby do rozmowy o nieboszczyku niż jego pracodawca i zarazem niedoszły teść. Chyba się pani ze mną zgodzi?

## ROZDZIAŁ VII

### CZAROWNICA

Dworek Pod Dębami nie był jedynym miejscem, o którym mieszkańcy Kocierzyna mówili zawsze ściszym głosem, na wszelki wypadek odpukując w niemalowane drewno. Inne, budzące podobny respekt, znajdowało się dokładnie po drugiej stronie miasteczka i pozornie niczym się nie wyróżniało. Ot, niewielki, nieco nadszarpnięty zębem czasu piętrowy domek z urokliwym ogródkiem, otoczony mocno leciwym drewnianym płotkiem. Jedyną niecodzienną rzeczą, jaką dało się tu zauważyć, była dziwaczna konstrukcja w rogu ogrodu, wykonana z dużych kamieni i kojarząca się z grotą. W środku owej dziwacznej budowli znajdowały się jedynie dwa metalowe krzesła i stolik, na którym stał trójramienny, ozdobny srebrny świecznik.

W przeciwieństwie do rezydencji rodu Niepołomickich tego domostwa nikt nie omijał szerokim łukiem. Wręcz przeciwnie! Ludzie przychodzili tu często, tyle że z reguły pod osłoną nocy i nikomu się z tego nie zwierając. Ba! Nawet gdyby przypiekano im pięty, nigdy nie przyznaliby się, że kiedykolwiek gościli w tym miejscu. Idiotycznie byłoby im się bowiem przyznać, że korzystają z usług... czarownicy. Za taką bowiem wszyscy mieli mieszkającą tu Esmeraldę Pilecką. Co ciekawe, ona sama zdziwiłaby się, słysząc to słowo. Zapytana zaś o to, jakie jest jej zajęcie, odpowiadałaby najpewniej, że leczenie ludzkich ciał i dusz, czyli dokładnie to, czym od wieków zajmowały się wszystkie kobiety w jej rodzinie, począwszy od praprababci, która cieszyła się sławą jednej z najbardziej znanych podlaskich szeptuch i w której „gabiniecie” lądowali nawet ci, którzy wcześniej na samo słowo „Pilecka” dostawali piany na ustach i miotali określenia typu „zabobon”, „ciemnota” czy „idiotyzm”. Nawet jednak i oni w chwili, kiedy konwencjonalna medycyna nie potrafiła im pomóc, czym prędzej pośpieszali do „wiedźmy”, która za pomocą modlitw i magicznych zaklęć uwalniała ich od przykrych dolegliwości i u której przy okazji można było dowiedzieć się co nieco o swojej przyszłości. Wszystkie bowiem kolejne panie Pileckie dziedziczyły po sobie nie tylko dar uzdrawiania, ale też jasnowidzenia oraz bezbłędnego wróżenia z kart. Co ciekawe, od kilku pokoleń przedstawicielki rodu powtarzały ten sam schemat, czyli żyły samotnie mniej więcej do trzydziestki, po czym zachodziły w ciążę i rodziły córeczkę. Ojców owych dziewczynek nikt nigdy nie widział na oczy, a w stosownych dokumentach znajdowały się jedynie fikuśne, bo wymyślane przez panny Pileckie, imiona męskie wraz z ich panięmskim nazwiskiem, co nieuchronnie sugerowało, że ojciec pozostaje nieznany, a przynajmniej nieujawniony. Podobny los spotkał Esmeraldę, którą wychowała tylko mama i która, zgodnie z rodzinną tradycją, czy też – jak twierdzili niektórzy – kłatwą,

sama urodziła córeczkę, mając trzydzieści dwa lata. Obecnie dochodziła do siedemdziesiątki i z wolna rychtowała na swoją następczynię wnuczkę – oczywiście panią córkę swej samotnie żyjącej córki – która mieszkała u niej przez trzy miesiące każdego lata.

– Moim zdaniem to idiotyczny pomysł. – Cecylia, stojąca przed furką posiadłości Pileckiej, miała wściekły wyraz twarzy. – Wiara w gusła w dwudziestym pierwszym wieku! Wstyd! Znowu mój ksiądz będzie na mnie patrzył przy spowiedzi jak na wariatkę.

– Skąd wiesz, jak na ciebie patrzy? – zdziwiła się stojąca obok niej Nastazja. – Przecież w konfesjonale nic nie widać!

– Gdzie nie widać, tam nie widać... W moim są takie dziury, że można byłoby przez nie podać wielebnemu arbuza – mruknęła Cecylia, próbując pozbyć się sprzed oczu widoku proboszcza, który słuchając opisu jej grzechów nie tylko miał wzrok pełen politowania, ale też dłubał sobie w zębach, i to z takim zaangażowaniem, że Jodelka nabrała podejrzeń, że dokonuje na jej oczach samoekstrakcji.

– A dlaczego poprzednio patrzył na ciebie jak na wariatkę? – zacięła się Nastazja.

– Bo mu powiedziałam, że wyrzuciłam do śmieci wszystkie Nergale, jakie znalazłam u pani Różyczki – westchnęła Cecylia. – Miałam na myśli płyty tego Belzebuba! Ale wielebny zamiast Nergale zrozumiał rogate i zadał mi podwójną pokutę. Jedną za uszczuplenie stanu posiadania mojej pracodawczyni, a drugą za marnowanie pieczywa. Usiłowałam mu wytłumaczyć pomyłkę, ale potem przypomniało mi się, że ma brata, który sam wygląda jak Nergal, jeździ na motorze, ma tatuaże i ubiera się jak satanista, machnęłam więc ręką. Jakby mi dołożył trzecią pokutę za brata, tobym nie wyszła z kościoła do późnej nocy, a tego dnia była wyprzedaż w Lidlu i mi się śpieszyło.

– Rozumiem – potaknęła Nastazja, darując sobie uwagę, że z kolei ona sama musiała odpokutować za zakupy w Lidlu, który to sklep ksiądz Sobiesław określał mianem „sprzyjającego zbrodniczej ideologii LGBT”, odkąd kierownik tej placówki odmówił jego żądaniu wycofania ze sprzedaży pstrąga tęczowego albo przynajmniej zmiany jego nazwy na wielobarwnego. – To co? Wchodzimy?

– Sama nie wiem – westchnęła Cecylia. – Ona naprawdę jest taka dobra?

– Nigdy u niej nie byłaś? – zdumiała się Nastazja. – Nawet jako dziecko? Rodzice ani razu cię tu nie przyprowadzili?

– Gdy byłam dzieckiem, to urzędowała tu jeszcze jej mama – wyjaśniła Cecylia – i, owszem, byłam tutaj. Podobno zrywałam się w nocy z krzykiem i moja babcia orzekła, że to na pewno w wyniku czyjś „złego spojrzenia” i trzeba mnie tu przyprowadzić, żeby odczynić urok. Ta wiedźma zabrała mnie do tej swojej jaskini, pomamrotała nade mną, a na koniec oblała mnie jakąś zimną ciecżą.

– I pomogło?

– Tyle o ile...

– To znaczy?

– Przestałam krzyczeć – przyznała Cecylia. – Za to zaczęłam sikać w łóżko, bo w czasie tych guseł przeziębiam sobie pęcherz. Więc sama oceń efekt. Poza tym z perspektywy czasu uważam, że budziłam się z krzykiem tylko dlatego, że usypiał mnie z reguły dziadek, który wyglądał jak strach na wróble, a w dodatku śpiewał mi kołysanki, choć miał głos jak Jan Himilbach. Musiałabym być z żelaza, żeby po czymś takim nie dostać koszmarów sennych.

Cecylia chciała dodać coś jeszcze, ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe do domku. Jodełka, która spodziewała się, że Esmeralda będzie typową czarownicą, czyli przygarbioną, złowrogą staruchą z zapadniętymi oczami, krzywym i szpiczastym nosem, długimi, smolistoczarnymi włosami, a do tego ubraną w trepy, długą suknię i narzuconą na nią starą chustę, poczuła się mocno rozczarowana. W drzwiach stanęła bowiem kobieta, wyglądająca bardziej na dobrą wróżkę niż wiedźmę. Filigranowa, siwiutka, z sympatyczną twarzą, nieco pooraną dodającymi jej uroku zmarszczkami, Pilecka nadawałaby się idealnie do grania w inscenizacji Czerwonego Kapturka roli dobrotliwej babci. Jedyne, co zgadzało się z wyobrażeniem Cecylii, to trzymana przez nią w rękach miotła.

– Dzień dobry! – krzyknęła Esmeralda. – Już wam otwieram!

– A dobry, dobry! – odpowiedziała Nastazja. – My tylko na chwileczkę.

Cecylia pohamowała się w ostatniej chwili przed zadaniem pytania, czy aby Pilecka nie zamierzała odlecieć gdzieś na trzymanym w dłoniach narzędziu czyszczącym, i też wydała z siebie powitalny okrzyk.

Esmeralda podeszła do furtki, włożyła klucz do jej zamka, przekręciła go i wpuściła swoich gości do środka, za progiem pozbywając się miotły, którą uprzednio najwyraźniej zamiatała sięń. Nastazja chciała jej przedstawić Cecylię, ale „czarownica” ją uprzedziła.

– Cóż za zaszczyt mnie spotkał! – rzekła, wyciągając rękę. – Cecylia Jodełka, największy niedowiarek w naszym miasteczku, wreszcie w moich skromnych progach. Kto by pomyślał!

Gospościa Róży przyjrzała się jej podejrzliwie.

– Zastanawia się pani, skąd wiem, kogo mam przed sobą? – Esmeralda zachichotała cicho. – Nie, to żadna magiczna sztuczka. Po prostu jest pani tak podobna do swojej świętej pamięci mamy, że nie sposób się pomylić.

– Dziękuję – mruknęła Cecylia bez najmniejszego entuzjazmu, bo przez całe życie uważała swoją matkę, wyglądającą jak marszałek Piłsudski bez wąsów, za wyjątek potwierdzający regułę, że wszystkie kobiety to płeć piękna.

– Ale jeśli przyszyście do mnie po odrobinę czarów – Esmeralda zaprosiła je uprzejmym gestem do przestąpienia progu swojego domu – to oczywiście też chętnie służę...

– My... tak właściwie... – Nastazja nie wiedziała, jakimi słowy opisać powód ich

wizyty, aby nie wypadły na wścibskie, a co gorsza niedorzeczne baby. – Bo pomyślałyśmy...

– Pomyślałaś! – skorygowała stanowczo Cecylia.

– No tak... – przyznała Nastazja. – Prawda. To był mój pomysł, żeby się dowiedzieć... Ale teraz wydaje mi się to dość idiotyczne.

– Faktycznie pięknie to wyjaśniłaś – mruknęła Jodelka z politowaniem.

Z ust Esmeraldy nie schodził uśmiech.

– Nie stójmy tak w przedpokoju – rzekła, czyniąc kolejny zapraszający gest, tym razem do salonu, a kiedy Cecylia i Nastazja usiadły na stojącej tam wygodnej kanapie, dodała: – I nie musicie mi nic tłumaczyć. Doskonale wiem, po co przyszłyście. Zaraz odpowiem wam na pytanie, które chcecie mi zadać, tylko najpierw poczęstujcie was czymś specjalnym. Poczekajcie chwilę...

Wyszła z pokoju, a po kilku minutach pojawiła się, niosąc w dłoniach tacę, na której znajdowały się trzy kubeczki. Cecylia wzięła jeden z nich i nieufnie przyjrzała się wypełniającej go nieco mętnej cieczy.

– Co to jest?

– Odrobina magii w tym nieludzko racjonalnym świecie – odpowiedziała tajemniczo Esmeralda. – Proszę skosztować. Zapewniam, że nie zaszkodzi.

Jodelka popiła odrobinę ciepłego naparu i nabrała podejrzeń, że jest to woda z dodatkiem marynaty do mięsa.

– Cudowne – zapewniła, z trudem opanowując odruch wymiotny. – Czy teraz mogę się dowiedzieć, co to?

– Liść bobrka, trochę mięty, kminek, ziele tysiącznika, piołun i korzeń omanu, ale przede wszystkim bardzo dużo krwawnika pospolitego. Choć z nazwy pospolity, dla mnie jest jedną z najbardziej magicznych i cudownych roślin, jakie podarowała nam Matka Natura.

– Na co działa? – zaciękała się Nastazja.

– Jeśli chodzi o organizm, to oczyszcza krew, zabija złe bakterie, pomaga łatwiej oddychać, reguluje pracę wątroby, pobudza trawienie i jednocześnie pomaga lepiej przyswajać cenne składniki, a szybciej pozbywać się tych szkodliwych – wyjaśniła Esmeralda. – Dla mnie jednak o wiele ważniejszy jest jego wpływ na duszę. Pozwala się wyciszyć i otworzyć umysł.

„Tobie to już tak otworzył, że wszystko stamtąd wyleciało”, pomyślała ze złością Cecylia, niezadowolona jak diabli, że dała się namówić przyjaciółce na wizytę u tej dziwacznej kobiety.

– A dodatkowo – kontynuowała Esmeralda, patrząc z dwuznacznym uśmieszkiem na Jodelkę – zalewam to wszystko „Krynką”.

Cecylia nadstawiła uszu, bo słowo to z czymś jej się skojarzyło. Nie wiedziała, co prawda, z czym, ale w głowie zapaliła jej się alarmowa lampka.

– To moja ukochana woda – mówiła dalej Pilecka. – Pochodzi prosto



z miasteczka o tej samej nazwie i ma najlepszą rekomendację z możliwych, bo kiedyś uleczyła samą królową Jadwigę!

Alarmowa lampka zgasła.

– Oczywiście! Jakże mogłam o tym zapomnieć! – Cecylia puknęła się w czoło, czy też, jak by to określiło młodsze pokolenie, zrobiła *facepalm*, po czym, wyłapawszy zdumione spojrzenie Nastazji, wyjaśniła: – Gdy święta królowa Jadwiga przejeżdżała przez te ziemie, opowiedziano jej o cudownym źródelku, które leczy wszystkie dolegliwości żołądkowe. Traf chciał, że kiedy dojechała do Krakowa, złapał ją ból brzucha. Tak straszny, iż była pewna, że ktoś ją otrul i to ostatnie chwile jej życia. Poprosiła wtedy męża o przywiezienie choć odrobiny wody z tego źródelka. Jagiełło nawet sam tam pojechał, żeby mieć pewność, że nikt go nie oszuka i nie przywiezie wody z jakiejś kałuży. Napoił małżonkę, która od razu ozdrowiała. Potem król nadał te ziemie jednemu ze swoich zaufanych i zasłużonych poddanych, a ten nazwał je Krynkami dla uczczenia znajdującej się tam leczniczej krynicy. Chyba już dostaję alzheimera, że zapominam o tak podstawowych faktach! – dokończyła Jodelka, po czym popiła spory łyk naparu. Skoro zrobiony był na bazie wody, która uleczyła jedną z jej ulubionych krajowych świętych, to Cecylia gotowa była dostać po nim nawet i rozwolnienia. O dziwo, smakował jej teraz o wiele bardziej, a i na Esmeraldę patrzyła już przychylniejszym okiem. Wiedźma, bo wiedźma, ale skoro szanuje to, co święte, to może jednak jeszcze nie do końca skazana jest na wieczne potępienie. Poza tym przypomniało jej się, że gdzieś wyczytała, że sama Jadwiga też fascynowała się okultyzmem, co akurat w jej czasach nie było znowu w wyższych sferach aż tak rzadko spotykanie, i że gdy była w ciąży, kazała ozdobić wykonywany dla niej *Psalterz floriański* dekoracyjnymi motywami zodiakalnymi oraz tajemniczym monogramem w formie dwóch złączonych liter „M”, któremu też przypisywano znaczenie magiczne. Skoro święta mogła patrzeć na odrobinę czarów-marów przez palce, to i ona może przez moment wysłuchać, co ma do powiedzenia ta wiedźma.

– Widzę, że umysły z wolna już się otwierają – skomentowała obserwując ją spod lekko zmrużonych powiek Pilecka. – Mogę więc odpowiedzieć na wasze pytanie. Otóż tak, to prawda. W Dworku Pod Dębami uwięziona jest samotna, nieszczęśliwa kobieta. A właściwie nie tyle kobieta, ile jej dusza.

– Akurat... – mruknęła Cecylia, której umysł, jak widać, otworzył się jedynie na krótką chwilę.

– Oczywiście, może mi pani nie wierzyć – rzekła Esmeralda – ale tak po prostu jest.

– A kim jest, to znaczy była ta kobieta? – zapytała Nastazja.

– Mieszkała w dworku dawno, dawno temu i została bardzo skrzywdzona. W dodatku przez bliską osobę, po której się tego nie spodziewała.

– I niby ta kobieta była przyczyną śmierci waszego kustosa? – w głosie Cecylii słychać było politowanie.

– To już zupełnie inna kwestia – odpowiedziała Pilecka. – Najpierw odpowiedziałam wam na pytanie, z którym tu przyszłyście. Tak, dworek jest, jak by to powiedzieli inni, nawiedzony. Ja nie użyłabym takiego słowa. Powiedziałabym raczej, że stał się schronieniem i zarazem pułapką dla zagubionej duszy, która nie umie stamtąd odejść i trafić do miejsca, gdzie od dawna powinna przebywać. Dzieje się tak czasem, kiedy ma się na tym padole do załatwienia jeszcze jakąś ważną sprawę. Moje karty podpowiadają mi, że ta kobieta zostawiła po sobie jakąś wiadomość i nie odejdzie z tego świata, póki nie upewni się, że ktoś ją odnalazł i zrozumiał. Jest jeszcze coś dziwnego... Coś związanego ze sferą duchową. Gdybym miała obstawiać, wskazałabym na miejscowy kościół. Ale to tylko moja intuicja. Karty nie mówią mi tego jednoznacznie. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że dusza tej nieszczęśliwej nie miała nic wspólnego ze śmiercią pana Jarosława. Umarli najczęściej nie mogą wyrządzić nam krzywdy. Oczywiście bywają wyjątki, ale ten do nich nie należy. Nie, nie! Ta śmierć spowodowana jest przez kogoś żyjącego. Przez mroczną i do szpiku kości złą osobę, która kieruje się w życiu tylko egoistycznymi pobudkami.

– Kobietę? – próbowała uściślić Nastazja.

– Tego nie wiem. – Esmeralda wzruszyła ramionami. – Wbrew temu, co się wydaje, nawet my, osoby obdarzone darem widzenia nieco więcej niż inni ludzie, nie wiemy wszystkiego. A do tej osoby trudno jest dotrzeć, trudno ją zobaczyć. Nawet moje karty nie potrafią jej jednoznacznie wskazać.

– Ale jest pani pewna, że śmierć w dworku to morderstwo, a nie wypadek? – zapytała Cecylia.

– Och, to akurat jest dla mnie oczywiste – zapewniła Esmeralda. – I powiem wam więcej. Ktoś jeszcze wbrew swojej woli pożegna się z tym światem, i to już wkrótce! Nie wiem kto, więc na wszelki wypadek uważajcie na siebie, moje drogie...

\*\*\*

– Wierzysz jej? – zapytała Cecylia kilka minut później, kiedy opuściły już posiadłość czarownicy i skierowały się w stronę domu Nastazji.

– Wołałabym nie – odpowiedziała Rudzka – ale ona naprawdę wie o rzeczach, o których nie powinna. Gdy moja kuzynka nie mogła zająć się ciążą i wszyscy lekarze rozłożyli bezradnie ręce, każąc jej się zastanowić nad adopcją, to w desperacji poszła właśnie do Esmeraldy, a ta chwilę pottrzymała jej ręce nad głową, po czym rozłożyła karty i powiedziała, że kiedy się już rozwiedzie, to nowego partnera ma poszukać na południu Polski, a wtedy jej marzenie o macierzyństwie wreszcie się spełni. Kuzynka bardzo się oburzyła, bo kochała męża, i wykrzyczała jej, gdzie ma sobie wsadzić takie rady. Ale jakieś pół roku później odkryła, że mąż ma romans z sekretarką, i faktycznie się z nim rozstała. Potem pojechała na wakacje do Zakopanego, no i w efekcie mieszka teraz

w góralskiej chacie i razem ze swoim jurnym juhasem wychowuje czwórkę dzieci. Więc sama rozumiesz... Rozum podpowiada mi, żeby nie wierzyć, ale serce i intuicja się z nim nie zgadzają. A co ty sądzisz?

– Sama już nie wiem – westchnęła Cecylia – choćby dlatego, że nie podoba mi się ta przepowiednia kolejnej śmierci. Tym bardziej że ta wariatka wiecznie się na coś naraża i w końcu faktycznie ktoś kiedyś stuknie ją za mocno w głowę.

– Róża? – upewniła się Nastazja.

– A któż by inny? Cały czas się o nią boję. Niby złego licha nie bierze, ale ona w gruncie rzeczy jest taką poczciwinką i nikomu nic złego nigdy naumyślnie by nie zrobiła. Poza tym dobrze mi u niej. Zwłaszcza odkąd już zaakceptowała, że muszę mieć w jej domu swoje rzeczy, żeby się odpowiednio czuć.

Mówiąc „swoje rzeczy” Cecylia miała na myśli kilkanaście poradników kulinarnych siostry Petroneli oraz liczne obrazki świętych, którymi poobwieszała ściany w mieszkaniu swojej pracodawczyni, ze szczególnym uwzględnieniem kuchni, którą ozdobiła podobiznami świętej Marty z Betanii i świętej Wiburady, nie mogąc się zdecydować, która z tych dwóch patronek kucharek będzie ją bardziej wspomagała w smażeniu jajecznicy i gotowaniu pierogów. Róża po początkowych protestach faktycznie machnęła ręką na owe dekoracje, choć czasem miała wrażenie, że jej kuchnia zamieniła się w sanktuarium i że zamiast robić sobie tam „małą czarną”, powinna dokonywać aktów religijnej adoracji ekspresu do kawy.

– Trzeba będzie mieć na nią oko – westchnęła Nastazja. – Też bardzo ją polubiłam.

W milczeniu przeszły kilkadziesiąt metrów, po czym Nastazja zatrzymała się i wydała z siebie okrzyk zdumienia.

– A to co do licha ciężkiego?! – szepnęła zaskoczona.

Przed ogrodzeniem jej posiadłości stały dwa pojazdy. Jednym z nich była furgonetka z napisem „Struś Meblowiatr”, a drugim land rover. Za kierownicą tego ostatniego siedział trzydziestokilkuletni, kędzierzawy blondyn. Na widok Rudzkiej uśmiechnął się, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Niespodzianka! – krzyknął radośnie, podbiegając do przyjaciółek. – Witam! Pani Nastazja, prawda? Od razu panią poznałem!

Cmoknął Rudzką w rękę, po czym spróbował powtórzyć to z Jodelką. Ta jednak stanowczo go przed tym powstrzymała. W zamian przedstawiła mu się i ścisnęła jego dłoń. Choć z reguły uwielbiała wszystko, co wywodziło się ze słowiańskiej tradycji, to akurat całowania po rękach nie znosiła, głównie z przyczyn higienicznych. Nie życzyła sobie mieć na swojej skórze gonokoków ze śliny jakiegoś obcego chłopca. Stanowczo!

– Roland Niepołomicki – przedstawił się Cecylii blondyn, po czym wrócił spojrzeniem do Nastazji. – Bardzo przepraszam, że przyjechaliśmy dzień wcześniej, ale mówiła pani, że domek stoi przez cały czas pusty, a pani spędza

święta w Kocierzynie. Pozwoliliśmy sobie więc trochę wszystko przyspieszyć. Zwłaszcza w obliczu tego strasznego wypadku, jaki przydarzył się w naszej posiadłości. Faktycznie, to jakieś przekłete miejsce...

– Nie ma najmniejszego problemu – zapewniła Nastazja. – Trzeba było zadzwonić, że już jesteście.

– Dzwoniłem, ale chyba ma pani wyłączony telefon...

Rudzka wyjęła aparat z kieszeni kurtki i po chwili jej twarz lekko się zaczerwieniła.

– Rozładował się – wyjaśniła ze wstydem. – Nawet nie wiem kiedy. Bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że nie czekaliście zbyt długo...

– No, trochę się zeszło, ale to nie problem. – Roland uśmiechnął się uroczo. – Moja siostra poszła się przespacerować po miasteczku, a ciocia... No cóż, przed wyjazdem daliśmy jej środki nasenne, żeby po prostu przespała całą drogę. Uznaliśmy, że tak będzie dla niej lepiej. Biedaczka nie czuje się ostatnio zbyt dobrze.

– Frania jest tutaj?! – ucieszyła się Cecylia. – Mogę się z nią przywitać?

Po twarzy Rolanda przemknął cień niezadowolenia. Jodełka odniosła wrażenie, że jej prośba nie jest mu z jakichś przyczyn na rękę. Po chwili jednak opanował się i ponownie uśmiechnął.

– Ależ oczywiście! – rzekł, czyniąc zapraszający gest. – Proszę ze mną...

Podszedł do samochodu i otworzył tylne drzwi. W poprzek dwóch siedzeń, z głową na ogromnej poduszce i przykryta kilkoma pledami leżała z zamkniętymi oczami drobna istota. Cecylia pohamowała chęć przetarcia oczu ze zdumienia, próbując na poranej zmarszczkami, zmęczonej i wyraźnie odcisniętej piętnem bólu twarzy staruszki dostrzec jakąkolwiek cechę swojej dawnej przyjaciółki. Bezskutecznie.

– Ciociu! – Roland delikatnie potrząsnął starszą panią. – Obudź się!

Staruszka otworzyła oczy i nieco oszołomionym wzrokiem potoczyła po zagląających do auta osobach.

– Przyjechaliśmy? – zapytała słabym, cichym głosem.

– Tak, ciociu, jesteśmy na miejscu! – rzekł jej bratanek. – Są tu twoje dawne przyjaciółki.

– My się prawie nie znałyśmy – szepnęła mu do ucha Nastazja.

– Jedna twoja przyjaciółka – poprawił szybko Roland. – Pani Cecylia Jodełka.

– Jodełka? – Staruszka popatrzyła na niego pytająco. – Nie znam żadnej Jodełki.

Cecylia dotknęła ramienia Niepołomickiego i delikatnie go przesunęła, a następnie zanurkowała we wnętrzu auta.

– Franiu! – Przysunęła swoją twarz do staruszki tak blisko, jak tylko mogła. – To ja! Cecylia Gnuśniakówna!

Staruszka popatrzyła na nią uważnie, po czym wysunęła dłoń spod pledu

i dotknęła jej twarzy.

– Czy ja nie żyję? – zapytała.

– Żyjesz, żyjesz! – zapewniła Cecylia. – Pamiętasz mnie?!

Starsza pani powoli skinęła głową.

– Cecka od Gnuśniaków – wyszeptała z wysiłkiem. – Wszelki duch Pana Boga chwali! Co ty tu robisz?!

– Ach, więc jednak mnie pamiętasz! – ucieszyła się Cecylia. – Przyjechałam do córy na święta.

Staruszka zamknęła oczy i przez chwilę wydawało się, że zapadła w sen. Jodelka już chciała się wycofać, kiedy Franciszka nagle jakby się ocknęła.

– Waldi... – rzekła zamierającym głosem. – Czy chodzisz jeszcze z Waldim?

Cecylia z trudem wyciągnęła z zakamarków pamięci wspomnienie swojego pierwszego absztyfikanta, który zainspirowany słynną sceną z filmu *Noce i dnie* też próbował narwać jej nenufarów w miejscowym stawie i o mało co się przy tym nie utopił, bo zapomniał, że nie umie pływać. Jego wyczyn miał ten efekt uboczny, że gdy go wyłowiono i przywrócono do życia, to nagle się w niej odkochał.

– Nie, kochanie – odpowiedziała łagodnym głosem. – To było ponad czterdzieści lat temu...

– Jak ja ci go zazdrościłam – westchnęła Franciszka. – Taki piękny chłopiec. Jak malowany. – Położyła swoją dłoń na ręce Cecylii i nagle mocno ją ścisnęła. – Musisz koniecznie mnie odwiedzić! – rzekła błagalnym tonem, wkładając w to tyle wysiłku, ile tylko mogła. – Koniecznie! Obiecuj mi!

– Obiecuję – wyszeptała Cecylia.

– Pamiętaj... – Uścisk osłabł. – Koniecznie mnie odwiedź. Jak najszybciej. Proszę...

Staruszka znów zamknęła oczy i tym razem zapadła w sen.

– Sama pani widzi – rzekł Roland, kiedy Cecylia wynurzyła się już z samochodu. – Ciocia już ledwo co kontaktuje. Z dnia na dzień jej stan się pogarsza. Dlatego zdecydowaliśmy się tu przyjechać tak szybko, jak tylko można. Prosiła nas o to już od dawna.

– Na co choruje? – zapytała Cecylia.

– Przede wszystkim na serce. Powinna unikać wszelkich wzruszeń i nerwów. Jesienią przeszła też udar, który wyrządził trochę szkód jej psychice. Czasem się tego nie odczuwa, ale bywają chwile, i to niestety coraz częstsze, kiedy ciocia zaczyna mówić od rzeczy. Często wszystko jej się myli. Daty, fakty, ludzie. Bardzo się cieszę, że panią rozpoznała. To dobry znak.

– Będę mogła ją odwiedzić? – upewniła się Jodelka. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu?

– Czemu miałbym mieć? – zdziwił się Roland. – Oczywiście, że będzie pani mile widzianym u nas gościem. Kiedy tylko znajdzie pani czas.

– A gdzie jest pana siostra? – zaciekała się Nastazja.

– Laura? Powiedziałem, że poszła na spacer. Będzie na nas czekać już na miejscu. Trudno za nią nadążyć...

– Zna Kocierzyn? – zapytała zaskoczona Cecylia.

– Kilka razy w życiu tu byliśmy, więc trochę tak. Poza tym to przecież mała miejscina. Trudno się tu zgubić. No i Laura nie jest małą dziewczynką i ma adres. To co? Możemy już jechać? Marzę o tym, żeby rozładować nasze graty, przenieść ciocię do jej sypialni i trochę odsapnąć.

– Już idę po klucze. – Nastazja popatrzyła niepewnie na Cecylię. Ta machnęła ręką.

– Nie przejmuj się mną – rzekła stanowczo. – Tylko jedź z panem Rolandem.

– Możemy panią podrzucić do domu – zaproponował Niepołomicki. – Nie ma problemu.

– Nie, nie! Mam blisko. Poradzę sobie.

– Jak pani chce. – Roland wsiadł do land rovera i odpalił silnik. Po chwili w fotelu obok niego zasiadła Nastazja. Auto ruszyło, szybko znikając z pola widzenia Jodelki. W jego ślady udała się też furgonetka.

Cecylia westchnęła. Od kilku minut czuła w sercu niepokój. Nie wiedzieć czemu Roland nie zrobił na niej dobrego wrażenia, choć gdyby miała powiedzieć, co jej się w nim nie spodobało, nie umiałaby tego wyjaśnić. W jej głowie paliła się jednak czerwona lampka ostrzegawcza, a intuicja podpowiadała, aby mieć się przed Niepołomickim na baczności. A czego jak czego, ale podszeptów swojej duszy Jodelka słuchała zawsze. I z reguły dobrze na tym wychodziła.

## ROZDZIAŁ VIII

### TRUP W MUZEUM

Róża osłupiałym wzrokiem wodziła po eksponatach znajdujących się w przeszklonej gablocie zajmującej znaczną część pierwszej ze zwiedzanych sal Muzeum Ziemi Podlaskiej. Już pierwszy obiekt, na który spojrzała, wydał jej się tyleż oryginalny, co kompletnie nie wiadomo do czego służący. Wyglądał jak zardzewiały żelazny przedramiennik albo rękawica ze zbroi rycerskiej, tyle że z zamontowanym na końcu widelcem kucharskim. Długo dumiała nad przeznaczeniem tego dziwadła, ale ponieważ nic nie wymyśliła, postanowiła wreszcie zapytać o to stojącego obok niej Sebastiana.

– A, to! – roześmiał się dyrektor. – Zwraca uwagę wszystkich. To drapaczka. Jak przyjrzy się pani stronie przeciwnej do tego, co była pani uprzejma nazwać widelcem na rekina, to zobaczy pani zamontowany pojemniczek. Trzymano tam zasypkę do tępienia wszy. Całość pochodzi z początku dwudziestego wieku, kiedy pasożyty te były prawdziwą zmorą.

– Nadal są – mruknęła Róża, pomna tego, że gdy kiedyś przyszło jej się zająć dwoma „bąbelkami” swojej przyjaciółki, to potem Cecylia musiała jej przez cały tydzień wcierać we włosy jakąś upiornie smrodliwą maź i jeździć po głowie kupionym w Internecie „elektrycznym tępicielem”, co zresztą robiła z taką zawziętością i satysfakcją, że pisarka zaczęła podejrzewać, iż jednym z jej przodków musiał być hiszpański inkwizytor. – A te kudły?

Wskazała palcem na szklany pojemnik zawierający coś, co wyglądało jak peruka wyrwana z pyska wściekłemu owczarkowi, ewentualnie skalp zdarty z Donalda Trumpa.

– To jeden z dwóch takich eksponatów w naszym kraju – wyjaśnił Sebastian. – Peruka grobowa.

– Słucham? – Róża pomyślała, że się przesłyszała.

– Sztuczne włosy, w które strojono nieboszczyka. Mógł je zresztą nosić też za życia, bo dawniej do grobu składano różne przedmioty, które należały do zmarłego. Druga taka peruka jest w muzeum archeologicznym w Gdańsku. Nasza jest lepiej zachowana. Kiedyś była siwa, z czasem zrudziała. To obiekt, którego nigdy nie ruszamy, nawet w czasie remontu muzeum, bo istnieje niebezpieczeństwo, że obróci się w proch. Nie mówiąc już o tym, że ma zapach, od którego można paść trupem. Jak kiedyś nam się ten pojemnik przez przypadek rozszczelnił, to nasza sprzętaczką zemdląca, a gdy ją wynieśliśmy na dwór i ocuciliśmy, to stwierdziła, że przed powąchaniem tego myślała, iż najgorszym fetorem świata jest ten, jaki wydają z siebie duszone cynaderki, ale teraz zmieniła

zdanie.

Róża oderwała wzrok od peruki i z ciekawością popatrzyła na zawieszony obok gabloty obraz, po czym zastanowiła się, co właściwie zostało na nim uwiecznione. Po chwili doszła do wniosku, że jest to koń na rachitycznych nóżkach w stylu tych, jakie zwierzątkom na swoich obrazach dawał Salvador Dalí. Na rumaku tym siedział mutant o trzech rękach, ale dla równowagi jednej nodze, nieproporcjonalnie wielkim łbie, sprawiającym takie wrażenie, jakby jego właściciel cierpiał na wodogłowie, oraz tępym wyrazie twarzy i wybałuszonych oczach. Mutant w jednej ręce trzymał coś, co wyglądało jak biały ręcznik kąpielowy, w drugiej mandolinę, a w trzeciej jakieś dziwaczne przedmioty, które Krull zinterpretowała jako kastaniety. Tłem tego wstrząsającego dzieła były drzewka wyglądające na odrysowane od samochodowych choinek zapachowych.

– Widzę, że zachwyciła się pani portretem założyciela naszego miasta – rzekł obserwujący ją uważnie Sebastian. – Na obrazie uwieczniony jest w czasie pierwszej wizyty w Kocierzynie. Jak pani widzi, trzyma w dłoniach symboliczne klucze do miasta i królewski akt nadania mu tych ziem.

– Był muzykiem? – zapytała oszołomiona Róża.

– Nie. Dlaczego miałby być?

– Bo w trzeciej ręce ma mandolinę.

– Po pierwsze – Sebastian spojrział na nią potępiającym wzrokiem – to nie jest trzecia ręka, tylko noga, a po drugie to jest kusza. Hrabia Jan Jabłonowski był zapalonym myśliwym i nigdy się z nią nie rozstawał. Obraz ten jest dziełem Henryka Postronka, naszego lokalnego osiemnastowiecznego artysty malarza. Wartość tego portretu jest nieoceniona.

Krull przez moment zastanawiała się, czy ma jeszcze w piwnicy teczkę ze swoimi szkolnymi obrazami. Wziąwszy pod uwagę, że jej *Panorama warszawskiej Starówki od strony Wisły* stała się kiedyś przedmiotem klasowej dyskusji i zdaniem jej rówieśników prezentowała „dolną ludzką szczękę z ubytkami”, ewentualnie „wykres spółek na Giełdzie”, a według jej nauczyciela „samicy odyńca karmiącą potomstwo”, to być może po jej śmierci dzieło to, ocenione na trzy z minusem, też warte będzie miliony.

– Bardzo atrakcyjny obraz – stwierdziła, postanawiając w duchu zapisać w testamencie swoje malunki Pepe i tym samym spełnić jego marzenie o zostaniu milionerem. – A czy znajdują się tu też jakieś stare dokumenty, dotyczące historii Kocierzyna?

– Czemu to panią interesuje? – Sebastian spojrział na nią podejrzliwie.

– Chciałbym umieścić tutaj akcję swojej książki – skłamała bez mrugnięcia okiem Róża. – Prolog rozgrywałby się w czasach, kiedy miasteczko było jeszcze wioską. Dlatego interesują mnie wszystkie dokumenty związane z jego przeszłością i jakimiś lokalnymi legendami. Na przykład dotyczącymi... Dworku Pod Dębami.



Sebastian roześmiał się głośno.

– No tak, to miejsce na pewno nadaje się na scenę kryminału. Tyle że ten pomysł już ktoś ostatnio wykorzystał. W rzeczywistości.

– Myśli pan, że to, co tam się wydarzyło, to... morderstwo? – zaryzykowała Róża.

– Nie, czemu? – zdziwił się Sebastian. – Miałem na myśli tylko to, że jeśli chciała pani, aby ktoś w pani książce znalazł zwłoki w tym miejscu, to nie brzmi to jak kryminały, tylko fragment autobiografii. A co do śmierci Jarka, to chyba nikt nie ma wątpliwości, że wydarzył się wypadek.

– Niekonie... – zaczęła Róża, ale w tym momencie do rozmowy wtrąciła się towarzysząca jej Manuela.

– Oczywiście, że nie! – rzekła głośno, po czym już nieco cichszym tonem dodała: – Przecież nikt mu tutaj nie życzył źle, prawda?

Sebastian pokiwał głową.

– Nie wyobrażam sobie, żeby to było morderstwo – rzekł z przekonaniem. – Oczywiście, Jarek miał swoje wady. Jak każdy z nas. Pracowało się z nim jednak rewelacyjnie. Był prawdziwą kopalnią pomysłów i wiedział, jak sprawić, żeby ludzie się w coś zaangażowali. A to rzadka cecha! Jego śmierć to dla naszego miasteczka prawdziwy cios.

– Musiał pan to bardzo przeżyć. – Manuela wypowiedziała to tak ciepłym i pełnym współczucia tonem, że aż Róża w duchu pogratulowała jej zdolności aktorskich. – Nie dość, że spotykaliście się w pracy, to jeszcze chyba przez pewien czas też i w domu, prawda?

– Tak, ale to było już dawno temu... – Widać było, że Sebastian nie czuje się komfortowo i chce jak najszybciej zmienić temat. – Mówiła pani o dokumentach – zwrócił się do Róży. – Przechowujemy je częściowo w drugiej sali, a częściowo w naszej muzealnej bibliotece na piętrze. Myślę, że te bardziej dla pani wartościowe będą właśnie w bibliotece. Proszę za mną.

Przeprowadził je przez krótki korytarz zakończony schodami. Kiedy weszli na piętro, a Sebastian otworzył drewniane, rzeźbione drzwi, Róża z zachwytu wzięła głęboki oddech. W wielkiej, na oko liczącej sobie co najmniej sto metrów kwadratowych sali ustawiono kilka potężnych regałów. W całości wypełnione były one tomami ozdobnie oprawionych książek. Jeśli ktoś zapytałby Krull, jak wyobraża sobie raj, to z pewnością odpowiedziałaby, że dokładnie tak jak tę salę. Tyle że niczym nie ograniczoną i ciągnącą się w nieskończoność.

– Znajdują się tutaj i zwykłe książki, tyle że powstałe na terenie Podlasia albo w jakiś sposób z nim związane – wyjaśnił zachwycony rozanieloną miną Róży Sebastian – i dokumenty, które oprawiliśmy u introligatora. Jeśli chodzi o Dworek Pod Dębami... – podszedł do jednego z regałów, stanął na palcach i sięgnął na górną półkę, z której zdjął dwa opasłe tomiszczą – ...to tutaj znajdzie pani chyba kompletny zestaw dotyczących go dokumentów.

Manuela, korzystając z tego, że Janiszewski stał do nich tyłem, szepnęła coś pisarce na ucho.

– Pewnie nie mogę tego wypożyczyć? – zapytała Róża niewinnym tonem. – Nawet na jeden dzień.

– Nie, nie. – Sebastian wręczył jej książki. – Może je pani przejrzeć tutaj. Bez żadnego pośpiechu.

– Ale przecież są święta – Róża przybrała proszący wyraz twarzy, który zawsze idealnie działał na jej wydawców, kiedy informowała ich, że znowu nie wyrobi się w terminie z napisaniem kolejnej książki, w związku z czym pokornie błaga ich o wyznaczenie kolejnego – i muzeum jest zamknięte. Wzięłabym to do domu, postudiowała sobie, porobiła notatki i jutro panu oddała.

Sebastian miał niezdecydowaną minę.

– Pięknie proszę – rzekła Róża, trzepocząc rzęsami. – Obiecuję, że jeśli napiszę kryminał, którego akcja toczy się w Kocierzynie, to go panu zadedykuję!

Próżność Janiszewskiego wzięła górę nad jego obowiązkowością.

– Niech już pani będzie – zgodził się łaskawie – ale proszę obchodzić się z tymi dokumentami jak z najcenniejszym skarbem. Są niepowtarzalne i bardzo wartościowe.

– Bardzo panu dziękuję – Róża popatrzyła na niego z wdzięcznością – i daje słowo, że będę ich strzegła tak jak wydruku każdej mojej niewydanej jeszcze książki.

Gdyby w tej chwili w muzeum obecny był Pepe, zapewne szybko wytłumaczyłby Sebastianowi, jak niewiele warta jest akurat ta obietnica Krull, która jeden ze wzmiankowanych wydruków zostawiła kiedyś w Uberze, drugi pomyliła ze starymi rachunkami i wysiepała do śmietnika, a trzeci uprała razem ze swoją szmacianą torbą. Na szczęście dla Róży jej były agent przebywał ciągle na łonie rodziny z dala od Kocierzyna.

– Jeśli chcecie, możecie się jeszcze tu porozglądać... – zachęcił Sebastian.

– Z przyjemnością. – Róża ruszyła wzdłuż jednego z regałów, przyglądając się tytułom na grzbietach ksiąg i od czasu do czasu wyciągając jakąś interesującą ją pozycję. Na dłużej zatrzymała się przy tomie noszącym nazwę *Dzieje parafii kocierzyńskiej*. Przez chwilę czytała umieszczone w środku poźółłkte karty, a potem popatrzyła z ciekawością na Janiszewskiego. – To prawda, co tu jest napisane? Że dworek był pierwszą budowlą, która została tutaj zbudowana i że od niego rozpoczęła się cała historia miasteczka? I że zaraz po dworku postawiono kościół, bo panu hrabiemu nie chciało się dojeżdżać do Siemiatycz na msze?

Sebastian pokiwał głową.

– Hrabia Jabłonowski, który otrzymał te ziemie w darze od samego króla Augusta Mocnego, kiedy tu przyjechał, był już solidnie posunięty w latach. To znaczy miał po pięćdziesiątce.

Nad Różą pojawił się duch Pepe pokazujący jej język i mówiący: „A ty niby

uważasz, że ciągle jesteś prawie podlotkiem!”. Krull z trudem pozbyła się sprzed oczu złośliwej zjawy.

– Cierpiał na rwę kulszową i podagrę – kontynuował Sebastian. – W jednym z listów z tamtych czasów opisane jest, jak kazał prawie na śmierć wybatożyć służącego, który przez przypadek upuścił mu gęsie pióro na opuchnięty z powodu podagry palec.

– Słucham? – zdziwiła się Róża.

– Hrabia dyktował mu list i w pewnym momencie poprosił o coś do picia. Służący odłożył pióro na biurko, ale tak nieszczęśliwie, że spadło i po drodze musnęło palec Jabłonowskiego. Biednego chłopaka cztery razy obmywali po tym, jak dostał pięćdziesiąt batów na gołe ciało.

– I to wszystko jest w tych dokumentach? – zdziwiła się Róża.

– Owszem, ta historia pojawiła się w liście żony hrabiego do jej przyjaciółki – wyjaśnił Sebastian. – Hrabina nie popierała decyzji swojego męża i nawet określiła go mianem „horkopnego dziadygi, który tylko o globusa ją przyprawia okrucieństwem swem wielkim”, a także „osła dardańskiego”.

Róża poszukała w głowie jakichkolwiek skojarzeń. Bezskutecznie.

– Zwrot ten służył w tamtych czasach do określania osób, cechujących się wyjątkowym brakiem inteligencji – wyjaśnił uprzejmie Sebastian. – Odnosił się do homeryckiej historii o koniu trojańskim, którego w dawnej literaturze nazywano właśnie dardańskim od Dardanii, czyli krainy w Troadzie. Koń ów kojarzył się z ogromną wielkością, dlatego kiedy ktoś pragnął nazwać kogoś wielkim osłem, używał właśnie tego sformułowania.

– A skąd się wzięły te listy?

– Spadkobiercy przyjaciółki hrabiny robili kiedyś porządek w swojej posiadłości i znaleźli cały plik korespondencji między tymi damami. Oddali go nam. Znajdzie pani te listy w drugim z tomów, które trzyma w rękach. Uprzedzam tylko, że są pisane językiem dalekim od tego, jakim się posługujemy współcześnie.

– Zaraz, zaraz. – Manuela zmarszczyła brwi. – Coś tu dla mnie jest niejasne. Czemu dworek należący do Jabłonowskich nagle znalazł się w rękach rodziny Niepołomickich. Kupili go? Czy też jakiś Niepołomicki poślubił pannę, która go odziedziczyła?

Sebastian rozłożył ręce.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Wiadomo, że przed trzecim rozbiorem Polski dworkiem zarządzał hrabia Kazimierz Jabłonowski, który dokupił spory kawał ziemi na sad. Kolejny dokument, w którym wzmiankowana jest ta posiadłość, jest już sygnowany przez hrabiego Walerego Niepołomickiego i jest żądaniem zapłaty za sprzedaż jakiemuś księdzu pięciu świń rosochatych...

– Że co?! – Róża zrobiła wielkie oczy.

– Tak tam jest napisane. Bardzo jestem z siebie dumny, bo to ja go znalazłem w czasie robienia inwentaryzacji, gdy tylko zostałem tu dyrektorem. Leżał

w piwnicy, niszczał i jak znam życie, pewnie by zbutwiał i ktoś by go w końcu wywalił do śmieci. W tym liście hrabia żąda zapłaty w rublach albo ewentualnie krowach, przy czym w tym drugim przypadku zaznacza, że osobiście chciałby je wcześniej zmacać, co by sprawdzić, czy nie mają jakichś wad. Ten dokument też znajdzie pani w tych księgach. Jest tam data, o ile pamięć mnie nie myli, październik tysiąc osiemset ósmego roku. Co się wydarzyło przez tych czternaście lat dzielących te dwa dokumenty, zapewne nigdy się nie dowiemy.

Coś w głosie, a może wyrazie twarzy Sebastiana sprawiło, że Róża nabrała nagle przekonania, iż jej rozmówca kłamie. Nie umiała tylko sprecyzować, która z wygłoszonych przez niego myśli jest łgarstwem.

– Myślę, że możemy już wrócić na dół – rzekła, ostrożnie wkładając wypożyczone jej przez dyrektora księgi do swojej kobyłastej torby. – To zadziwiające, ile eksponatów udało się tu panu zgromadzić. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak niewielkim miasteczkiem jest Kocierzyn. Byłam niedawno w podobnym miejscu i tam też mieli muzeum. Muzeum! Szkoda gadać! Jedna sala, w której wystawiono korale, dwa zardzewiałe garnki i poplamione, za przeproszeniem, męskie gacie. Nic więcej! Serio. Koralami nawet zdążyłam się zachwycić, zanim okazało się, że to nie eksponat, tylko coś, co przez przypadek zostawiła jedna ze zwiedzających i czekało na nią do odbioru. Garnków podobno używał jakiś tam lokalny artysta malarz od mieszania farb, a gacie należały do ułana, który brał udział w bitwie pod tamtym miasteczkiem i obiecał sobie, że jeśli nie zginie, to nigdy ich nie upierze. Oceniając po ich wyglądzie, słowa dotrzymał.

– Każdy orze, jak może. Ja w każdym razie dziękuję za docenienie pracy moich poprzedników i mojej. – Sebastian lekko pokłonił się pisarce. – À propos dolnych sal, to mam jeszcze dla pani małą niespodziankę. Rozbudowujemy cały czas naszą kolekcję także o eksponaty związane ze współczesną historią miasta. I miło mi powiedzieć, że stworzyliśmy galerię znanych osób, które u nas gościły. Voilà!

Otworzył drzwi i wskazał ręką na ścianę. Po czym wydał z siebie zduszony okrzyk. Wpatrzona w znajdujące się na ścianie ogromne zdjęcie, zrobione lichowię kiedyś, a przedstawiające ją siedzącą za stołem jednej z kocierzyńskich restauracji i mającą przed sobą cztery gigantyczne talerze z lokalnymi specjałami w postaci wielkich jak pięści cepelinów, wijącej się bez końca kiszki ziemniaczanej, ogromnego pieriekaczewnika i całego talerza zagubów, Róża wydusiła z siebie tylko:

– O, ja jebię...

Po czym dopiero kiedy usłyszała za sobą jęk Manueli, zrozumiała, że gwałtowną reakcją jej towarzyszk i dyrektora muzeum wywołało coś innego niż jej własną. Błyskawicznie też dostrzegła co. Na podłodze pod jej zdjęciem leżała dziewczyna, którą poznała dwa dni wcześniej pod kościołem. Dokoła niej rozrzucone były skorupy naczyń, które jeszcze nie tak dawno temu musiało być wielkim kryształowym wazonem.

Kilka minut później Elwira Janiszewska została wyniesiona z muzeum na

noszach, a patrzący ze współczuciem na jej ojca lekarz powiedział ze smutkiem:

– Nie pozostaje panu już nic innego jak tylko pomodlić się o cud.

## ROZDZIAŁ XI

### KORESPONDENCJA Z PRZESZŁOŚCI

– Nie jestem ci w stanie jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie – doktor Marian Żymski patrzył na prokuratora Łuckiego z wyraźnym zakłopotaniem. – Gdyby nie okoliczności, powiedziałbym, że ktoś mu skręcił kark, ale biorąc pod uwagę, że spadł z kilkudziesięciu schodów, równie dobrze mógł to być wypadek.

– I naprawdę nie umiesz tego rozstrzygnąć? – Waldemar nie krył swojego rozczarowania. – Przecież technika poszła teraz tak do przodu, że wystarczy, iż przestępca odetchnie na miejscu zbrodni, a już jesteście w stanie powiedzieć, że jest trzykrotnie żonatym czterdziestoletnim rudym byłym miotaczem młotem z zezem i uczuleniem na banany!

– Niezupełnie – mruknął Żymski. – A tutaj nic nie jest jednoznaczne. No, może poza tym, że nieboszczyk ma drzazgę wbitą pod jeden z paznokci. Pochodzi z kilofu, który przekazaliście chłopakom do badania. Odważyłem za was robotę i to sprawdziłem. Nie musicie dziękować.

– Dzięki, ale nie widzę w tym nic dziwnego. – Towarzyszący prokuratorowi podkomisarz Fronczak wzruszył ramionami. – Przecież machali tym kilofem razem z Sobierajem tuż przed wypadkiem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Żymski pokiwał głową. – Tyle że drzazga, którą znalazłem, ma ślady krwi. Mikroskopijne, bo mikroskopijne, ale jednak. Nie jest to krew denata, bo DNA się nie zgadza. Zgadza się za to z tą, która w większej ilości znajduje się na całym kilofie. O ile mnie pamięć nie myli, według zeznań waszego świadka przed śmiercią Klina narzędzie to nie miało żadnych tego typu plam. Wnioski wyciągnijcie sobie sami.

– Mam jeden wniosek – mruknął z rozgoryczeniem Fronczak – a mianowicie, że nic z tego nie pojmuję.

Zdziwiony wzrok prokuratora dał mu do zrozumienia, że i on nie ma na razie żadnej teorii co do tego, jakim cudem Klin wbił sobie po śmierci zakrwawioną przez kogoś drzazgę.

– To chyba z grubsza tyle – rzekł patolog. – Pełny raport otrzymacie jutro z rana. Na waszym miejscu sprawdziłbym, czy krew na kilofie nie należy do świadka zdarzenia.

– Dlaczego? – zdziwił się prokurator.

– Bo darujcie mi, ale nijak nie chce mi się wierzyć w to bajanie o Białej Damie – wyjaśnił Żymski. – Wydaje mi się, że wymyślił to na poczekaniu. Prędzej uwierzyłbym, że coś znaleźli w tej dziurze w posadzce, zaczęli się o to kłócić, kilof

poszedł w ruch i albo ten wasz świadek skrzył ofierze kark albo zepchnął ją ze schodów. Dopuszczam, że w obronie własnej.

– Widzę, że już wymyśliłeś sobie cały przebieg zdarzeń – zauważył z przekąsem Łucki. – Odkąd to się z ciebie zrobił taki Herkules Poirot?

– Odkąd mój kumpel z Warszawy zaczął randkować z Różą Krull – wyjaśnił z lekkim zakłopotaniem Żymski. – Też go znacie. Piotr Kryński. Pracował u nas po studiach przez parę lat, a potem przeniósł się do stolicy. Zaprzyjaźniliśmy się i od czasu do czasu się odwiedzamy. Róża to jego najnowsza ukochana. Najpierw opowiadał mi całymi godzinami przez telefon, jaka to fajna babka prywatnie i jak świetnie pisze, a potem przysłał mi całe pudło jej kryminałów. Faktycznie niezłe. No i tak jakoś poczułem w sobie żyłkę detektywistyczną...

– Byleby ci tylko nie pękła – mruknął zgryźliwie prokurator, po czym spojrzal z niepokojem na Fronczaka. – À propos Róży. Mam nadzieję, że nie utrudnia ci śledztwa?

Podkomisarz pokręcił głową.

– Siedzi cicho jak mysz pod miotłą – zapewnił żarliwie. – Aż sam jestem zdziwiony. Może wyciągnęła nauczkę z swojej poprzedniej przygody? W końcu o mały włos, a byłaby zginęła. Tak czy siak, mamy z nią święty spokój. I oby tak zostało!

\*\*\*

– Pora wziąć sprawy we własne ręce! – Róża odłożyła jedną z dwóch wypożyczonych jej przez dyrektora muzeum ksiąg i skierowała wzrok na studiującą drugi gruby tom Manuele. – I co? Jest tam coś?

Dziennikarka pokręciła głową.

– Głównie rachunki za kolejne kupione żarcie – zaraportowała – i dokonane remonty posiadłości. Wszystko z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku.

– To zastanawiające – rzekła Róża. – Nie wiem, czy zauważyłaś, że w żadnym ze znajdujących się tu listów i dokumentów nie ma ani słowa o tym, że w dworku straszy...

Panie przeszły na ty poprzedniego wieczoru, kiedy to w ramach ukojenia nerwów po znalezieniu prawie zwłok wlały w siebie tyle alkoholu, że dolewając im go Cecylia zastanowiła się, czy aby nie powinna po powrocie do stolicy od razu pierwszego dnia zgłosić swojej pracodawczyni do kliniki odwykowej z adnotacją, że potrafi wlać w siebie więcej procentów niż członkowie grupy Lady Pank w latach świetności.

– Ja chyba coś tu miałam... – rzekła niepewnie Manuela, kartkując gorączkowo swój zbiór. – Zaraz, zaraz... O, jest! To jest żądanie zapłaty za rosochate świnię. To, które cię tak wczoraj zdumiało. Podpisane przez jaśnie hrabiego Walerego Niepołomickiego. Strasznie skomplikowane i szczerze mówiąc, jakbym nie

wiedziała, czego dotyczy, to nigdy bym tego nie wykoncypowała z treści. A tak w ogóle to tego jest trzy sztuki.

– Czego? – zdziwiła się Róża.

– Tej korespondencji o rosochatych kościelnych świniach. – Manuela popukała w kartę księgi. – Najpierw jest list hrabiego, następnie odpowiedź księdza, a potem znowu list hrabiego. I tu było coś o Białej Damie. Poczekaj... O, mam! „Żebych Jego Miłość tryumfa wizerunku swego i dóbr swoich zachowania nie stracił, korne prośby śle, co bych o długu mem zapomniał, a ja zech wtedy nie pomnę, czego zjawa w dworze Jego Miłości bytująca ujawnienia by chciała. A i toć u mnie jest papier takowyj, co dziedziczenie zasadnym czyni potomstwa bękarta po niej. Ale kiejdys Wasza Miłość baczenia na dług mój mieć nie będzie, to oby mnie i na palu ubili, słowa nie pisnę żadnego o tajemnicy naszej. Pokorny sługa Jego Miłości”. Chciałaś zjawy, to masz!

– To są jakieś brednie! – zdenerwowała się Róża. – Nic kompletnie z tego nie rozumiem. A ty?

– Też niewiele – przyznała Manuela. – Aczkolwiek wychodzi mi na to, że księżuło usiłował czymś szantażować hrabiego. I to czymś związanym właśnie z ową Białą Damą.

– Marny to szantaż, jeśli chodziło tylko o zapłatę za świnię – rzekła Krull. – Nawet rosochate.

– Co to właściwie znaczy?

– Rosochate? – upewniła się pisarka. – Nie mam bladego pojęcia. Sprawdźmy...

Sięgnęła po swojego iPhone'a i wpisała odpowiednie hasło w wyszukiwarkę.

– Według słownika PWN rosochaty to inaczej widlasty albo rozgałęziony – poinformowała Manuellę. – Nijak nie rozumiem, co to ma wspólnego ze świniami. Że niby te świnię transportowane były na widłach czy jak?

Z niezadowoleniem wpisała do wyszukiwarki hasło „rosochate świnię”, ale żaden z uzyskanych wyników nic jej nie wyjaśnił. Zlikwidowała drugie słowo i jeszcze raz popatrzyła na to, co podpowiedział jej Google. Nagle zmarszczyła brwi.

– A może... – Puknęła palcem w jeden z linków. – Hmm... Tak się zastanawiam... Popatrz...

Manuela wstała i stanęła jej za plecami. Przebiegła wzrokiem wyświetloną zawartość.

– Myślisz...? – zapytała z powątpiewaniem.

– Nie wiem – odrzekła niepewnie Krull. – Przyjrzyjmy się jeszcze raz tym listom...

Przez dłuższą chwilę studiowały uważnie skomplikowaną i nie najlepiej świadczącą o umiejętności posługiwania się językiem ojczystym przez obu interlokutorów korespondencję między hrabią a księdzem.

– Teoretycznie to nawet i pasuje – osądziła w końcu Manuela. – Tyle że nie za



bardzo wiem, co mamy teraz z tym zrobić?

– Jak to co?! – Róża z miejsca odzyskała wigor. – Natychmiast jedźmy tam i powęszmy!

– Gdzie cię znowu diabli niosą?! – Stojący w drzwiach z jakąś potężną i przy okazji pękatą torbą Pepe patrzył na nią z niepokojem. – Jedzenie przywiozłem...

– Od pani Irenki? – ucieszyła się Krull, będąca wielką fanką kulinariów, które wychodziły spod ręki mamy jej byłego agenta, co zresztą sprawiło, że gdy kiedyś, będąc z wizytą na Śląsku, wzięła się za kosztowanie „rulady i klusek z modro kapusto”, to godzinę później pierwsze pytanie, jakie usłyszała na spotkaniu autorskim od czytelników brzmiało: „Pani Różyczko, niech nam pani zdradzi: który to już miesiąc?!”. – Co przywiozłeś?

– Trzy rodzaje pieczonego mięsa, w tym twój ulubiony schab, ozorki w galarecie, karpia, rybę po grecku, sałatkę jarzynową, makówki, kołocz z wiejskiego sera i gigantycznej ilości masła oraz kruszonki, moczki i oprócz tego chyba z tonę innych słodkości – wyliczył Pepe, po czym lekko skonsternowany spojrzął na Manuelę. Doskonale pamiętał, że choć dziennikarka uratowała Różę życie, to raczej trudno było je uznać za przyjaciółki. – A pani co tu robi?

– Pomaga mi w researchu do książki – odpowiedziała szybko Róża.

Pepe popatrzył na nią z politowaniem.

– Do tej, na którą przed świętami nie miałaś jeszcze żadnego pomysłu? – rzekł z przekąsem. – Nieźle cię tu oświeciło, skoro już od razu wzięłaś się za research...

– No tak. – Róża machnęła ręką z rezygnacją. – Zapomniałam, że ciebie na tę bajkę nie da się nabrać. Weź coś pokrój od razu, bo jestem głodna. A potem wróć tu i posłuchaj...

Kiedy Pepe pojawił się z całym półmiskiem pyszności od swojej mamy, Róża w kilku zdaniach, momentami niezbyt wyraźnie artykułowanych z powodu przeżuwania pokarmu, opisała mu wydarzenia poprzednich dwóch dni.

– Jak jeszcze raz usłyszę, że chcesz spędzić spokojne Boże Narodzenie, to obiecuję, że zamknę cię na kłódkę w piwnicy – rzekł z rozgoryczeniem Pepe, gdy Krull skończyła swoje sprawozdanie. – Rozumiem, że jak zawsze wbiłaś sobie do głowy, że sama rozwiązesz tę sprawę, tak?

Róża poczuła, że nie wie, co odpowiedzieć, bo też i tym razem nie miała zielonego pojęcia, jakim sposobem wciągnęła się w tę sprawę. No dobrze, niby odkryła jedne zwłoki, potem była przy znalezieniu drugich nieco wybrakowanych, ale właściwie czemu dalej się w to wszystko angażuje, skoro żadna z tych pokrzywdzonych osób nie była jej bliska?

– Moim zdaniem powinniście iść na policję i dopytać, czy są świadomi tego, że ktoś przesunął zwłoki, a potem zając się własnymi sprawami – stwierdził stanowczo Pepe. – Przypominam ci, że już raz o mały włos nie straciłaś tu życia. Koniecznie chcesz, żeby ktoś cię w końcu utłukł?

Manuela, widząc niezdecydowanie na twarzy pisarki, poczuła, że za sprawą

tęgo upiornęgo śląskiego kościotrępa za moment jej marzenia o kolejnym kwadransie sławy pójdą z dymem. Nie mogła do tego dopuścić!

– Koktajl! – krzyknęła nagle w natchnieniu.

– Słucham? – zdziwił się Pepe.

– Magazyn „Koktajl” zaproponował nam okładkę i dziesięciostronicowy wywiad w środku, jeśli uda nam się przyczynić do wyjaśnienia jakiejś kolejnej sprawy kryminalnej! – powiedziała szybko Manuela.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Czemu ja nic o tym nie wiem?! – zapytała z lekką podejrzliwością Krull.

– Bo to miała być niespodzianka, a poza tym dopiero co kilka minut temu dostałam SMS-a z potwierdzeniem, że są tym zainteresowani. – Manuela, widząc, że oczy Róży zaświeciły się blaskiem godnym oświetlić cały salon, odetchnęła w duchu z ulgą.

– Naprawdę uważasz, że wywiad w „Koktajlu” jest wartý tego, żeby stracić życie?! – zezłościł się Pepe.

– Wywiad i okładka! – poprawiła Krull. – Wiesz, że zawsze marzyłam o tej okładce i nigdy nie udało się ani tobie, ani Betty tego załatwić! Bonda na niej była, Puzyńska była, i nawet ta cała cholerna mimoza Joanna Szmidt była, a ja nigdy! A przecież jestem od niej młodsza i szczuplejsza!

– Ale nie porwali cię piraci tak jak ją – przypomniał Pepe, do którego powoli docierał przykry fakt, że po oświadczeniu Manueli nic nie będzie już w stanie powstrzymać jego przyjaciółki przed popełnieniem kolejnego idiotyzmu, jakim było wmieszanie się w śledztwo w sprawie znalezionych przez nich zwłok kocierzyńskiego kustosa. – Róża, proszę, zastanów się, co chcesz zrobić! Policja ma do ciebie ogromną cierpliwość, ale nawet i ona się kiedyś wyczerpie i w końcu cię zamkna!

– Tylko wtedy, jeśli znów będziesz miał długi jęzor i zadzwonisz do Darskiego – rzekła gniewnie Krull. – I tak się dziwię, że jeszcze tego nie zrobiłeś. Wiecznie coś knujecie za moimi plecami! I mnie obgadujecie! Jak baby z magla!

– Gdybyśmy nie knuli, twoje zwłoki już dawno leżałyby na Wólce Węglowej!

– Naprawdę myślisz, że nie pochowałiby mnie w Alei Zasłużonych na Powązkach? – zdziwiła się Róża.

– Naprawdę to myślę, że jesteś nienormalna!

Manuela podniosła rękę.

– Przepraszam, że wam przerwę – powiedziała, spoglądając na Pepe – ale skoro już raz przypilnowałam, aby Róży włos z głowy nie spadł, to i drugi raz jej upilnuję. Poza tym obiecuję, że nie będziemy śledzić mordercy. Sprawdzimy tylko jeden trop, na który przed chwilą wpadłyśmy, i jeśli częgokolwiek się dowiemy, natychmiast pójdziemy z nim na policję. Daję słowo.

– Nie potrzebuję pani słowa – rzekł Kwiatek, obrzucając ją niechętnym spojrzeniem. – Zamierzam sam dopilnować, żeby tak się stało.

– Ale... – zaczęła Manuela.

Pepe nie dał jej dokończyć.

– Żadnego „ale”! – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Dokąd mamy jechać?

– Z nim nie ma dyskusji – westchnęła Róża, uprzedzając już otwierającą usta Manuellę. – To Ślązak. Ci, jak sobie coś wbiją do łba, to nie popuszczają, choćby mieli wywołać rewolucję, powstanie albo trzecią wojnę światową. Szkoda czasu na czcze gadki.

Manuela z rezygnacją machnęła ręką.

– Powtórzę pytanie – rzekł Pepe z przekąsem. – Dokąd jedziemy?

– Do Rosochatego Kościelnego – poinformowała go Róża, po czym, patrząc na osłupiały wyraz twarzy swojego przyjaciela, dodała: – Wyjaśnić zagadkę pięciu świnek. Zadowolony?

\*\*\*

– Kolejny list? – podkomisarz Fronczak wyjął z rąk Patrycji złożoną na pół kartkę, otworzył ją i przeczytał napisaną kulfonami wiadomość. Tym razem jej treść brzmiała: „Wiesz już, kto jest mordercą Twojego chłoptasia? Jeśli nie, mam dla ciebie podpowiedź: szukaj białego futra! Gall Anonim”. – Jakim sposobem tym razem trafił do pani rąk?

– Prawie dokładnie takim samym jak poprzedni. Tylko tym razem nie było dzwонka do drzwi. Po prostu znalazłam tę kartkę wetkniętą w furtkę.

– Kiedy?

– Z samego rana.

– I dopiero teraz mi ją pani przynosi?! – oburzył się Eustachiusz, rzucając okiem na wiszący vis-à-vis niego na ścianie zegar, wskazujący kwadrans po dwunastej.

– To znaczy chyba musiała tam być od rana – rzekła wyraźnie spłoszona Dworzak. – Tak przypuszczam.

– Przypuszcza pani?!

– Bo myśmy się wszyscy obudzili dopiero po dziesiątej – przyznała Patrycja ze wstydem. – I ja, i moi rodzice wzięliśmy sobie urlopy na czas między świętami a Nowym Rokiem i jakoś tak wyszło, że nikt się dzisiaj nie zrywał o świcie. I tak dobrze, że tata umówił się z mechanikiem na przegląd auta, bo inaczej pewnie ta kartka tkwiłaby w furtce do nie wiadomo kiedy.

– I, jak znam życie, znów nie było żadnych śladów po tym, kto ją przyniósł? – upewnił się podkomisarz.

Patrycja pokręciła głową.

– A znaleźliście coś na poprzedniej kartce? Jakies odciski linii papilarnych?

– Ucho od śledzia znaleźliśmy – mruknął Fronczak. – Z tymi liniami to

zawracanie czterech liter, dobre do książek kryminalnych. Wielka szkoda, że znowu na drodze było goło i wesoło. No, nic na to nie poradzimy. A to białe futro... Z czymś się pani kojarzy?

– Owszem – przyznała niechętnie Patrycja.

– Z czym? – Fronczak popatrzył na nią pytająco. – Albo raczej z kim?

– Z Joanną Złocińską. Chyba tylko ona jedna ma u nas takie długie, białe futro. Wszyscy go jej zazdroszczą. Często przychodzi w nim do kościoła.

– Faktycznie. – Fronczak w duchu niezbyt przychylnie pomyślał o swojej pamięci. – Sam też zwróciłem na nie uwagę, bo wygląda jak zdarte z jakiejś hollywoodzkiej gwiazdy. No tak... Trzeba będzie porozmawiać z panią Joanną. Bardzo pani dziękuję.

Patrycja wstała z krzesła i skierowała się w stronę wyjścia z pokoju podkomisarza. Była już przy samych drzwiach, kiedy nagle coś jej się przypomniało.

– Powiedział pan, że na drodze do mojego domu było goło i wesoło – rzekła w zamyśleniu. – Tym razem to nie do końca jest prawda.

– Co ma pani na myśli?

– Były tam ślady opon samochodowych. Ale to oczywiście może nic nie znaczyć, bo prowadziły z posesji, znajdującej się obok. Tym niemniej były tak blisko naszej furtki, że na upartego ktoś siedzący w tym samochodzie mógł bez problemu otworzyć okno i wetknąć w nią list. Tyle że byłby to ktoś, kogo nigdy bym o to nie podejrzewała!

Fronczak zmarszczył brwi i przez moment usiłował sobie przypomnieć układ domów w tamtej części miasteczka. Najwyraźniej jednak jego pamięć postanowiła tego dnia wziąć sobie wolne.

– Proszę mi przypomnieć, kto mieszka obok państwa.

Patrycja udzieliła odpowiedzi.

– Hmm... – mruknął Fronczak. – Interesujące. Bardzo interesujące.

\*\*\*

Kościół pod wezwaniem Świętej Doroty w Rosochatem Kościelnym liczył sobie prawie sześćset lat. Oczywiście po pierwotnym, małym, drewnianym budynku, w którym odprawiono tu pierwszą mszę, nie zostało już nawet wspomnienie. Na jego miejscu stanął wielki gmach, wiele razy przebudowywany i modernizowany, ostatni raz tuż po wojnie. Zbudowany z cegły w stylu późnogotyckim, majestatyczny, pięknie oświetlony zimowymi promieniami słonecznymi sprawiał imponujące wrażenie. Podobnie jak stojąca obok niego o trzysta lat młodsza barokowa dzwonnica, kryjąca w sobie dwa renesansowe dzwony.

– Przepiękny! – westchnęła z zachwytem Cecylia, która nieco wcześniej na wieść, że Róża, Manuela i Pepe jadą do miejscowości, która ma w swojej nazwie

słowo „kościelne”, wpadła w stan nazwany przez jej córkę „atakiem małego rozumu” i czym prędzej zajęła miejsce w Stefanie, stanowczo odmawiając opuszczenia tegoż pojazdu i pozostania w domu. – I jaką ma patronkę...!

– Jaką? – zaciekała się Manuela, zanim Róża zdążyła zasłonić jej usta.

– Świętą Dorotkę! – Cecylia popatrzyła na dziennikarkę z wyraźną wdzięcznością za zadanie pytania, które umożliwiło jej oświecenie towarzyszących jej bezbożników. – Cóż to była za cudowna osoba! Jej życie to pasmo wspaniałych, godnych naśladowania uczynków! Pochodziła z Cezarei i żyła za panowania cesarza Dioklecjana, który okrutnie prześladował chrześcijan. Z wyroku jego namiestnika została skazana na śmierć za to, że nie kłaniała się rzymskim bóstwom i odmawiała składania im ofiar. Kiedy wtrącono ją do więzienia, dopuszczono do niej dwie kobiety, które wcześniej wyparły się wiary i miały ją przekonać, aby poszła w ich ślady, a wtedy uratuje życie. Na szczęście Dorotka nie dość, że ich nie posłuchała, to nawet zdołała przemówić im do rozumu i sprawić, żeby same wybrały męczeństwo i śmierć. Te dwie kobiety to święta Krystyna i jej siostra święta Kalista. Wszystkie trzy związane plecami do siebie i spalono w beczce ze smołą. Ale zanim to się stało, prowadzona na śmierć Dorotka spotkała młodego poganina Teofila, pracującego dla namiestnika cesarza. Ten Teofil strasznie sztychował z niej i zapytał, dlaczego tak się śpieszy na spotkanie ze śmiercią. Dorotka odpowiedziała mu, że chce jak najszybciej zobaczyć niebiańskie ogrody, na co on odparł, że gdyby dała mu kwiaty lub owoce z tych ogrodów, to wtedy by jej uwierzył. I dokładnie w tej samej chwili pojawił się obok nich uroczy cherubinek z koszem pięknego kwiecia i cytrusów. Na jego widok Teofil natychmiast się nawrócił. Wyszło mu to na dobre, bo go święto mieczem jeszcze przed śmiercią Dorotki i od razu został świętym. Taka to była wspaniała kobieta!

Manuelę najwyraźniej w świecie zatkało. Po chwili zastanowiła się, kto u licha ciężkiego uznał za świętą osobę, która ze względu na swoją działalność i liczbę osób, do których śmierci się przyczyniła, bardziej zasługiwała na miano seryjnej morderczyni. Na koniec zaś podumała nad złożonością charakteru Cecylii, która w jej oczach zdecydowanie przestała być nieszkodliwą starszą panią. Na wszelki wypadek postanowiła trzymać się od niej w bezpiecznej odległości, zanim gosposia Róży dojdzie do wniosku, że wszyscy dokoła niej też zasługują na męczeńską śmierć w glorii chwały, a potem w ataku religijnego szału podstępem wrzuci ich do przykościelnej studni. W końcu z maniaczkami nigdy nic nie wiadomo.

– Pani Cecyljo – Róża popatrzyła na Jodelkę z wyrzutem – zamiast opowiadać jakieś kocopoły, lepiej by nas pani zarekomendowała miejscowemu wielebnemu. Sama się pani pochwalila, że zna jego bossa...

– Kogo?! – zdumiała się Cecylia.

– Szefa – poprawiła się szybko Róża. – Znaczy się przełożonego.

– Bossa! – Cecylia wzniosła oczy ku niebu. – Boże, widzisz i nie grzmisz! Bossa

to ma mafia.

Krull chciała wygłosić komentarz do tej opinii, posługując się określeniem „czarna mafia”, ale na szczęście w porę ugryzła się w język.

– To zna go pani czy nie? – spytała w zamian.

– Biskupa Trojaniczuka? – upewniła się Cecylia. – Oczywiście, że znam. I to bardzo dobrze. Byliśmy razem na pielgrzymce do Medziugoria. Bardzo mnie polubił!

Gwoli prawdy należy dodać, że biskup tak polubił Jodełkę, że nawiewał przed nią gdzie pieprz rośnie, co sprawiło, że o mały włos byłby się zabił, kiedy to na jej widok potknął się w czasie panicznego kurcgalopku i zleciał po kamieniach z Góry Objawienia.

– Cudnie! – Róża klasnęła w ręce. – W takim razie idziemy!

Kilka minut później cała czwórka siedziała naprzeciw księdza, który z całych sił starał się ukryć, że zafascynowany był faktem, iż oto gości w progach plebanii gwiazdę literatury, w której książkach się zaczytuje, choć oczywiście nie przyznałby się do tego, nawet gdyby groził mu los patronki jego parafii.

– Chciałbym państwu pomóc – zapewnił gorliwie – ale jest jeden problem. Jestem tu tylko przejściowo i od niedawna. Proboszcz tej parafii zszedł był dość niespodziewanie z tego świata i zostałem tymczasowym administratorem parafii do czasu, aż wyznaczony zostanie jego następca. Niewiele wiem o tym, co się tutaj działo.

– Niespodziewanie? – Róża wyłowiła z jego słów jedno, które wydało jej się podejrzane. – Jakiś wypadek? Zabójstwo?

– Nie, nie! – Ksiądz pomachał ręką. – Skądże znowu! Nic z tych rzeczy. Miał bardzo chore serce. Co prawda lekarze dawali mu jeszcze kilka lat życia, ale przyplątało się zapalenie płuc, no i serce nie wytrzymało. Wszystko to stało się ledwie w kilka dni. Jeszcze dwa tygodnie temu odprawiał mszę, a już dwa dni potem trafił do szpitala. Prawie nie odchodziłem od jego łóżka przez ostatnie godziny jego życia. Zmarł następnego dnia po tym, kiedy go przywieźli.

– Jaka szkoda... – zmartwiła się szczerze Róża, choć z dużo bardziej egoistycznych pobudek niż współczucie z powodu zgonu poprzednika jej rozmówcy.

– W takim razie my już chyba będziemy się zbie... – zaczął Pepe, usiłując wstać z krzesła. Krull go jednak przed tym powstrzymała.

– A nie orientuje się ksiądz, czy gdzieś tu znajdują się jakieś stare dokumenty? – zapytała.

– Dokumenty? – Ksiądz spojrział na nią z zaciekawieniem. – Co ma pani na myśli? Bo, oczywiście, jest tu sporo pism i aktów, związanych z parafią i kościołem. Odnoszę jednak wrażenie, że ma pani na myśli coś innego...

– Owszem – potwierdziła pisarka. – Chodzi mi o dokumenty związane z wiernymi.

– One objęte są tajemnicą! – W oczach księdza pojawiło się przerażenie. – Nie mogę ich pani udostępnić! Nawet policji bez nakazu bym ich nie pokazał!

– Nie chodzi mi o żyjących wiernych – uspokoiła go szybko Róża. – Przecież nie jestem niedorzeczna! Mam na myśli tych sprzed, powiedzmy, stu, dwustu lat... Jakieś listy, pamiętniki, sama nie wiem...

– A po co to pani? – Ksiądz popatrzył na nią uważnie.

Róża rozważyła szybko w myślach, czy uraczyć go jakąś wymyśloną na poczekaniu bajką, czy też powiedzieć prawdę. Choć z reguły nie miała zaufania do duchownych, tym razem intuicja podpowiadała jej, że ma przed sobą przyzwoitego człowieka, do którego można mieć zaufanie. Na wszelki wypadek popatrzyła pytająco na Pepe. Mina jej towarzysza była jednak dość jednoznaczna i pisarka bez trudu odczytała ją jako „rób, co chcesz”.

– Próbuje wyjaśnić pewne kwestie związane ze śmiercią kustosa muzeum w Kocierzynie. Nie wiem, czy ksiądz o tym słyszał?

– Chyba coś mi się obilo o uszy... Ale nie znam szczegółów.

Róża pokrótce opisała wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu godzin.

– Wiara w zjawy i gusła nigdy nie prowadziła do niczego dobrego – podsumował jej opowieść ksiądz. – Co zaś do dokumentów przechowywanych w tym kościele, to nie sądzę, aby którykolwiek mógł mieć coś wspólnego z tym, co wydarzyło się w państwa miasteczku. Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie wam pomóc. Zresztą skoro tę korespondencję sprzed lat znaleźliście państwo w swoim muzeum, to podejrzewam, że to na poszukiwaniach właśnie tam powinniście się teraz skupić.

Pepe ponownie zaczął wstawać z krzesła. Tym razem Róża nie próbowała go zatrzymać, bo i do niej dotarło, jak w sumie bezsensownie desperacka była decyzja o przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów, na dobrą sprawę do końca nie wiadomo, w jakim celu.

– Mnie jest równie przykro – mruknęła, także podnosząc się ze swojego miejsca.

– Czy mógłbym... – ksiądz się zawahał, ale po chwili próżność w nim wzięła górę – ...poprosić panią o autograf?

– Oczywiście – odrzekła nieco zdumiona Krull.

– Tak się składa, że mam pod ręką jedną z pani książek. – Duszpasterz otworzył szufladę biurka, przy którym siedział, i wyjął z niej nieco sfatygowany egzemplarz *Zabij mnie znów, kochanie*, po czym szybko dodał: – Sam nie wiem, skąd się tu wzięła. Ale jak już wpadła mi w ręce, to przeczytałem...

Róża ostatkiem sił opanowała kąciki swoich ust, które, jak czuła, zaczęły się układać w ironiczny uśmiezek. Sięgnęła po leżący na biurku długopis i otworzyła książkę.

– Dla kogo ma być dedykacja? – zapytała.

– Dla Andrzejka... – Na policzkach księdza pojawił się lekki rumieniec. – To

znaczy, przepraszam, dla Andrzeja.

– Może być i dla Andrzejka. – Róża zaczęła pisać dedykację. – Mam nadzieję, że powieść się księdzu podobała?

– Nie najgorsza – rzekł łaskawie. – Tylko mogłaby tak pani po nas nie jeździć jak po tysej kobyle...

– Ja jeżdżę?! – zdziwiła się Krull, czując, że wspina się właśnie na szczyty hipokryzji. Doskonale w końcu pamiętała, że w *Zabij mnie znów, kochanie* zrobiła z jednego z kolegów po fachu swego rozmówcy psychopatę, do którego nawet Hannibal Lecter mógłby się zapisać na korepetycje.

– Tak trochę... – odpowiedział ksiądz z pobłażliwym uśmiechem. – Ale ja już jestem w sumie przyzwyczajony. Kościół już od czasów starożytnego Rzymu ma złą prasę. To jedno się nie zmienia.

– Z krótką przerwą na średniowiecze, nieprawdaż? – Krull popatrzyła na niego ironicznie, po czym oddała mu książkę. – Proszę bardzo...

– Bardzo dziękujemy za poświęcony czas. – Podnosząca się ze swojego krzesła Cecylia nie mogła rozstrzygnąć, czy większy niesmak budzi w niej fakt, że pracuje u kobiety szkalującej jej ulubioną instytucję, czy też to, że wielbicielem twórczości jej pracodawczyni jest ktoś, kto powinien raczej czym prędzej zorganizować palenie dzieł Róży na stosie. – I ma ksiądz rację. Też pomyślałam, że prędzej się czegoś dowiemy w naszej parafii. Tylko nasz wielebny Sobiesław nie wydaje się tak życzliwy. Czy... coś się stało?

Ksiądz patrzył na nią takim wzrokiem, jakby znienacka zaczęła tańczyć przed nim kankana.

– Powiedziała pani Sobiesław?! – spytał nieco zduszonym głosem.

– Tak. – Zdziwiona Cecylia pokiwała głową. – Tak ma na imię ksiądz z parafii w Kocierzynie.

– Niesamowite! – Przyłożył sobie rękę do serca. – To zmienia postać rzeczy! Bardzo proszę, niech państwo jeszcze na chwilę usiądą. Przepraszam, za moment wrócę!

Szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

– A tego co opętało? – mruknęła Róża.

– Nie przystoi na plebanii mówić o opętaniach – pouczyła ją Cecylia.

– Powiedział powód opętania – mruknęła pod nosem Manuela.

– Słucham? – Cecylia rzuciła jej oburzone spojrzenie.

– A nic, nic. – Manuela uśmiechnęła się mile, wychodząc z założenia, że dla niebezpiecznych wariatów zawsze lepiej być uprzejmym. – Bardzo jestem ciekawa, czego się dowiemy.

Na odpowiedź nie musieli długo czekać. Ledwie po trzech minutach ksiądz wrócił do pokoju. W rękach trzymał nieduży, pożółkły zwój papieru.

– Nie wiem, na ile to państwu pomoże – rzekł z lekką zadyszką, siadając za



biurkiem i powoli rozwijając rulon – ale proboszcz parafii przed śmiercią kilka razy odzyskiwał świadomość. Choć tego ostatniego słowa używam tak trochę na wyrost, bo nawet w tych chwilach, kiedy usiłował coś powiedzieć, bardziej było to bełkotanie i jakieś nieskładne wyrazy niż normalne, zrozumiałe zdania. Ale parę razy w takich momentach wypowiedział imię Sobiesław, a raz dodał do tego nawet składny komunikat, żebym koniecznie do niego pojechał i przekonał go, aby nie robił tego, co planuje. „List hrabiny! List hrabiny! Niech go zwróci! Pamiętaj! Nie warto odgrzebywać tego, o czym wszyscy dawno zapomnieli”, powiedział wtedy, po czym znowu stracił przytomność. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Kilka godzin przed śmiercią znów wypowiedział to imię, a potem wyszeptał, żebym koniecznie zajrzał pod jego sekretarzyk. Słowo „pod” powtórzył chyba z dziesięć razy. Spełniłem tę prośbę, ale nic nie znalazłem. Pomyślałem, że pewnie wszystko mu się już mieszało w malignie. Dopiero kiedy zacząłem sprzątać jego pokoje i przesunąłem ten mebel, okazało się, że z jednej strony jest trochę naderwana listwa, pod którą znalazłem ten list. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co mam z nim zrobić, zwinąłem go więc w rulon i chciałem po prostu dołączyć do archiwum parafialnego. Jednak w świetle państwa opowieści, może ma on jakieś znaczenie.

Róża bez mała wydarła mu papier i przebiegła oczami po uwiecznionym na nim tekście, a następnie w milczeniu podała go Manueli. Reakcja dziennikarki była bardziej żywiołowa.

– Czyli jednak miałyśmy rację?! – krzyknęła z wyraźną ekscytacją. – Hrabia był szantażowany!

– Jaki hrabia?! – zdumiał się Pepe. – O czym wy bredzicie?

– Niepołomicki – wyjaśniła Róża. – Miał spór z miejscowym proboszczem. Mówiłam ci po drodze, ale jak zawsze mnie nie słuchałeś...

– Mówiłaś? – zdziwił się Pepe. – Bo wydaje mi się, że przez całą drogę wylaś tylko hity Madonny do wtóru Spotify'owi. A do *Vogue* zrobiłaś takie choreo, że o mało co nie wybiłaś szyby w Stefanie...

– To też – zgodziła się łaskawie Róża, w którą przy przebojach królowej pop zawsze wstępował duch Krystyny Mazurówny czy Ginger Rogers i w związku z tym zaczynała się zachowywać zdaniem Pepe tak, jakby dostała nagłego ataku epilepsji. – Ale przy okazji opowiedziałam ci o liście hrabiego Niepołomickiego, wzywającym proboszcza z Rosochatego Kościelnego do zapłaty za dostarczone mu świnię, i o odpowiedzi, która była mało zawołowanym szantażem. Teraz wiadomo już, skąd to się wzięło! Sam popatrz!

Pepe jako trzeci zapoznał się z listem dostarczoną przez księdza. „Złożon chorobą wielką, bych sumienie miał spokojne przed spotkaniem ze Świętem Piotrem, wyznanie uczynić muszę w chwilach swych ostatnich, żem do zgryzoty przyczynił się familji Jabłonowskich. Dlatego na ręce następcy mego składam lokalizację miejsca, gdzie żem dowody wszystkie w tej sprawie schował. O której to sprawie skłamałem notacyję pisząc o Waćpani Hrabiny słowach ostatnich

w chwili śmiertelnej wypowiedzianych. Nadzieję pokładając wielką, że dokumenty owe dobru posłużą i temu, żebych należyty właściciel choć z łoża nieprawego na dziedzictwie swem zasiadł. Dowody te pod posadzką przed człowieczym okiem ukryłem, gdzie ogon bestyi przez świętego Michała pokonanej widnieje. Ks. Mikołaj Labodniuk”.

– Może jestem mało inteligentny – rzekł niepewnie Pepe – ale nadal nic nie pojmuję.

– Czego nie pojmujesz? – zniecierpliwiła się Róża.

– Tak szczerze mówiąc, to wszystkiego – przyznał Pepe.

– No, przecież to jasne jak drut. – Róża popatrzyła na niego z niesmakiem. – Dworkiem w tysiąc osiemset ósmym roku rządził jakiś tam hrabia Waclaw...

– Walery – poprawiła Manuela.

– Racja, Walery – zgodziła się Róża – Niepołomicki. Nie wiadomo, jakim cudem się tam znalazł, bo poprzednio posiadłość należała do rodziny Jabłonowskich. Z korespondencji, jaką prowadził z tutejszym księdzem, wynika, że wcale nie był prawowitym właścicielem dworku, co zgadzałoby się z tym, co, jak wiemy, mówił nieboszczyk.

– Nieboszczyk mówił? – zdziwił się ksiądz, myśląc, że Róża, która wszystko mówiła jednym ciągiem i w związku z tym w końcu straciła oddech, skończyła już swoją wypowiedź.

– Kiedy był jeszcze żywy – wyjaśniła Krull, trochę zaskoczona zdziwieniem księdza. W końcu, o ile dobrze pamiętała opowieści swojej gosposi o świętych, to co drugi z nich po śmierci coś tam jeszcze mówił albo robił, a jeden półwariatowany biedak zdążył nawet sam się poskładać do kupy i nawiać rzymskim żołnierzom. – Wspominał o tym, że szuka jakichś rzeczy, które mogą mu przynieść sławę, a komuś innemu wstyd. A ksiądz w swoim liście do hrabiego zasugerował, że dworek powinien należeć do jakiegoś bękarta. Moim zdaniem to się ze sobą łączy. Do tego wszystkiego w tym liście, który trzymasz teraz w dłoniach, a którego, jak rozumiem, ksiądz nikomu nie pokazywał... – popatrzyła na wielebnego, który pokręcił głową – ...pojawia się postać jakiejś hrabiny, o której mówił też zmarły proboszcz w kontekście swojego kolegi z Kocierzyna. Więc moim zdaniem to wszystko układa się w logiczną całość. Najpierw Sebastian został dyrektorem muzeum, zarządził inwentaryzację, znalazł dziewiętnastowieczną korespondencję między hrabią a księdzem i dołączył ją do księgi dworku w bibliotece. Tam pewnie zobaczył ją ksiądz Sobiesław. Zrozumiał, że chodzi o Rosochate Kościelne i przyjechał tutaj tak jak my, powęszyć. Dostał od zmarłego proboszcza list hrabiny...

Ksiądz Andrzej gwałtownie nabrał powietrza.

– Tak? – Róża przerwała swoją wypowiedź i popatrzyła na niego pytająco.

– Nie dostał, tylko ukradł! – krzyknął wielebny, po czym odrobinę się zmitygował. – To znaczy może tylko sobie pożyczył.

– A może się ksiądz wyrazić jakoś bardziej jasno? – poprosiła Róża.

– Świętej pamięci proboszcz był bardzo pedantycznym człowiekiem. Wszystko miał skatalogowane. Cały majątek parafii, wszystkie zbiory kościoła. Nawet mopom, którymi sprzątały nasze panie, ponadawał numery.

– Brzmi jak obsesja, a nie pedanteria – mruknęła Róża.

– Jak zwał, tak zwał. – Ksiądz wzruszył ramionami, po czym sięgnął po oprawiony w skórę notatnik. – W każdym razie po jego śmierci, gdy zacząłem przeglądać te jego spisy inwentarza, to przy dwóch pozycjach znalazłem notatki. O, proszę... Zbiór korespondencji, wiek dziewiętnasty. Pozycja osiemdziesiąta piąta. „List hrabiny Klementyny z Jabłonowskich Niepołomiczkiej” i przy tym dopisane ołówkiem „zag po wiz Sob”.

– Zag po wiz Sob – powtórzyła Krull. – Zaginiony po wizycie Sobiesława, tak?

Ksiądz pokiwał głową.

– Najprawdopodobniej – przyznał. – A potem przy pozycji dziewięćdziesiątej pierwszej, figurującej jako „List ks. Mikołaja Labodniuka” dopisek brzmi „ukr”, czyli pewnie ukryty. Widać z sobie tylko znanych przyczyn świętej pamięci proboszcz nabrał w czasie rozmowy z waszym proboszczem jakichś podejrzeń i nie chciał mu pokazać żadnego z tych dokumentów. W związku z tym ten wziął sobie jeden z nich sam.

– Ale skoro hrabina Niepołomiczka pochodziła z Jabłonowskich, to znaczy, że jednak dworek pozostaje w rękach tej samej rodziny... – rzekła niepewnie Cecylia.

– Nie wiadomo tak do końca, co tam się stało – westchnęła Róża. – Z listu tego całego Labodniuka wynika, że jednak prawowity właściciel nie dostał dworku we władanie. Intryguje mnie ta cała hrabina. Ktoś może sprawdzić, co mówi o niej Google?

– Już to właśnie sprawdzam – Pepe patrzył w swojego smartfona – i nie chcę cię martwić, ale po wpisaniu Klementyna Niepołomiczka nie ma ani jednego wyniku.

– Jak to?! – zdumiała się Róża, która kiedyś podczas pisania książki przysnęła na kilka sekund, trzymając głowę na klawiaturze, a potem dźgając w nią a to nosem, a to uchem, wpisała w wyszukiwarkę ciąg znaków składający się na słowo „megszentsedgtelenithetlensegeskedeseitekert”, po czym kiedy się przebudziła i z ciekawości puknęła w „Enter”, dowiedziała się, że oznacza ono w języku węgierskim – w zależności od słownika – „altruistyczne uczynki” albo „uświęcić niegodnych kupców”, a jakby tego było mało, że jest tytułem utworu metalowej grupy Blind Myself. Skoro bezsensowny ciąg znaków miał prawie osiemnaście tysięcy wyników, to jakim cudem archaiczne, bo archaiczne, ale zwyczajne imię i nazwisko mogło nie posiadać ani jednego? – Może coś źle wpisałaś?!

– Głupieję przy tobie w tempie kosmicznym, ale pisać jeszcze umiem! – warknął Pepe. – I tak ogólnie jakieś wyniki są, tylko nijak nieodnoszące się do tego, kogo szukamy. Poczekaj, spróbuję jeszcze wpisać Klementynę Jabłonowską.

Kolejna próba zakończyła się połowicznym sukcesem. Bo choć Google

podsunęło im Marię Klementynę Jabłonowską z Jabłonowa, to szybko okazało się, że nie była ona hrabiną, tylko księżną, a poza tym mieszkała w drugim krańcu Polski i zmarła w tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim roku, czyli na długo przed czasem, w którym dokonała się tajemnicza zamiana właścicieli kociarzyńskiego dworku.

– Nie widzę innego sposobu na wyjaśnienie tego wszystkiego niż rozmowa z księdzem Sobiesławem – orzekła Cecylia, po czym szybko dodała: – Na pewno działał w dobrej wierze. Jestem o tym głęboko przekonana!

## ROZDZIAŁ X

### LICZY SIĘ KAŻDA MINUTA

– Ciociu, ciociu!

Franciszka Niepołomicka z trudem otworzyła oczy. Ostatnimi czasy wykonywanie wszystkich, nawet podstawowych czynności kosztowało ją sporo wysiłku. A przecież jeszcze miesiąc temu wydawało jej się, że może przenosić góry. Jasne, że dokuczał jej lekki artretyzm, zwłaszcza w deszczowe dni, no i oczywiście słuch oraz wzrok nie służyły jej już tak dobrze jak za czasów młodości, ale poruszała się o własnych siłach, a przede wszystkim myślała w sposób jasny i klarowny. Zawsze była tak dumna ze swojego mózgu, który zdawał się w ogóle nie starzeć i oszczędzał jej tego, co przeżywało sporo jej rówieśników. Doskonale widziała, jakich spustoszeń okrutnik czas potrafi dokonać w ludzkich umysłach. Jej przyjaciółki zapomniały słów, myliły wydarzenia, miały problem z kojarzeniem ludzkich twarzy. Ale ona nigdy! A teraz... Szkoda gadać. To zadziwiające, jak błyskawicznie czasem człowiek traci siły życiowe i sprawność psychiczną. Czuła się zmęczona, chora i wyprana z energii, a do tego powoli zacierała jej się granica między jawą a snem, rzeczywistością a wytworami fantazji. Miała wrażenie, że świat dokoła niej spowiła mgła, przez którą nieustannie musi się przedzierać.

– Ciociu!

Franciszka zwróciła wzrok w stronę, z której dobiegało wezwanie, i z panującego dokoła półmroku wyłowiła twarz pochylonego nad jej łóżkiem Rolanda.

– Przyszedeł ten pan, z którym mamy omówić końcowe warunki sprzedaży dworku – oznajmił bratanek.

Nie za bardzo rozumiała, o czym on mówi. Końcowe warunki? A kiedy ustalono początkowe? I kto to zrobił? Roland? Ona sama? Nijak nie mogła sobie tego przypomnieć.

– Trzeba będzie tylko podpisać kilka dokumentów – poinformował ją Roland. – Jeśli ciocia czuje się na siłach, to moglibyśmy pojechać do notariusza. A jeśli nie, to spróbuję przywieźć go tutaj.

– Dzisiaj? – zapytała z trudem Franciszka.

– Liczy się każda minuta – odpowiedział Roland – ale jeśli ciocia ma się dzisiaj gorzej po wczorajszej podróży, to możemy to zrobić jutro rano.

Franciszka poczuła, że znów ogarnia ją senność. Twarz bratanka zaczęła się robić coraz bardziej rozmazana, tak jakby stał za coraz bardziej zaparowaną

szybą.

– Pojadę – wyszeptała Franciszka. – Tylko trochę się prześpię. Muszę odpocząć...

Ponownie zapadła w sen.

– No i sam pan widzi – westchnął Roland, patrząc przepraszająco na stojącego obok niego Sebastiana, po czym skierował się w stronę drzwi. – Zostawmy ją, niech śpi. Może faktycznie gdy trochę odpocznie, to jutro damy radę wszystko załatwić. Ona czasami ma jeszcze zrywy i przez godzinę, dwie zachowuje się w miarę normalnie. Tyle że coraz rzadziej się to zdarza.

Sebastian pokiwał głową i opuścił sypialnię staruszki. W duchu gnębiła go jedna wątpliwość, którą natychmiast podzielił się z Rolandem, gdy tylko znaleźli się sami.

– A ona nie umrze?

– Do jutra na pewno nie – zapewnił Niepołomicki. – A co do naszych spraw, to mam nadzieję, że udało się panu zgromadzić całą kwotę w gotówce. Tak jak się umawialiśmy.

Sebastian pokiwał głową.

– Owszem – potwierdził. – Nadal uważam, że to niebezpieczne, bo gdy kiedykolwiek ktoś na to wpadnie...

– Na co ma wpaść? – prychnął Roland lekceważąco. – Przecież kupuje pan nawiedzoną rudere. Będąca miejscem nieszczęśliwego wypadku i śmierci, co jeszcze obniża jej wartość.

– Nie wypadku, tylko morderstwa – poprawił Sebastian. – Po ataku na moją córkę chyba już nikt nie ma co do tego wątpliwości...

– No tak, słyszałem. – Niepołomicki popatrzył na niego ze współczuciem. – Bardzo mi przykro. Jak ona się czuje?

– Stan przez cały czas jest krytyczny. Nawet jeśli z tego jakimś cudem wyjdzie, to nie wiadomo, w jakim stanie. Lekarze nie ukrywają, że do końca życia może nie być zdolna do samodzielnej egzystencji.

– Współczuję panu. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć...

– Myślę, że w takich chwilach nie da się znaleźć odpowiednich słów – przyznał Sebastian, po czym machnął ręką. – Na razie postanowiłem o tym nie myśleć, żeby nie zwariować. Cieszę się, że przeżyła i że jest jakakolwiek nadzieja. A będzie, co ma być. Czyli co? Widzimy się jutro u notariusza?

Stali już przy drzwiach wejściowych.

– Dam panu znać z samego rana – rzekł Roland. – Liczę na to, że ciocia jutro poczuje się lepiej i wszystko sfinalizujemy. Tak jak pan jestem życiowym optymistą.

– Ja raczej staram się być realistą. – Sebastian uśmiechnął się blado. – W takim razie do jutra!

– Do jutra! – Roland zamknął za nim drzwi, po czym przeszedł do salonu i walnął się na kanapę. – Laura! Możesz już zejść! – krzyknął.

Na schodach prowadzących na piętro rozległy się odgłosy kroków. Po chwili w salonie pojawiła się wysoka i szczupła blondynka, sprawiająca wrażenie kruchej i eterycznej. Podeszła do stolika, odkorkowała stojącą tam butelkę wina, nalała sobie pół kieliszka i usiadła na kanapie obok Rolanda.

– Trzeba będzie zmniejszyć ciotuni dawki – poinformował ją Niepołomicki – żeby jutro nie wyglądała u notariusza jak po dragach, bo jeszcze ten zacznie coś podejrzewać i odmówi podpisania aktu. Chyba go ostatecznie wezwę do domu. Zrobi się zaciemnienie w pokoju, żeby nic nie zauważył...

– E tam – mruknęła lekceważąco Laura. – Oni widzą tylko paragrafy i artykuły. Nic więcej. Poza pieniędzmi, oczywiście.

– No, nie wiem. – Roland pokręcił niepewnie głową. – Myślę, że w tym cholernym miasteczku wszyscy mają wyostrzoną uwagę. W końcu trup tu się ściele gęsto. Akurat, kurwa, w najgorszym możliwym czasie.

– Bez przesady...

– A ty! – Roland popatrzył na nią z wyrzutem. – Też już nie miałaś nic lepszego do roboty, tylko walić ją po łbie.

– Rozpoznała mnie! – Laura rzuciła mu wściekłe spojrzenie. – Co miałam robić? Czekać, aż polezie do swojego cholernego tatuńcia i rozpieprzy nam cały interes?

– To już trzeba było ją walnąć raz a dobrze – Roland popatrzył na nią z politowaniem – a nie tak na pół gwizdka.

– Chciałam – westchnęła jego siostra – ale ten wazon wymusknął mi się z rąk. Pomyślałam, że poderżnę jej gardło, ale wtedy usłyszałam, że ktoś nadchodzi. Nie było czasu. Swoją drogą, kto włóczy się po muzeum w drugi dzień świąt?

– Jeszcze tego nam brakuje, żeby się nagle ocknęła i wszystko sobie przypomniała... – Roland rozłożył się wygodniej na kanapie, po czym ściągnął brwi. – Nalałaś wina tylko sobie?! Co za egoizm, siostrzyczko...

– Widziałeś, co robię, trzeba było powiedzieć, że też chcesz. – Niepołomicka wzruszyła ramionami.

Roland uśmiechnął się, po czym nagle wyjął jej kieliszek z ręki i zbliżył go do swojej twarzy. Przez chwilę obserwował zaskoczoną minę Laury, a następnie nabrał trochę wina do ust.

– Igrasz z ogniem. – Laura pogroziła mu palcem.

Roland przechylił się i najpierw zbliżył swoje usta do jej, a po chwili je do nich przycisnął. Laura otworzyła swoje i powoli wysączyła z nich wino, na koniec zostawiając swój język między jego wargami i w tym samym czasie rozpinając mu powoli rozporek. Dokładnie w chwili, kiedy przesunęła suwak na sam dół, rozległ się dźwięk dzwonnka u drzwi.

– Kurwa... – mruknął Roland. – Kogo znowu diabli przynieśli?

Laura ze zrezygnowaną miną opadła na leżące na kanapie poduszki.

– No idź – rzekła z rezygnacją. – Może to ten palant się po coś wrócił.

Roland zapiął rozporek, przeszedł przez pokój, a następnie małą sien i otworzył drzwi, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że zna stojącą przed nim starszą panią.

– Dzień dobry! – Cecylia nawet nie pytała, czy może wejść, tylko od razu wparowała do sieni. – Szłam właśnie do księdza dobrodzieja, ale podobno wezwali go na komendę. Jakby policja nie mogła przyjść do niego. To straszne, jak się teraz w naszym kraju prześladowuje duchownych. No cóż... Mam nadzieję, że niebawem stamtąd wyjdzie. Nie chciało mi się wracać do domu, więc pomyślałam, że przy okazji wpadnę i odwiedzę Franię. Można, oczywiście?

Nieco skonfundowany jej natarczywością, w wyniku której zamiast gospodarzem, zaczął się czuć gościem w tymczasowo, bo tymczasowo, ale jednak swoim domu, Roland nie wiedział, jak ma zareagować. Podejrzewał, że nawet jeśli jej odmówi, to ta upiorna baba i tak nic sobie z tego nie zrobi i spotka się z Franciszką, nawet jeśli w tym celu miałyby go po drodze stratować.

– Ciocia nie czuje się dziś najlepiej... – mimo wszystko podjął desperacką próbę zatrzymania Cecylii.

– Gdy tylko mnie zobaczy, to zaraz jej się zrobi lepiej! – zapewniła Jodełka, rozglądając się po sieni. – Pewnie nie macie tu żadnych kapci, prawda? To zostaną w butach, bo jak znam Nastkę i jej zamiłowanie do sprzątanania, to pewnie do podłóg można się tu przyklepić! Na amen! – Minęła Rolanda, weszła do salonu i zauważyła Laurę. – O, witam panią!

Niepołomicka wstała z kanapy. Cecylia podeszła do niej, wyciągnęła rękę na powitanie i przedstawiła się. Laura zrewanżowała się jej tym samym.

– Znałam waszego ojca. – Cecylia przyjrzała się jej uważnie. – W ogóle nie jest pani do niego podobna.

Laura chciała coś powiedzieć, ale Jodełka nie dopuściła jej do głosu.

– Na całe szczęście! – bez mała krzyknęła. – Przecież wasz tata wyglądał jak wąsaty knur! Oczywiście za przeproszeniem. Ale wy to całkiem co innego. Pan – popatrzyła z uznaniem na Rolanda – przypomina mi Ojca Świętego. Oczywiście z czasów, gdy był młodszy. Choć i teraz to przecież niezły przystojniaczek! Rzecz jasna papież z niego żaden. Taka podróbka w porównaniu z naszym. Ale takiego jak nasz to już przecież nigdy nie będzie! Z drugiej strony przynajmniej jest na kogo popatrzeć. Choć w sumie nie wiem, czy grzeszne myśli na widok papieża to aby nie szatańska robota!

Po minie Rolanda widać było, że zabrakło mu słów, aby zareagować i na komplement, i na resztę przemowy Cecylii.

– Pani też jest całkiem ładna – orzekła łaskawie Jodełka. – Pewnie po mamie.

– Znała ją pani? – zdziwiła się Laura. – Wydawało mi się, że rodzice nie utrzymywali kontaktów z nikim stąd...

– Nie, nie znałam – przyznała Cecylia. – Waszego ojca w sumie też nie za



bardzo. Widywaliśmy się tylko wtedy, kiedy Frania, to znaczy wasza ciocia, jeszcze tu mieszkała. Z jakieś dobre czterdzieści lat temu. O ile nie więcej. I nawet wtedy się nie przyjaźniliśmy. W czasach naszej młodości nie było takiego zdżyczenia obyczajów jak dzisiaj. Dziewczęta spędzały czas w swoim gronie, a chłopcy w swoim. To było o wiele zdrowsze. Nie to co teraz, kiedy dziewczuchy uważają, że muszą być bardziej męskie od swoich kolegów i zachowują się jak ulicznice. Jak się czasem słucha, jakimi wyrazami się posługują, to aż uszy więdną!

Laura, korzystając z faktu, że Cecylia chodzi po pokoju i ogląda stojące w nim meble, wymieniła rozbawione spojrzenie z Rolandem.

– Widzę, że Nastka niespecjalnie się wykosztowała na wystrój tego domu – zawyrokowała z przekąsem Cecylia. – Nic, tylko ten szwedzki badziew z Ikei. Jeszcze się człowiek nie zacznie tym cieszyć, a już się wszystko psuje, łamie albo odłupuje. I jeszcze trzeba samemu to złożyć. Jak ostatnio składałam ichnią nocną szafkę, to mi z tego wyszedł taboret! I żeby to jeszcze było ładne! Ale nie! Szpetota. Dziś już nie ma takich mebli jak kiedyś! Pamiętam, jak w latach osiemdziesiątych stałam cztery dni pod „Emilką”, żeby kupić regał „Amabsador” z żardinierą. To były meble! Z naturalnego dębu! Z połyskiem! A jakie solidne...! Pocisk artyleryjski mógłby w nie wałnąć i nic by się nie stało. Raz zostawiłam przez zapomnienie otwartą górną szafkę i chwilę potem o jej drzwiczki grzmotnęła się głową mojej świętej pamięci teściowa i co? I nic! Baba miała zakuty łeb, więc się przestraszyłam, że mi uszkodziła mebel. Tym bardziej, że przywaliła tak, że aż ją zamroczyło i o mało co nie zemdląła. Ale nie! Drzwiczkom na szczęście nic się nie stało. Takie to były meble!

– Może zaprowadzę panią do cioci – zaproponował Roland, znów nie umiejąc wymyślić żadnego komentarza do słowotoku Cecylii. – Tylko uprzedzam, że naprawdę jest dzisiaj w kiepskim stanie...

– Zobaczymy, zobaczymy... – Jodelka podreptała za nim do sypialni swojej dawnej przyjaciółki. Kiedy tam weszli, rozejrzała się krytycznie dokoła. – Trochę tu ciemnawo.

– Zasłaniamy okna, bo ciocia ma lekki światłowstręt – wyjaśnił Niepołomicki. – To też wynik udaru. Spróbuję ją obudzić...

– Poradzę sobie – zapewniła stanowczo Cecylia. – Przez kilka lat opiekowałam się moją mamą, która chorowała na demencję. Zapewniam pana, że może nas pan spokojnie zostawić same.

– Oczywiście. – Roland kiwnął głową i opuścił pokój, zamykając za sobą solidne drewniane drzwi bez szyby.

– Światłowstręt, dobre sobie – mruknęła Cecylia. Podeszła do zasłon i rozsunała je gwałtownym ruchem. W pokoju od razu zrobiło się nieco jaśniej. Po chwili uchyliła jedno z okien, wpuszczając do środka orzeźwiający, mroźny powietrze. – No, teraz to co innego. Frania! Pobudka!

Podeszła do łóżka, pochyliła się, położyła jej rękę na ramieniu i lekko nim

potrząsnęła. Niepołomicka jęknęła. Cecylia szarpnęła nią nieco mocniej.

– No już! – rozkazała. – Otwieramy oczy!

Franciszka spełniła jej polecenie.

– Cecka? – wyszeptwała. – Co ty tu robisz...?

– Przyszłam w odwiedziny. – Cecylia przysiadła na łóżku. – Tak jak mi kazałaś!

– Ja...? – Niepołomicka popatrzyła na nią półprzytomnie. – Kiedy...?

– Jak tylko tu przyjechałaś – przypomniała jej Jodelka, myśląc w duchu, że z jej znajomą jest jednak gorzej, niż przypuszczała. – Wczoraj!

– Dokąd przyjechałam? – W oczach Franciszki widać było zdumienie.

– Do Kocierzyna!

– Jestem w Kocierzynie? – zdziwiła się szczerze Niepołomicka. – W dworku?

– Nie, nie w dworku... – zaczęła Cecylia.

– No tak – przerwała jej Franciszka, ciężko wzdychając. – Przecież go sprzedalam...

– Co sprzedawaś?!

– Dworek...

– Nic nie sprzedawaś! – zaprotestowała Cecylia. „Rozmawiamy jak gęś z prosięciem”, pomyślała jednocześnie. – Niby komu miałabyś go sprzedać?!

– Jakiemuś... – widać było, że Franciszka z całych sił usiłuje się skupić – dyrektorowi. Tak... Chyba tak... Dyrektorowi muzeum.

– Sebastianowi Janiszewskiemu?!

– Wydaje mi się, że tak. – Franciszka próbowała się podźwignąć, ale nie dała rady. – Pomożesz mi?

Cecylia ujęła ją pod pachami i pomogła zmienić pozycję z leżącej na siedzącą.

– Dziękuję. – Niepołomicka popatrzyła na nią z wdzięcznością. – Zaszło mi w ustach. Należysz mi, proszę, trochę soku.

Cecylia popatrzyła na stojącą na stoliku przy łóżku szklanek i butelek z „nektarem z czarnej porzeczek”, po czym sięgnęła do swojej torebki, wyjęła z niej srebrną piersióweczkę i przelała odrobinę jej zawartości do naczynia. Podała je patrzącej przez cały czas tępo przed siebie Niepołomickiej i z zadowoleniem odnotowała, że ta duszkiem wypila wszystko do ostatniej kropli.

– Mocny sok – zauważyła Franciszka – i miał bardzo dziwny smak. Ale dobry. Trochę jak kawa...

– Teraz dodają tam różnych orientalnych paskudztw – wyjaśniła Cecylia pośpiesznie. – No i kupę ulepszczy smaku. Dlatego tak dziwnie smakuje.

– Możliwe – zgodziła się Niepołomicka, po czym nagle popatrzyła na Jodelkę nieco przytomniejszym wzrokiem. – Możesz mieć rację... Nie sprzedałam jeszcze dworku. Mamy dopiero jechać do notariusza. Jutro.

– Ale po co sprzedajesz? – zaciekała się Cecylia, zadowolona, że na wszelki

wypadek odlała sobie w domu odrobinę magicznej mikstury Pepe. Zrobiła to co prawda, żeby w razie czego doprowadzić do stanu użyteczności publicznej Różę, gdyby tej zdarzyło się spędzić zbyt rozrywkowego sylwestra i mieć potem problem z doprowadzeniem się do formy przed noworocznym spotkaniem literatów organizowanym przez Tele-Pol, ale, jak widać, przydała się wcześniej. – Przecież teraz to się kompletnie nie opłaca! Ceny spadają na łeb na szyję. Trzeba poczekać, aż znowu pójda w górę. Za ile go sprzedajesz?

– Nie wiem. Poczekaaj, daj mi się skupić. – Franciszka przyłożyła sobie ręce do skroni. – Sto tysięcy... Tak, na pewno. Sto tysięcy!

– Czego?! – zdumiała się Cecylia.

– Złotych...

– Albo coś ci się pomyliło albo zwariowałaś! – osądziła Cecylia. – Przecież sama ziemia, na której stoi, jest warta co najmniej dwa–trzy razy więcej!

– Kiedy Roland zapewnił mnie, że to bardzo dobry interes. – Franciszka popatrzyła na nią bezradnie. – To taki dobry chłopak. Zaproponowałam, że oddam jemu i Laurusi choć po dziesięć tysięcy, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że wszystko będzie dla mnie, żebym miała na leki albo jakieś zabiegi, jeśli trzeba będzie za nie zapłacić. Sama wiesz, jaka jest nasza państwowa służba zdrowia. Wszyscy tam tylko patrzą, żeby im dawać coś w kopertach...

– Chyba sobie kpisz! – Cecylia aż poczerwieniała z oburzenia. – Mamy najlepszą państwową służbę zdrowia na świecie! Wszyscy nam jej zazdroszczą. Amerykanie, Rosjanie, Norwegianie... Nawet Niemcy! Było o tym ostatnio w „Wiadomościach”! Pokazywali ciągnący się kilometrami przed granicą ogonek samochodów z Niemcami, którzy szturmują nasze szpitale, bo w tych ichninyh jedyne, co się robi, to morduje dzieci poczęte. A sama wiesz, że w „Wiadomościach” nigdy nie kłamią!

– No może... – zgodziła się bez specjalnego przekonania Niepołomicka. – W każdym razie Roland powiedział, że nie chce ani grosza, i nie wiem, jak mam mu się odwdzięczyć. Tak troskliwie się mną opiekują od czasu wypadku. To cud, że akurat wtedy los ich do mnie zesłał. Los albo anioły...

Choć to ostatnie słowo bardzo do niej przemawiało, to jednak Cecylia zmarszczyła brwi.

– Wypadku? – powtórzyła. – Masz na myśli udar, który przeszedł?

Franciszka pokręciła głową.

– Nie przeszedł żadnego udaru, głuptasku – rzekła z lekkim rozbawieniem. – Widzę, że już i tobie się wszystko płacze. Miałam wypadek. Wracalam z zakupami z Kauflandu i na pasach potracił mnie samochód. Wiesz, jak ci kierowcy teraz jeżdżą... Podobno nawet się nie zatrzymał, tylko dodał gazu i uciekł. Kiedy odzyskałam przytomność, Laura i Roland siedzieli przy moim łóżku. Towarzyszili mi przez cały pobyt w szpitalu. Nawet w nocy. Wyznaczali sobie dyżury. Nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

– Kiedy Roland mówił mi, że przeszłaś... – w tym momencie Cecylii przyszło do głowy, że może jej dawna przyjaciółka dostała udaru w następstwie wypadku i lekarze zaoszczędzili jej tej wiadomości. Z drugiej strony podejrzane wydało jej się, że Niepołomicki ani słowem się o nim nie zająknął. Nie, coś tu stanowczo nie grało! – To znaczy nieważne...

– No i potem też się mną opiekowali, bo po wyjściu ze szpitala nie czułam się najlepiej – dokończyła Franciszka. – Teraz też... Wiecznie kręci mi się w głowie. Czasem zapominam o różnych rzeczach, a kiedy indziej przypomina mi się coś, czego już od dawna nie wspominałam. Bywają chwile, kiedy nie wiem nawet, gdzie jestem albo kim są ludzie dokoła mnie. Dobrze, że mam wtedy przy sobie Laure i Rolanda.

– A skąd oni się właściwie wzięli? – zaciekała się Cecylia. – W tym szpitalu? Mieliście ze sobą stały kontakt?

– Nie. – Franciszka pokręciła głową. – Szczerze mówiąc, widziałam ich ostatnio, kiedy byli dziećmi. Potem tylko na zdjęciach, które wysyłał mi czasem Tadzio, zanim umarł. Zawiadomiła ich moja sąsiadka. To znaczy chciała zawiadomić kogoś z moich krewnych, a Tadzio kiedyś, jak się spotkaliśmy przez przypadek u mnie we trójkę, zostawił jej namiary na siebie. Tak na wszelki wypadek. Bo my już w sumie nie mieliśmy nikogo oprócz siebie. Żadnych innych krewnych. Kiedy okazało się, że Tadzio nie żyje, znalazła Rolanda i go zawiadomiła. To bardzo przedsiębiorcza kobieta...

– Właśnie słyszę – mruknęła Cecylia. – I Roland twierdzi, że sto tysięcy złotych za dworek to dobra cena?

– Tak... – Franciszka ziewnęła.

– Będę musiała się z nim rozmówić. – Cecylia powiedziała to bardziej do siebie niż do swojej rozmówczyni, tym bardziej że ta po chwilowym zrywie znowu zaczęła wyraźnie słabnąć. – A dlaczego koniecznie chciałaś się ze mną widzieć?

– Słucham? – wyszeptała ostatkiem sił Niepołomicka.

– Gdy się wczoraj spotkałyśmy, powiedziałaś, żebym koniecznie cię odwiedziła – przypomniała Cecylia. – Poczułam, że chcesz mi coś powiedzieć...

– A tak... Zaraz, zaraz... – Widać było, że Franciszka ze wszystkich sił walczy z buntującą się pamięcią. – Wiem! Szrama! Czy ty ciągle masz tę cholerną szramę...?

Jodełka odruchowo dotknęła swojego lewego obojczyka, od ponad czterdziestu lat oszpeconego kilkunastocentymetrową grubą blizną. Doskonale pamiętała okoliczności, w jakich powstało to ohydztwo. Zbierały z Franciszką jabłka w sadzie, wspinając się po drzewach i zrzucając je do rozstawionych pod spodem koszy. W pewnym momencie zaczęły się wygłupiać i udawać nimfy leśne. Niepołomicka podskoczyła kilka razy na swojej gałęzi. Nagle jej noga się ześlizgnęła i Franciszka straciła równowagę. Jako że była kilka metrów nad ziemią, krzyknęła z przerażenia i chwyciła się stojącej obok Cecylii. Traf chciał, że ta pochylała się akurat nad złamaną wcześniej gałęzią, która sterczała ostrym

końcem w górę niczym wzniesiony ku niebu miecz. Pchnięta gwałtownie, poczuła, jak wbija jej się w ramię, po czym, pociągnięta w dół przez przyjaciółkę, przejechała po nim niczym po właśnie naostrzonym nożu. I choć kilkanaście minut później wylądowała u kocierzyńskiego lekarza, to ten najwyraźniej uczył się swojego fachu u doktora Frankensteina, a przynajmniej na to wskazywał jego sposób zaszycia rany, kojarzący się bardziej z wyplataniem koszy wiklinowych niż łątaniem ludzkiego ciała. I choć rana ta była efektem przypadku, Franciszka zawsze czuła, że to jej wina i przy każdej okazji przepraszała za nią Cecylię, jak tylko umiała.

– Tak, mam...

– Musisz zapytać Laurę – Niepołomicka znowu ziewnęła – gdzie pozbyła się swojej... Jako dziecko... Rozcięła sobie łydkę... Na rowerze... Też miała taką szramę... A teraz ma tam gładkie ciało... Zapytaj ją... Koniecznie... – Głowa opadła jej na poduszkę.

Cecylia troskliwie podłożyła pod nią jasek, tak żeby leżało jej się bardziej komfortowo, po czym z westchnieniem wstała z łóżka. Już miała wyjść z pokoju, ale wiedzona ciekawością otworzyła szufladkę w nocnej szafce przy łóżku. „Ciekawe, czy dali jej na serce to samo co mnie?“, pomyślała, spoglądając na znajdujące się tam leki. Gwoli prawdy trzeba od razu zaznaczyć, że Jodełka akurat ten organ miała jak dzwon, a wszelkie jej bóle brały swój początek z miejsca znajdującego nieco niżej, a mianowicie z żołądka. Kiedy jednak lekarz zasugerował jej spożywanie nieco lżejszych potraw, zrobiła mu karczemną awanturę, połączoną z częściowym zdemolowaniem gabinetu, bo zrywając się z krzesła z pełnym oburzenia okrzykiem: „Jadłam smalec, jak pan jeszcze na kupę wołał papu!“, wyrzuciła przez przypadek jego biurko. Przerażony medyk czym prędzej wypisał jej receptę na Acard, wychodząc z założenia, że w pewnym wieku powinni go przyjmować prawie wszyscy, więc i zdrowej jak byk Cecylii minimalna dawka nie zaszkodzi. Ten lek Jodełka też z zadowoleniem zobaczyła teraz w szufladzie. Leżący obok Bianacid, jak doskonale wiedziała, rewelacyjnie działał na refluks, a Maść Świętej Hildegardy – lecząca zdaniem Jodełki już samą nazwą – na artretyzm i reumatyzm. Nieznany był jej za to Valsacor, więc Cecylia wpisała go do wyszukiwarki w swoim smartfonie i po chwili dowiedziała się, że przepisuje się go osobom z nadciśnieniem. Miała już zamykać szufladę, kiedy z samego jej końca wytoczyła się mała buteleczka. Cecylia wzięła ją do rąk i przeczytała nazwę. Haloperidol. Ponieważ nic jej to nie mówiło, znów posłużyła się telefonem. Kiedy uświadomiła sobie, co trzyma w ręku, zamarła, czując na karku gęsią skórę. Ten jeden moment oderwania od rzeczywistości sprawił, że nie zauważyła otwierających się za jej plecami drzwi.

– Przepraszam, czy nie zrobić wam czegoś do... – usłyszała męski głos.

Odwróciła się gwałtownie.

Wzrok Rolanda padł prosto na trzymaną przez nią buteleczkę. W jednej chwili twarz Niepołomickiego zmieniła się nie do poznania. Zniknął z niej uprzejmy

uśmiech, a pojawił się grymas wściekłości.

– Mówi się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła – rzekł powoli, zbliżając się do Cecylii. – Niebawem przekona się pani, ile kryje się w tym prawdy...

## ROZDZIAŁ XI

### NAOCZNY ŚWIADEK

Choć gdy głosił kazania, ksiądz Sobiesław wydawał się człowiekiem potężnym i pełnym siły, to siedząc na krześle w gabinecie podkomisarza Fronczaka, bardziej przypominał Zgredka z *Harry'ego Pottera* niż Guliwera w *Krainie Liliputów*.

– Zapytam jeszcze raz. – Policjant wpatrywał się w niego przenikliwym wzrokiem. – Jest ksiądz absolutnie pewny, że nie ma nic wspólnego z tymi dwoma anonimami? – Wskazał na leżące na biurku wiadomości znalezione przez Patrycję.

– Matkę twoją znam! – krzyknął na to ksiądz ni w pięć, ni w dziewięć.

– Ja ją też znam. – Fronczak wzruszył ramionami. – W dodatku od urodzenia. I co to ma do rzeczy?

– Komunii ci co niedziela udzielam, a ty mnie prześladujesz, jakbym był bandyta! – Sobiesław popatrzył na niego z wyrzutem. – Udzielam, choć nie powinienem, bo znam twoje grzechy i wiem dobrze, że dom swój w jaskinię nierządu zamieniasz!

– Po pierwsze, grzechy to mi wielebny raczył odpuścić, więc raczej się nie liczą do rejestru – sprostował spokojnie Fronczak, zastanawiając się, czy aby proboszcz nie ma na sumieniu czegoś gorszego niż tylko autorstwo anonimów. Oceniając po jego histerycznym zachowaniu, równie dobrze może okazać się mordercą. – Po drugie, nie zamieniłem swojego domu w nic, bo akurat mam w nim remont. Nie wiem, z jakiej części ciała ksiądz bierze te wszystkie swoje informacje, ale mam co do tego pewne podejrzenia. I nie żebym miał się księdzu z czegokolwiek tłumaczyć, ale siedzę u rodziców i głównie oglądam Netfliksa.

– Netfliksa! – krzyknął triumfalnie Sobiesław. – Źródło zgorszenia, promujące hedonizm, new age'yzm i, ten no, lesbianizm! W każdym filmie, który mi się tam wyświetlił, były tylko same zberezeństwa, heretyzmy, rozpasanie, grzechy i profanacje! I całujące się kobiety! Zgorszenie, że o mało co mi oczu nie wypaliło! W ogóle nie wiem, czy się powinno dawać rozgrzeszenie za oglądanie tych wszystkich plugawych rzeczy!

– Niech się tylko wielebny nie rozpędzi i nie nałoży ekskomuniki na wszystkich widzów Netfliksa w naszym miasteczku, bo potem przyjdzie samemu sobie dawać na tacę w pustym kościele i z nowego bmw nici. – Fronczak przewrócił oczami. – A tak na przyszłość to warto, żeby ksiądz pamiętał, że Netflix podpowiada filmy na podstawie tego, czego się w nim szukało i co się obejrzało wcześniej. To się nazywa profilowanie. Mnie się wyświetlają kryminały i filmy historyczne, bo takie tam oglądam. Skoro księdzu system podpowiada

bezceństwa, to może warto dokonać rachunku sumienia i zastanowić się nad sobą. Zresztą nie mi to oceniać. A teraz, bardzo proszę, przestańmy się wygłupiać i zacznijmy wyjaśniać kwestię tych wiadomości. Wiem, że są pisane przez księdza...

– Ale skąd?!

– Bo ksiądz jest jedyną osobą, która mogła je podrzucić, nie zostawiając śladów na zaśnieżonej drodze – wyjaśnił podkomisarz. – Powiniennem był się tego domyślić od razu, ale najwyraźniej miałem zaćmienie umysłowe. Skoro nie było śladów po jednej stronie furtki, to znaczy, że należało ich szukać po drugiej. O ile dobrze pamiętam, ksiądz posesję oddziela od Dworzaków tylko żywopłot. W dodatku dość marny. Wystarczyło się wychylić zza niego tuż przy ulicy i wsadzić list w furtkę. Ile tam jest do tej furtki? Pół metra? Metr? Nawet jeśli ksiądz zostawił jakiś ślad, to i tak go zasypał, prawda? – Popatrzył uważnie na proboszcza. Widać było, że ten zaczyna się powoli łamać. – No, a za drugim razem to już ksiądz zdecydowanie przedobrzył! Ślady opon? Nie można było drugi raz posłużyć się tym samym fortelem?

– Nie, bo spuścili psa z łańcucha. – Sobiesław machnął ręką. – To jakaś piekielna bestia! Gdy tylko wystawiłem rękę za żywopłot, to o mało co mi jej nie odgryzł!

– Dobrze, że ksiądz przestał udawać głupiego. – Podkomisarz odetchnął z ulgą, że nie musi już wysłuchiwać idiotyzmów. – Teraz proszę wyjaśnić, co to za dziwaczne komunikaty. Co księdzu wiadomo o wypadku, czy też zabójstwie, Jarosława Klina?

– Eeeech... No już dobrze, dobrze... Wszystko powiem – odrzekł Sobiesław z rezygnacją. – Choć nie wystawię sobie tym dobrego świadectwa i pewnie narażę się na podejrzenia. Ale cóż robić? Otóż jakiś czas temu miałem sprawę do dyrektora naszego muzeum i poszedłem go odwiedzić. Akurat był w trakcie inwentaryzacji, bardzo podekscytowany, że znalazł kilka starych dokumentów. Pokazał mi te swoje odkrycia. Była tam między innymi korespondencja z początku dziewiętnastego wieku między miejscowym hrabią mieszkającym w Dworku Pod Dębami a proboszczem parafii w Rosochatem Kościelnym. Wynikało z niej, że ów proboszcz szantażował hrabiego wiedzą o tym, że nie jest on prawowitym właścicielem tej posiadłości i że należy się ona komu innemu. Pan Sebastian nie zwrócił na to uwagi, obchodziło go tylko to, że te listy są stare i jako takie cenne dla jego zbiorów. Dla niego opisana tam sprawa nie miała żadnego znaczenia. Ja jednak myślałem inaczej...

– Dlaczego?

– Bo skojarzyłem tę korespondencję z inną, która kiedyś wzbudziła moją ciekawość, gdy porządkowałem stare archiwa w naszym kościele. Chodziło o dwa listy, napisane przez jednego z moich poprzedników na parafii. W jednym była wzmianka o hrabinie Klementynie Niepołomickiej, która na stare lata lekko zbzikowała i na łożu śmierci przekazała na kościół pięć tysięcy rubli, które wypłacił jej syn, czyli właśnie ów szantażowany hrabia.



– Pięć tysięcy... To dużo? – zaciekał się Fronczak, darując sobie uwagę, że nazwanie datku na kościół „zbikowaniem” akurat w ustach księdza brzmi mocno egzotycznie.

– O ile dobrze pamiętam, to przeciętna roczna pensja na przykład listonosza wynosiła w tamtych czasach około stu pięćdziesięciu rubli, więc to był prawdziwy majątek – wyjaśnił Sobiesław. – Ówczesny proboszcz naszej parafii, który datek przyjmował, dopisał, że hrabina chciała tym sposobem uspokoić swoje sumienie i że na łożu śmierci wyznała wielką tajemnicę. Obecni byli przy tym tylko on i jego pomocnik, młody kanonik. Nazywał się Mikołaj Labodniuk i po kilku latach został proboszczem parafii w Rosochatem Kościelnym!

Fronczak gwizdnął cicho.

– Widzę, że zaczyna pan kojarzyć – ucieszył się proboszcz. – Pojechałem więc do tego Rosochatego, żeby zobaczyć, czy nie zachowało się coś z tamtego czasu, i odkryłem list, jaki na łożu śmierci napisał ów Labodniuk. Wyznawał w nim, że był świadkiem, jak hrabina Klementyna Niepołomicka na łożu śmierci przyznała się do zamordowania w Dworku Pod Dębami swojej bratanicy Katarzyny Jabłonowskiej, a wcześniej do otrucia jej szwagra, niejakiego Alojzego Krasickiego. Wyznała też, że z roku na rok dręczyły ją coraz większe wyrzuty sumienia i że przynajmniej dla win odkupienia objęła cichą opieką dziecko owej Katarzyny. I że kosztowności, które kiedyś ukradła jej i ukryła bratanica, oraz jej ostatni list ukryła pod posadzką w miejscu, gdzie ta dokonała żywota. No i wtedy poczułem, że w moje ręce pcha się niepowtarzalna okazja! Wspomniałem, że w czasie porządkowania archiwum znalazłem dwa listy, prawda?

Fronczak kiwnął głową.

– No właśnie! Autorem drugiego był niejaki Jan Bytczuk, niegdyś parobek w Kocierzynie, a potem żołnierz w stolicy, a adresatem jego brat, który był księdzem w naszej parafii. List pisany był w Warszawie tuż przed wybuchem powstania listopadowego. Wnosząc z tonu, w jakim pisał, i z licznych aluzji, Bytczuk był wtajemniczony w plany spisku przeciw wielkiemu księciu Konstantemu, ale uprzedzał też brata, że może nie przeżyć. Dlatego zwierzał mu się z tajemnicy, jaką udało mu się odkryć, a mianowicie, że jest ojcem dziecka Katarzyny Jabłonowskiej i że ta schowała gdzieś w Kocierzynie dokumenty, które mają zaświadczać, że ich pociecha jest jedynym legalnym spadkobiercą posiadłości, która uprzednio należała się jej, a nie ciotce. Oczywiście stało się, że wszystkie te listy dotyczą jednej sprawy.

– I postanowił ksiądz poszukać tych kosztowności? – Fronczak popatrzył na niego ironicznie. – Jak mniemam tylko w tym celu, aby je podarować muzeum?

– Oczywiście, oczywiście! – zgodził się entuzjastycznie Sobiesław. – Tylko po to! No, ale jak wiadomo, ja sam nie mogłem zająć się poszukiwaniami tego, nazwijmy to, skarbu. Dlatego wtajemniczyłem we wszystko Jarosława, a on wygadał się Maciejowi Sobierajowi. Obaj wzięli na siebie ciężar poszukiwań.

– Rozumiem. – Fronczak przez moment porządkował sobie w głowie uzyskane

wiadomości, po czym popukał palcem w listy. – A skąd pewność, że Klin został zamordowany? I że zrobiła to Joanna Złocińska?

– Widziałem to na własne oczy!

– Jak to?!

– Skoro już mówię wszystko... – Proboszcz westchnął ciężko. – Tak naprawdę nie do końca ufałem tym dwóm.

– Jarosławowi i Maciejowi? – upewnił się podkomisarz.

– Tak. Niby porządni byli z nich ludzie, ale wiadomo, jak to mówią, okazja czyni złodzieja. Poza tym z natury nie wierzę w ludzi...

„To faktycznie rewelacyjne zajęcie sobie wybrałeś”, pomyślał zgryźliwie Fronczak.

– ...dlatego postanowiłem mieć na nich oko. Tego wieczoru, jak i poprzednio, poszedłem za nimi do dworku. Widziałem, jak zaczęli demontować kolejny fragment posadzki, a potem przzerwali, bo gdzieś w pobliżu rozległ się warkot silnika samochodowego. Potem wrócili do roboty, ale przyłazła ta cholerna świnka od tej wariatki Bąk, wpadła w zaspę i zaczęła kwiczeć. Zajęli się świnką, no i potem Jarosław spadł ze schodów na widok czegoś, co wyglądało jak zjawa, ale nią nie było. Maciej podbiegł do niego, pewnie go zbadał, ale potem też się wystraszył i zaczął uciekać.

– A ksiądz?

– Zamurowało mnie. Stałem i patrzyłem. Ta zjawa zeszła na dół. Co ja plotę?! Nie zjawa, tylko kobieta. Stanęła nad Jarosławem. Jestem pewny, że chwilę wcześniej jeszcze żył, bo poruszył głową. Nie wiem, co z nim zrobiła, bo kiedy przy nim przyklęła, to go zasłoniła. Ale kiedy wstała i odeszła, leżał już nieruchomo. Jestem prawie pewny, że albo go udusiła, albo... zrobiła coś innego, co sprawiło, że przestał żyć. Ach, zabrała też ze sobą świnkę i odjechała. Słyszałem dźwięk silnika.

– I co ksiądz zrobił? Poszedł sprawdzić, czy Klin jeszcze żyje?

Sobiesław spuścił oczy i pokręcił głową.

– Poczulem się nieswojo – przyznał. – Chciałem jak najszybciej stamtąd odejść. Bałem się, że jeśli tam wejść, to zostawię jakieś ślady. Nie chciałem być kojarzony z tym wszystkim. Miałem nadzieję, że to się jakoś wyjaśni bez mojego udziału. Ale potem wszyscy dokoła zaczęli mówić, że to był tylko wypadek. Poczulem wyrzuty sumienia i postanowiłem, że coś zrobię. Dlatego napisałem te listy.

– Jest ksiądz pewny, że nic więcej się wtedy nie wydarzyło?

– Absolutnie! – Sobiesław popatrzył na niego ze zdziwieniem. – Skąd ta wątpliwość?

Fronczak nie odpowiedział.

– Czy byłby wielebny tak uprzejmy i dobrowolnie poddał się badaniu DNA? – zapytał za to.

Na twarzy Sobiesława odmalowało się zdumienie.

– Mogę oczywiście do tego księdza zmusić – zasugerował szybko podkomisarz – ale zgoda bardzo przyspieszyłaby postępowanie.

– Nie rozumiem... – mruknął Sobiesław. – Ale oczywiście nie widzę żadnego problemu.

– Znakomicie, bardzo jestem księdzu za to wdzięczny. – Fronczak skłonił głowę, po czym wyjął komórkę i przez chwilę rozmawiał z technikiem. – Za chwilę pobierzemy od księdza próbkę. To sekunda i nic nie boli, pobierzemy patyczkiem wymaz z policzka. A teraz wróćmy do tej kobiety. Rozumiem, że była to Joanna Złocińska.

– Tak.

– Jest tego ksiądz pewny?

– Miała na sobie białe futro. Wiele razy widziałem ją w nim na mszy. Nikt inny w naszym miasteczku takiego nie ma. Co prawda ze swojego miejsca nie widziałem dokładnie jej twarzy, a i wzrok już u mnie nie tak sokoli jak kiedyś, ale wystarczająco dobry, aby rozpoznać sylwetkę, uczesanie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to była ona!

– Ale jaki powód mogła mieć, żeby pozbawić życia swojego niedawnego chłopaka? – zastanowił się głośno podkomisarz. – Rozstali się jakiś czas temu, to fakt. Ale gdyby wszyscy mieli mordować swoich byłych partnerów, to na upartego prawie każdy człowiek na planecie miałby kogoś na sumieniu.

Sobiesław posłał mu spojrzenie godne ranionej sarenki.

– No tak. Oczywiście poza duchownymi – szybko poprawił się Fronczak. – Nie widzę motyw...

Jeden rzut oka na Sobiesława dał mu znać, że proboszcz coś jeszcze ukrywa.

– Tak...? – zachęcił go.

– Nie mogę tego powiedzieć – rzekł stanowczo ksiądz. – Nie pozwala mi na to tajemnica spowiedzi.

– Nawet jeśli sprawa dotyczy potencjalnego morderstwa? – zdziwił się podkomisarz, usiłując sobie naprędce przypomnieć, czy w przypadku spowiedzi obowiązują takie same reguły jak przy tajemnicy lekarskiej. Dobrze pamiętał, że przy okazji jednej z poprzednich spraw, w której kluczowe były zeznania medyka, został on zwolniony z konieczności zachowania dyskrecji.

– Nawet, mój synu – odparł smętnie duchowny. – Musisz mi więc uwierzyć na słowo, że pani Złocińska miała powód, aby nie życzyć dobrze Jarosławowi i się na nim mścić.

– I nic mi ksiądz więcej nie może podpowiedzieć? – Fronczak popatrzył na proboszcza prosząco. – Ani słowa?

– Musisz zapytać ją o to sam. – Sobiesław pokręcił głową.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, a chwilę potem do pokoju

zajrzał technik.

– Bardzo przepraszam – rzekł z lekkim zakłopotaniem. – Chciałbym zaraz wyjść, a szef ma gościa. A nawet dwóch. Tę pisarkę z Warszawy i dziennikarkę.

– Dziennikarkę? – Fronczak popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Naszą. To znaczy tę, która pracowała do niedawna w „KocichNewsach”. Manuelę Konopkę.

– No tak. – Eustachiusz nie miał zbyt uszczęśliwionej miny. – Nieszczęścia chodzą parami... Jeśli można prosić, to ksiądz uda się z funkcjonariuszem na pobranie DNA – Fronczak wskazał na swojego kolegę – a potem dokończymy naszą rozmowę. Mam jeszcze kilka pytań. Tylko, Mieciński, proszę tak poprowadzić księdza, by go panie nie zobaczyły.

– Oczywiście, szefie.

Sobiesław wstał i zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, po czym nagle odwrócił się i popatrzył na podkomisarza trudnym do zinterpretowania wzrokiem.

– Nie mogę ci zdradzić tajemnicy spowiedzi – rzekł powoli – ale mogę powiedzieć, że Kościół nigdy nie zrezygnuje z walki o to, aby jak najmniej osób w ten sposób grzeszyło. Nawet nie osób, ale kobiet. Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć...

## ROZDZIAŁ XII

### POSZUKIWANIA

– No i gdzie ją diabli noszą?! – Barbara nerwowo zerknęła na wiszący nad stołem zegar ścienny, po czym sięgnęła po telefon. – Dziewiętnasta godzina! Ileż można siedzieć na plebanii?!

– Nie chcę cię martwić, ale jak jest się twoją mamą, to i pół życia – westchnął Pepe.

– Ale co ona tam tak długo robi?!

– Pewnie wzięła się za polerowanie posadzki, sreber i złota – rzekła Róża niezbyt wyraźnie, bo z ustami pełnymi śledzia z żurawiną w przyprawach korzennych. – Biorąc pod uwagę majątek kościoła, to wróci za miesiąc!

Pepe strząsnął z siebie z lekkim obrzydzeniem żurawinę, którą Krull plunęła w niego przypadkowo w trakcie wypowiedzenia swojej opinii, po czym popatrzył na nią krytycznie.

– Mama prosiła, żebyś to zjadła, a nie udekorowała wszystkich dokoła – zauważył z przekąsem. – Poza tym akurat kościół w Kocierzynie, z tego, co słyszałem, nie kapie przesadnie bogactwem...

– Za to wielebny jeździ nową beemką – zauważyła patrząca z uznaniem na Różę Manuela.

Źródłem jej podziwu był fakt, że odkąd wrócili z Rosochatego, pisarka zdążyła już „z nerwów” opędzlować michę ryby po grecku, i to wielkości nasuwającej podejrzenia, że znajduje się w niej pokarm dla niedźwiedzia, następnie „dla przełamania smaku” wyjść połowę kobylastej brytfanny moczki, poczuć po niej „ochotę na coś słonego” i wszamać trzy pajdy chleba z masłem i pieczonym schabem krojonym w plastry grubości bez mała Encyklopedii Powszechnej, a to wszystko zakąsić „malutkim kawałeczkiem” kołocza ledwo co mieszczącym się na dużym talerzu z Basinego kompletu. Do śledzia Róża dorwała się po mniej więcej godzinie odpoczynku i właśnie robiła sobie trzecią „maciupką dokładeczkę” tegoż dania. Obserwująca ją Konopka doszła w tym czasie do wniosku, że primo, pisarka powinna codziennie z rana dziękować na klęczkach Stwórcy za doskonałe geny, bo gdyby ona sama tyle żarła, to wyglądałaby już jak waleń biskajski, a secundo, że Pepe najwyraźniej usiłuje się podstępem pozbyć Krull z tego świata. Tylko to bowiem tłumaczyło fakt, że pozwala jej konsumować większą ilość pożywienia niż ta, od której poumierali z przejedzenia bohaterowie filmu *Wielkie żarcie*.

– Najgorsze, że na plebanii nikt nie odbiera – rzekła Barbara, odkładając smartfona – a do księdza nie mam numeru.

– Możemy się przejść. – Róża ozdobiła koszulę Pepe kolejną żurawiną. – Akurat trochę zjadłam, to spacerek dobrze mi zrobi...

– Trochę! – Kwiatek lekko się zachłysnął.

– Przy okazji moglibyśmy choć na moment zajrzeć do Dżessiki – podsunęła Róża. – Poglaskałabym Dolores!

Choć jeszcze sekundę temu Pepe ugryzł się w język w chwili, kiedy sam miał zaproponować, aby udali się na poszukiwanie Cecylii, bo w sumie strasznie nie chciało mu się wychodzić z domu, to wizja spotkania z uroczą świnką sprawiła, że nagle perspektywa spaceru zaczęła wydawać mu się całkiem kusząca. Nie mówiąc już o tym, że doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli pozwoli Róży na wrzucenie w siebie całego gara śledzia, to i tak będzie zmuszony nieco później wyjść z domu i lecieć do dyżurnej apteki po Rapacholin i inne tam ulgi.

– To ja pójde z wami – zaproponowała Manuela. – I tak zasiedziałam się ponad miarę.

– A ja zostanę – rzekła Barbara, patrząc na pozostałych z wdzięcznością. – W razie, gdyby mama w tym czasie się pojawiła, dam wam znać. Niby powinniście ją spotkać po drodze, ale możliwe, że nie zastała księdza na plebanii i poszła go szukać w domu. Wtedy będzie szła od drugiej strony...

– Co za dzień... – westchnęła Róża, kiedy już znaleźli się na zewnątrz.

– Intensywny – przyznała Manuela. – Ale chyba takie lubisz, prawda? Można się nimi zainspirować.

– Fakt. – Róża kiwnęła głową. – A tak swoją drogą, zauważyliście, że nasza opowieść nie zrobiła żadnego wrażenia na podkomisarzu. Zachowywał się, jakby już od dawna wiedział o wszystkim, co odkryliśmy. Mówcie sobie, co chcecie, ale mi się to wydaje bardzo dziwne.

Faktycznie, słuchający parę godzin wcześniej ich relacji Fronczak wydawał się bardziej znudzony niż zainteresowany. Ożywił się lekko dopiero, kiedy wręczyły mu drugi list księdza Labodniuka.

– „Pod posadzką przed człowieczym okiem ukryłem, gdzie ogon bestyi przez świętego Michała pokonanej widnieje” – przeczytał ze zdziwieniem. – To znaczy gdzie?

– Nie mamy zielonego pojęcia – przyznała Róża. – W ogóle tego nie analizowałyśmy ani nie próbowałyśmy nic robić na własną rękę, tylko przyszliśmy prosto do pana.

Na twarzy Fronczaka bez trudu wyczytała zdziwienie.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał podkomisarz podejrzliwie, w duchu zaczynając się zastanawiać, co mogło aż tak odmienić osobowość pisarki. Może jakaś choroba mózgu?

– Owszem. A czemu miałabym się czuć źle?

– Bo zachowuje się pani jak na siebie dość oryginalnie...

– Co się będę narażać?! – parsknęła Róża. – Jedna osoba nie żyje, druga prawie

nie żyje. Ja już raz w tym miasteczku oberwałam i nie zamierzam przeżywać powtórki z rozrywki!

– Nie no, oczywiście. – Podkomisarz trochę się zmytygował. – Pani postawa jest godna pochwały...

– Niestety – mruknęła pod nosem Manuela, która przez całą drogę powrotną z Rosochatego Kościelnego usiłowała przekonać Krull, aby same wzięły się za wyjaśnienie dopiero co ujawnionych tajemnic, a jeśli uda im się co nieco odkryć, to najpierw poszły z tym do „Koktajlu”, a potem dopiero na policję, i o mały włos przekonałyby do tego pisarkę, gdyby nie Pepe, który zagroził, że zadzwoni do jakiegoś tam Darskiego, który „przyjedzie, znowu zrobi tu porządek i ją wreszcie zamknie za matactwa”. Róża co prawda pomamrotała pod nosem określenia typu „konfident”, „kabel” i „Brutus”, ale też z miejsca porzuciła plan bawienia się w bohaterkę kryminałów Agathy Christie Ariadnę Oliver.

– ...ale znając opinie, jakie o pani krążą, nigdy bym się jej nie spodziewał – dokończył Fronczak, w duchu ciesząc się, że za chwilę wyśle do swojego warszawskiego znajomego, komisarza Krzysztofa Darskiego, SMS-a o treści: „Spacyfikowałem Różę Krull!”.

– Za ludźmi w tym miasteczku nigdy się nie nadąży. – Głos Manueli oderwał pisarkę od wspomniania dziwacznej wizyty na komisariacie. – Ten Fronczak to jakiś dziwak. W sumie to nie ma tu prawie nikogo do końca normalnego.

„Czego sama jesteś najlepszym przykładem”, pomyślała Róża, ale głośno powiedziała:

– Zauważyliście, że przez cały dzień skupialiśmy się na kwestii dworku i w ogóle umknęło nam popełnione tam morderstwo? Jak dla mnie, to teraz ten cały księżulo jest pierwszym podejrzanym...

– O ile było to morderstwo! – wtrącił Pepe.

– Od chwili, kiedy ktoś napadł na córkę dyrektora muzeum, nie mam co do tego wątpliwości – rzekła stanowczo pisarka – i tylko zastanawiam się nad motywem...

– Możesz sprecyzować? – zapytał Pepe, nie mogąc doczekać się ciągu dalszego jej wypowiedzi.

– Bo zabójstwo tego kustosza mogło mieć związek z szukaniem przez niego, nazwijmy to, skarbem. – Róża skrzywiła się lekko. – Choć to słowo mi jakoś nie pasuje. Skarbów to się szuka w jakichś tanich książkach i filmach sensacyjnych.

– Nie rozpraszaaj się! – poprosił Pepe. – Jeśli to było morderstwo, to chyba nie ma innego motywu niż ten, który wiąże się z poszukiwaniami starych dokumentów.

– Niby tak... – Róża przez chwilę zbierała myśli – ale wtedy podejrzanych jest troje. Właściwie trzech, bo to sami faceci. Dyrektor muzeum, który awanturował się z kustoszem, że nie da się mu szantażować. Co prawda nie rozumiem czym, ale ta ich kłótnia zbiegła się w czasie z tym, jak kustosz zaczął szukać dokumentów. Z drugiej strony, trudno podejrzewać dyrektora, że nagle

postanowił się pozbyć córki i walnął ją po łbie wazonem. Niby nie miała łatwego charakteru, ale nie wierzę, że jakikolwiek normalny rodzic byłby w stanie utłuc swoje dziecko. Odpada!

– Kto jest twoim drugim podejrzanym? – Manuela popatrzyła na nią z ciekawością. – Rozumiem, że ksiądz?

– Yhm – potwierdziła Róża. – Jesteśmy prawie pewni, że zaangażował kustosza do swoich poszukiwań i mieli spółkę.

– Razem z Sobierajem... – przypomniał Pepe.

– Tak, razem z nim – zgodziła się Róża. – Może kustosz i jego przyjaciel coś znaleźli, usiłowali wyrolować wielebnego i ten się wkurzył.

– I przebrał za Białą Damę?! Bez przesady! – zaprotestował Pepe.

– Księża lubią paradować w sukienkach – odparła Róża. – To znaczy w tych, no... podomkach we wzorki. To znaczy szatach. Powłóczystych! No wiesz przecież, o co mi chodzi!

– To powłóczyste nazywa się sutanna, a we wzorki, jak raczyłaś się wyrazić, to ornat. – Pepe zmierzył ją niechętnym wzrokiem. – Naprawdę, jako literatka powinnaś znać choć podstawowe pojęcia.

– Znam! – warknęła Róża. – Tylko z powodu przedjedzenia wyłączyły mi się w mózgu ośrodki odpowiedzialne za kojarzenie.

– Chyba cały mózg ci się wyłączył – mruknął Pepe – i to z parę ładnych lat temu. Permanentnie!

– A kto jest trzecim podejrzanym? – przerwała im Manuela.

– Sobieraj! – odpowiedziała Róża. – Bo w końcu mógł rąbnąć swojego kumpla, któremu, jak wiemy, całe życie wszystkiego zazdrościł, i wymyślić opowieść o zjawie.

– Tylko kto w takim układzie podwiózł Dolores do połowy drogi? – podsunał Pepe.

– Ano właśnie! – Róża wysunęła przed siebie wskazujący palec, przybierając pozę nauczycielki tłumaczącej uczniom podstawy trygonometrii. – I tu dochodzimy do powodu drugiego. Skoro przyjmujemy za dobrą monetę opowieść Sobieraja, to oznacza, że za śmierć kustosza odpowiedzialna jest zjawia, czyli kobieta w białym futrze...

– Joanna Złocińska – podpowiedziała Manuela, pomna rozmowy, jaką tuż przed wyjściem odbyły z Patrycją Dworzak.

– Być może tak, a być może nie... Wcale nie wiemy, że tam była. Tak twierdzi tylko nadawca anonimu. Na razie nazwijmy ją po prostu kobietą. Załóżmy, że po upadku ze schodów kustosz wcale nie zginął i akurat w tej kwestii Sobieraj się myli. Może zaczął się ruszać, a ta kobieta go dobiła i w czasie tego dobijania przesunęła ciało. Pytanie, czy była to na pewno Joanna Złocińska, bo równie dobrze mogła to być narzeczona kustosza.

– Patrycja?! – Manuela się skrzywiła. – Toż przecież siedziałyby cicho, a nie



pisala do siebie jakies idiotyczne anonimy!

– Mogła się obawiać, że policja zacznie szukać owej Białej Damy i wpadnie na jej trop, dlatego podrzuciła im inną podejrzaną. Jedno tylko mi się w tym wszystkim nie zgadza i w sumie nie pasuje do niczego... Krew!

– A już myślałem, że o niej zapomniałaś! – odetchnął Pepe.

– Jaka krew? – widać było, że Manuela, która chwilę wcześniej się zamyśliła, zgubiła wątek.

– Krew, która była na kilofie i Dolores – wyjaśniła Róża. – Nijak nie pasuje do obu tych rekonstrukcji zdarzeń.

Doszli do kościoła. Przeszli przez otwartą furtkę w bramie głównej i na tym ich sukcesy się zakończyły. Wszystkie trzy wejścia do samego budynku okazały się zamknięte na głucho, podobnie jak to do plebanii. Ta ostatnia sprawiała wrażenie pustej.

– No to musimy się pofatygować do domu księdza – westchnęła Róża, rzuciwszy uprzednio okiem na swój telefon w nadziei, że może jest tam jakaś wiadomość od młodszej z pań Jodełek. – Basia nic nie napisała...

Zawrócili spod kościoła, by dojść do ulicy, przy której między innymi stały domy należące do proboszcza i Patrycji Dworzak. Nie uszli nawet stu metrów, kiedy usłyszeli radosny znajomy głos.

– A cóż to?! – Nastazja Rudzka z wyraźną zadyszka stała w bramie swojej posiadłości, którą minęli chwilę temu. – Zebrało się na wieczorny spacer? Może wstąpicie do mnie na grzańca?

– Nie możemy – rzekła ze szczerym smutkiem Róża, która uwielbiała ten trunek. – Przynajmniej na razie...

– O, coś się stało? – zdziwiła się Nastazja.

Pisarka w kilku słowach wyjaśniła jej sytuację.

– Może poszła do Frani? – podsunęła Rudzka.

– Do kogo?! – zdziwiła się Manuela, której słowo „Frania” mimowolnie skojarzyło się z pralką, w której jej mama sto lat temu o mało co nie uprała kota. Zwierzątko to uznało bowiem, że ów sprzęt, a mówiąc dokładniej znajdujące się w nim ciuchy, idealnie nadają się na legowisko i włąziło tam, kiedy tylko nadarzała się taka okazja.

– Do swojej przyjaciółki z lat młodości, a zarazem właścicielki Dworku Pod Dębami – wyjaśniła Róża. – Mieli tu przyjechać po świętach...

– Ale pośpieszyli się i przybyli już wczoraj – wyjaśniła Nastazja. – Cecylia wam o tym nie wspomniała? Frania jest w nie najlepszym stanie i dlatego przywieźli ją tak szybko, jak tylko się dało. Widziałam ją przez chwilę. Faktycznie wyglądała tak, jakby życie ją już opuszczało.

– A gdzie mieszkają? – zacięła się Róża.

– W domku, który wynajmuję. Tu zaraz po drodze do wielebnego. Możemy

sprawdzić, czy aby się tam nie zasiedziała. Wiadomo, jak to jest. Kiedy się zacznie wspominać stare dzieje, to czas leci tak, że nawet się tego nie zauważa. Narzucę coś na siebie i was zaprowadzę.

Cofnęła się od furtki, weszła do domu, a po chwili wróciła zakutana w gruby płaszcz. Dom wynajmowany przez Niepołomickich faktycznie znajdował się tuż za zakrętem, ledwie kilkaset metrów dalej. Choć stał w oddaleniu od ulicy, to w przeciwieństwie do innych nie był ogrodzony żadnym parkanem. Wchodziło się do niego po przejściu kilkudziesięciu metrów chodnika, biegnącego pośrodku trawnika, teraz przykrytego grubą warstwą śniegu. Dopiero przed samym domem rosły dwa drzewka i kilkanaście wysokich krzewów. Nastazja wysunęła się na przód grupy i nacisnęła dzwonek. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, powtórzyła tę czynność. Wtedy dopiero ze środka domu zaczęły dochodzić jakieś odgłosy, a po chwili rozległ się dźwięk przekręcanego zamka i drzwi zaczęły się otwierać.

– Dobry wieczór! – rzekła radośnie Nastazja.

– Dobry... – Na widok gromadki stojącej przed drzwiami Roland zrobił zdziwioną minę. – Czy coś się stało?

– Mam nadzieję, że nie – odparła Nastazja. – Szukamy mojej przyjaciółki Cecylii. Poznaliście się wczoraj. Nie wróciła od kilku godzin i nie dała znaku życia. Wiem, że chciała się zobaczyć z pana cicią i pomyślałam, że może się zagadały. Jest u was?

Niepołomicki pokręcił głową.

– Nie – odrzekł. – Wstąpiła na moment, owszem, i chciała porozmawiać z cicią, ale niestety musieliśmy jej odmówić. Ciocia miała nie najlepszą noc, od rana bardzo źle się czuła i nie chcieliśmy jej budzić. Pani Cecylia to uszanowała i powiedziała, że przyjdzie kiedy indziej.

– O której to było? – zapytała Róża, trochę zdziwiona, że stojąca za nią Manuela sprawia takie wrażenie, jakby chciała się schować za jej plecami.

– Koło piętnastej – odpowiedział Roland. – Może trochę później...

– No cóż... – Nastazja popatrzyła bezradnie na swoich towarzyszy. – To chyba wszystko.

– O ile dobrze pamiętam – rzekł Roland – to mówiła, że ma się spotkać z księdzem. Może jest u niego?

– Tak, tak – potaknęła Róża. – Właśnie idziemy to sprawdzić.

– W takim razie życzę powodzenia – Roland się do niej uśmiechnął – i wybaczone mi, proszę, że nie zapraszam do środka, ale mamy tam jeszcze trochę bałaganu. Przywieźliśmy tyle kłopotów, że aż strach. Jakbyśmy mieli tu zostać co najmniej na rok!

– A na ile zostajecie państwo? – zapytała Krull.

– Góra dwa-trzy tygodnie – odpowiedział Niepołomicki – i na pewno zdążymy jeszcze spotkać się na kawie.

– Czuję się zaproszona. – Róża odwzajemniła uśmiech. – A teraz w takim razie dobrej nocy.

– Dobrej. – Roland pokłonił się i zamknął drzwi.

Pisarka odwróciła się i zmarszczyła brwi, widząc, jak Manuela bez mała biegiem pokonuje dystans do ulicy, a potem znika jej za rogiem z pola widzenia.

– A tę co opętało? – westchnęła, patrząc pytająco na Pepe.

– Nie wiem. – Kwiatek wzruszył ramionami. – Już się przyzwyczaiłem, że przy tobie wszyscy taśmowo głupieją.

Kiedy doszli do Manueli, ta sprawdzała coś w swoim smartfonie.

– Co się stało?

Konopka oderwała wzrok od telefonu.

– Nic, absolutnie nic – zapewniła stanowczo.

– No to czemu nagle zaczęłaś uprawiać jakieś biegi maratońskie? – Róża nie kryła irytacji.

– Przypomniało mi się, że obiecałam coś wysłać mojemu naczelnemu i że obedrze mnie ze skóry, jeśli tego dzisiaj nie dostanie. Jakoś nie wypadało mi tego robić w czasie, jak rozmawialiście z tym panem...

Róża i Pepe z miejsca nabrali pewności, że dziennikarka łże jak z nut.

„Jak nie jedna, to druga”, pomyślał z rozgoryczeniem Kwiatek. Po chwili jednak poczuł ulgę, uświadamiając sobie, że tej szachrajki przynajmniej nie musi pilnować. Niech sobie radzi sama.

Kiedy kilka minut później dowiedzieli się od wyraźnie nieswojego i zdenerwowanego księdza Mądrzyckiego, że w ogóle nie widział dzisiaj Cecylii na oczy, co mogło być spowodowane faktem, że przez całe popołudnie i wieczór nie było go w domu, ich zaniepokojenie przerodziło się w lekką panikę. Po równie krótkiej, co burzliwej naradzie, w której telefonicznie wzięła udział też młodsza z pań Jodełek, postanowili, że jeśli Cecylia nie wróci do domu do północy, zawiadomią o tym podkomisarza. Co prawda Nastazja i Barbara, do której zadzwonili z raportem z wyników poszukiwań, były zdania, że należałoby to uczynić od razu, a nie zrywać potem Fronczaka z łóżka, zwyciężyła jednak opinia Manueli, która stwierdziła, że skoro Cecylia nastawiona była na wizytę, a nie zastała w domu księdza ani też nie udało jej się porozmawiać z Niepołomicką, to pewnie poszła do kogoś innego i świetnie się teraz bawi. W końcu dziewiętnasta trzydzieści to jeszcze nie zbyt późna pora, a już zdecydowanie nie taka, żeby należało od razu robić wielkie larum. Fakt zaś, że Cecylia nie odbiera telefonu, wytłumaczyła Róża, mówiąc, że jej gosposia wycisza komórkę zawsze, kiedy chce się pomodlić, co sprawia, że aparat ten praktycznie non stop jest niemy. Działa zaś normalnie jedynie wtedy, kiedy Cecylia czeka na czyjś telefon, czyli generalnie od wielkiego dzwonu.

– Najzabawniejsze będzie – rzekła Krull, kiedy już odprowadzili Nastazję i solennie jej obiecali, że dadzą znać natychmiast, gdy przyjaciółka objawi się

w swoim domu albo gdziekolwiek indziej – jeśli zastaniemy Cecylię u Dżessiki.

Wbrew jej nadziei u Bąk też nie było po jej gosposi ani śladu. Dżessika przyjęła ich doskonałym ponczem własnej roboty, dla równowagi kupnym ciastem oraz długą opowieścią o swoim udziale w konkursie Miss Kocierzyna 2009, która to impreza wedle jej słów była o wiele ważniejsza niż mundial, finał Eurowizji i festiwal Woodstock razem wzięte, a wygrana w nim istotniejsza niż wyniki wyborów prezydenckich w Stanach i konklawe w Watykanie.

– A co pani sądzi o wypadku w dworku? – zapytała Róża, próbując w popłochu uniknąć zaproponowanego jej przez Bąk opasania szarfą, żeby „też choć przez moment poczuła się jak miss”. Powodem niepewności Krull był fakt, że owa szarfa wyglądała na dość krótką i pisarka miała obawy, że może się w nią nie zdołać opiąć albo co gorsza wyglądać jak krowa spętana lassem.

– O tym, co się wydarzyło w dworku i muzeum? – Bąk przewróciła oczami. – Cieszę się, że znów coś się w tym cholernym, smętnym miasteczku dzieje! Przecież do tej pory można tu było umrzeć z nudów.

Trudno było o odpowiedź, która bardziej zatkałaby jej gości. Widać było, że nikt z nich nie ma bladego pojęcia, jak zareagować na słowa Dżessiki. Róża pomyślała jedynie, że Bąk musi być stuknięta o wiele bardziej, niż jej się wydawało. Pepe zaś wyobraził sobie, jak ich gospodyni rzuca się złapanemu już mordercy na szyję i wręcza mu bukiet kwiatów w podzięcie za rozproszenie małomiasteczkowej nudy.

– Dawno już powinnam była się stąd wyprowadzić – kontynuowała gospodyni, nieświadoma uczuć, jakie wywołała w swoich towarzyszach – na przykład do Warszawy. Tam to jest życie! Przyjęcia, uroczyste premiery, wernisaże. Nie to co u nas. Największym wydarzeniem tego roku było spotkanie z jakimś pisarzem. Nazwisko mi nic nie mówiło. Twarz też nie. Taki puszysty misiaczek w kamizelce. A, i jeszcze występ mandolinistów! Zgroza! Nawet na koncert Zenka musiałam jechać do Siemiatycz. A na Beatkę do Białegostoku. Nikt naprawdę sławny do tej dziury nie przyjeżdża. No ale z drugiej strony, mam tu święty spokój, no i jestem gwiazdą. W stolicy pewnie musiałabym się na to napracować, a na razie mi się nie chce...

– A wierzy pani w tę zjawę? – rzekła Róża, nieco urażona, że nie została zaliczona do grona gwiazd, które zaszczyliły w tym roku swoją wizytą Kocierzyn. W swoim mniemaniu była bowiem o wiele sławniejsza od tego tam Zenka, czy nawet od Beaty, o mandolinistach i misiaczku już nawet nie wspominając. – Tę, która straszy w dworku?

– E tam. – Dżessika machnęła lekceważąco ręką. – Bujdy dla naiwnych dzieci i zabobonnych bab! Dolcia kocha tamto miejsce i wiecznie tam łązi. Gdy mi tylko niknie na dłużej z oczu, to przede wszystkim tam lecę jej szukać. Byłam w dworku wiele razy, rankami, wieczorami, i nigdy niczego nadprzyrodzonego tam nie spotkałam ani nie zobaczyłam.

– Dziwne, że w Wigilię jej pani nie szukała. – Róża pogłaskała leżącą obok niej

na kanapie Dolores, która otworzyła oczy, łypnęła na nią, po czym przewróciła się na plecy, wystawiając łaskawie brzusek do pomiziania.

– Miałam gości i nawet nie zauważyłam, że jej nie ma. Poza tym jestem o nią spokojna. To bardzo mądre zwierzę. Wie, komu ufać, a przed kim mieć się na baczności. Od złego człowieka ucieka na kilometry. Dlatego wiem, że na przykład wy jesteście dobrymi ludźmi, choć w przypadku niektórych – popatrzyła ironicznie na Manuelę – to dość zaskakujące.

– Ma pani jakąś teorię na temat tego, kto jest odpowiedzialny za śmierć kustosza i wypadek córki dyrektora? – zapytała Róża. – A przede wszystkim tego, kto zaopiekował się tego wieczoru pani świn ką?

Gdyby miała mniej skupioną uwagę, Krull z pewnością nie zauważyłaby, że przez ułamek sekundy na twarzy Dżessiki pojawiło się wahanie. Na nieszczęście dla byłej miss Kocierzyna w tym momencie Róża miała zmysły wyostrome niczym pantera czająca się na swoją ofiarę.

– Nie mam – zaprzeczyła Bąk.

– Nie mówi pani prawdy! – krzyknęła triumfalnie Róża. – Jestem pewna, że coś pani podejrzewa!

Kocierzyńska gwiazda zmierzyła ją taksującym wzrokiem, po czym wybuchła śmiechem.

– Powinna się pani zatrudnić w policji – poradziła pisarce. – Choć nie wiem, czy mają tam mundury w pani rozmiarze. Więc dobrze... Czegoś tam się domyślam, ale nie chciałabym, żeby cierpieli przeze mnie niewinni ludzie i dlatego trzymam język za zębami.

– Jak to? – Krull zrobiła wielkie oczy. – Domyśla się pani i nie idzie z tym na policję? Przecież jedna osoba już straciła życie, druga o nie walczy! Pani domysły mogą zapobiec kolejnej zbrodni.

– Nie wydaje mi się, żeby wydarzyła się kolejna zbrodnia – rzekła Dżessika, odzyskując nagle powagę – i moim zdaniem najlepiej zostawić to wszystko w takim stanie, jak jest teraz.

– Słucham?! – oburzyła się pisarka. – Morderca ma zostać na wolności?!

Dżessika wzruszyła ramionami.

– Czasem tak jest lepiej... – rzekła cicho.

\*\*\*

Joanna Złocińska odśluchała ponownie wiadomość, jaką nagrał jej na pocztę głosową podkomisarz Fronczak. „W związku ze śledztwem w sprawie śmierci Jarosława Klina bardzo proszę, aby przyszła pani jak najszybciej do komisariatu. Będę tam jutro od godziny dziewiątej rano”.

Więc stało się...! Przyjdzie jej odpowiedzieć za to, co zrobiła. To nic, że nienaumyślnie. To nic, że wmanewrowana przez inną osobę. Niezależnie od

wszystkiego to ona była winna śmierci człowieka, z którym przyjaźniła się przez wiele lat, którego kochała i który wyrządził jej największą krzywdę w życiu.

Pamiętała ten dzień minuta po minucie. Tak, jakby było to wczoraj. Choć minęło już kilkanaście miesięcy. Jej pełne nadziei spojrzenie, przyspieszone bicie serca, drzenie głosu, kiedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. I że to on jest ojcem. Nie dostrzegła w jego oczach tego, czego oczekiwała. Nie musiał nic mówić. Wiedziała... Jego słowa, że to niedobry czas, że łączy ich tylko przyjaźń, że tych kilka szalonych nocy nie powinno nigdy mieć miejsca, że nie chciałby nic zmieniać w swoim i jej życiu... Słuchała tego bez żadnej reakcji. Oczywiście mogła podjąć inną decyzję, ale uległa jego namowom. Na zabieg, umówili się nielegalnie w Białymstoku. Nawet nie było trudno, bo podziemie aborcyjne dzięki ostatnim decyzjom władz, przeżywało prawdziwy renesans. Tyle że ceny podskoczyły. Ale on skombinował pieniądze. To miał być prosty zabieg. Nie był. „Kto pani to zrobił? Rzeźnik?!”, zapytał kilka dni później jej znajomy i na szczęście zaufany ginekolog. Wtedy oszczędził jej tej informacji, ale kiedy odwiedziła go po dwóch dniach, popatrzył na nią ze współczuciem i wypowiedział te cholerne słowa. „Przykro mi, ale nie będzie pani mogła już nigdy urodzić”.

Czy to wtedy znienawidziła Jarka? A może w chwili, kiedy zobaczyła go, jak całuje się ze swoją nową dziewczyną? To zabawne. Była pewna, że wróci do Elwiry. To po rozstaniu z nią zapijał stres. I to wtedy po raz pierwszy wylądowali w łóżku. W chwili, kiedy przyjaźń zaczyna mieszać się z seksem, rodzi się katastrofa. Ta ich godna była co najmniej *Titanica*.

A teraz...

Jak ma wytłumaczyć, że to wszystko jest cholernym zbiegiem okoliczności? Tym bardziej że sama nie pamiętała, jak to się właściwie stało. W Wigilię rano poszła jeszcze na sesję psychoterapii. Ostatnią w tym roku. Wróciła do domu i zaczęła się pakować. Potem przyszła do niej jakaś młoda kobieta. Czego ona chciała? Średnio to pamiętała. Jakaś zbiórka na schronisko dla zwierząt? A może pomoc bezdomnym? Dała jej dwadzieścia złotych, a w zamian dostała soczek w takim zabawnym opakowaniu z serduszkami. „Niech pani spróbuje. Jest pyszny!”, zachęciła ją kobieta. Wypiła. Był nawet dobry. Malinowy. Wróciła do pakowania. Co prawda ten dzień miała spędzić u przyjaciół w Siemiatyczach, ale następnego wybierała się do rodziców, pod Lublin. Pamiętała, że włożyła wszystko do walizki, zamknęła ją i... w tym momencie straciła kontakt ze światem. Kiedy się obudziła, leżała w jakichś ciemnościach. Miała na sobie wszystkie rzeczy, w jakie była poprzednio ubrana, a dodatkowo buty i ukochane białe futro, na głowie coś w rodzaju welonu. Przez dłuższą chwilę nie rozumiała, co się dzieje. Jej oczy przyzwyczajały się do ciemności. Wstała, rozejrzała się dokoła i podeszła do jednego z ogromnych okien. Po chwili wpatrywania się w krajobraz, jaki się z niego roztaczał, dotarło do niej, że znajduje się w Dworku Pod Dębami. Nie lubiła tego miejsca. Zawsze budziło w niej niezrozumiały, irracjonalny strach. Przez chwilę patrzyła jeszcze przez okno, po czym do jej uszu dobiegły jakieś odgłosy. Przez moment stała jak skamieniała, ale potem

rozpoznała głos Jarka. „Lecę na górę! Może tam coś znajdzie!”, te słowa już rozpoznała. Wstała i lekko się ślaniając, podążyła w kierunku, z którego dobiegały odgłosy. Kiedy wyszła z pokoju i stanęła w holu, powiał wiatr, sprawiając, że welon zasłonił jej twarz. Chciała go odgarnąć, ale w tym momencie usłyszała przeraźliwy krzyk. Jednym gwałtownym szarpnięciem uwolniła się z przezroczystej płachty, aby zobaczyć, jak mężczyzna spada po ogromnych schodach, a potem upada na posadzkę na parterze, gdzie ktoś do niego podbiega. Poczowała, że robi jej się słabo, a potem... Znów nie pamiętała, co się stało. Musiała zemdleć. Tym razem na krótko. Gdy się ocknęła, zeszła na dół. Jarek leżał bez ruchu na posadzce. Ten drugi ktoś, kto do niego wcześniej podbiegł, już zniknął. Przykłękała, aby zbadać, czy Jarek żyje, ale nie wyczuła pulsu. Nagle usłyszała za sobą kroki. Przeraziła się, ale nie na tyle, aby się nie odwrócić. Odetchnęła... Po posadzce w jej stronę powoli stąpała Dolores. Podbiegła do niej, chwyciła świnikę i wybiegła z dworku, a potem z terenu posiadłości. Ku swojemu osłupieniu zobaczyła, że na drodze, zaraz za ogrodzeniem, stoi jej samochód. Wsiadła do niego. Kluczyki znajdowały się w stacyjce. Przekręciła je i ruszyła. W połowie drogi wypuściła Dolores, pewna, że z tego miejsca trafi już spokojnie do domu. Jak zawsze. Sama chciała znaleźć się jak najszybciej w swoim mieszkaniu i przemyśleć, co się wydarzyło.

Nie rozumiała nic. Ani wtedy, ani teraz.

Wiedziała tylko jedno.

Nikt nie uwierzy w tę historię.

Nawet Dżessika, kiedy jej to opowiadała, miała w oczach niedowierzenie. „Oczywiście, kochanie, ufam, że tak było”, rzekła, ale Joanna czuła, że nie było to szczere. Czy to ona zadenuncjowała ją policji? A może ten ktoś, kto to wszystko ukartował? W sumie nie było to takie ważne. Istotne, że skoro Fronczak już wie, to ona nie ma wyjścia.

Strach.

Tylko to teraz czuła.

Sięgnęła po kartkę i długopis. Zaczęła pisać. Po kilkunastu minutach złożyła kartkę na pół i położyła na środku stołu. Potem wstała, rozejrzała się smutnym wzrokiem po pokoju, ujęła walizkę, w którą kilkanaście minut temu zapakowała kilka rzeczy, i wyszła na zewnątrz.

„Powinnam była to zrobić już dawno temu”, pomyślała kilka minut później, siedząc za kierownicą swojego samochodu i ostatni raz rzucając okiem w lusterko, w którym widoczny był, z sekundy na sekundę coraz bardziej oddalony i mniejszy, jej dom.

Nie zamierzała do niego wracać już nigdy więcej.

\*\*\*

– Zabijcie mnie, a nic z tego nie rozumiem! – piekliła się Róża, gdy wygłaskawszy

już do woli rozanieloną Dolores, wracali do domu Barbary. – Dżessika wie, kto jest mordercą, i nie zamierza go ujawniać, bo uważa, że dobrze zrobił?! Czy ja to właściwie zrozumiałam?! Czy ta kobieta jest pierdolnięta?!

– Owszem, jest – potwierdziła Manuela – od zawsze! I przypominam ci, że też ma na koncie kilka grzechów. Jak samemu popełniasz przestępstwa, to łaskawiej traktujesz też i te cudze.

– Gwoli ścisłości, ona nie powiedziała, że wie, kto jest mordercą – zauważył Pepe. – Według mnie jedynie to podejrzewa i uważa, że jeśli się nie myli, to lepiej, żeby ten ktoś uniknął kary. Poza tym nie wiem, czy zwróciliście uwagę na jedną bardzo istotną kwestię...

– Jaką? – zacięła się Krull.

– Dolores – odpowiedział Pepe. – Według Dżessiki ona uciekała przed złymi ludźmi. Moim zdaniem raczej przed tymi, których nie zna. To naturalne. Z tego wynika, że z dworku wywiózł ją ktoś, z kim była oswojona, bo innemu by nawiała. A to oznacza, że ten ktoś, załóżmy, że morderca, jest w gronie znajomych Dżessiki. Z kim ona się tu przyjaźni?

– Niech pomyślę... – Manuela, do której skierowane było to pytanie, zamyśliła się na chwilę. – Na pewno bywa u Basi, ale ona jest poza podejrzeniami. Lubi się też z Nastazją. No i z Dorotą Domagalik, mamą Bartka, z którym podobno flirtowałaś nieprzyzwoicie pod kościołem w czasie pasterki.

– Że co robiłam?! – zdziwiła się Róża.

– Flirtowałaś...

– Kto niby tak twierdzi?!

– Doszły mnie takie słuchy – Manuela się uśmiechnęła – to stąd, to stamtąd...

– Przecież to jakieś idiotyzmy! – Krull wyglądała na solidnie wkurzoną. – Już nawet nie można z kimś zamienić kilku zdań, żeby jęzory nie zaczęły latać jak łopaty!

– Mówiłam ci. – Konopka wzruszyła ramionami. – Specyfika małego miasteczka! Nic się nie ukryje!

– Poza mordercą... – prychnęła gniewnie Róża.

– Zresztą od razu powiedziałam temu, kto mi to doniósł, że nie może być mowy o żadnym flircie – zapewniła gorliwie Manuela. – Przecież mogłabyś być matką tego chłopca! A nie wyglądasz na kogoś, kogo interesują takie szczeniaki.

– Zdziwiłabyś się... – mruknął Pepe.

Róża zgromiła go gniewnym spojrzeniem.

– To wszystkie przyjaciółki Dżessiki? – Kwiatek czym prędzej wrócił do poprzedniego tematu.

– Nie – przyznała Manuela z wyraźną niechęcią. – Jest jeszcze Joanna.

– Ta od futra?! – upewniła się Róża. – No, to jesteśmy w domu!

– I to dosłownie – rzekł Pepe.



Faktyczne, w tym momencie doszli do domu Barbary, która wypatrzywszy ich z okna, wybiegła im na powitanie.

– Mama jest u przyjaciółki! – oznajmiła radośnie. – Właśnie miałam do was dzwonić! Dostałam od niej SMS-a! Spotkała Jadzię z Kłopotów-Bujnych, która akurat przejeżdżała autem przez Kocierzyn, i się z nią zabrała. Zanojuje u niej, bo już sobie popiły po kielichu i Jadzia nie może usiąść za kółkiem. Jutro po południu ją odwiezie.

– Przynajmniej jeden problem z głowy – odetchnęła Róża, czując, jak z serca spada jej już nawet nie kamień, ale cały głaz, a przy okazji dumając, czy nie umieścić akcji kolejnej powieści w Kłopotach-Bujnych, bo nazwa ta jej zdaniem wyjątkowo nadawała się do kryminałów.

– No i po co była ta cała panika? – westchnął Pepe. – Jeszcze chcieliście zwracać głowę podkomisarzowi!

– W miasteczku, w którym co pięć minut ktoś kogoś morduje, lepiej dmuchać na zimne – pouczyła go Róża.

– To ja pójdę podmuchać na żurek, bo z tego wszystkiego zgłodniałem – rzekł stanowczo Pepe. – Wrzucić ci do niego kielbasę?

– Dwie – poprosiła Róża, po czym wyłapując dwuznaczny uśmiezek Manueli, szybko dodała: – Bo przecież one są takie cieniutkie...

– Wrzucę ci od razu trzy, żebyś mi potem nie patrzyła w talerz z miną głodnego kotka. – Pepe spojrział na Manuellę. – Zostanie pani na kolację?

Dziennikarka zaprzeczyła.

– Pora pomieszkać – odpowiedziała.

– No to idę się odstresować przy kuchni. – Pepe skinął jej głową na pożegnanie. – Może przy okazji zrobię sernik...? Albo niebo...

Wolnym krokiem odszedł w stronę domu.

– Niebo? – powtórzyła zdumiona Manuela.

– Ciasto z jabłkami i kremem orzechowym – wyjaśniła Róża, czując, że na samo wspomnienie Pawłowego przysmaku zaczyna ją ssać w żołądku. – Faktycznie niebo w gębie! Ale, ale... Czy ja dobrze wyczułam, że chcesz mi coś powiedzieć na osobności?

Konopka kiwnęła głową.

– Czekam tylko na jedną wiadomość – rzekła tajemniczo. – Powinna dojść lada moment. Mój kolega z redakcji właśnie coś dla mnie sprawdza.

Róża przeanalizowała przebieg wieczoru.

– Roland? – upewniła się. – Coś z nim nie tak? Widziałam, że zachowywałaś się przy nim jakoś dziwnie.

– Wydaje mi się... – Manuela zerknęła na swój smartfon. – Jeszcze nic nie przyszło.

– Co ci się wydaje?! – zniecierpliwiła się Róża.

– Zanim trafiłam do „KocichNewsów”, przez kilka miesięcy pracowałam w portalu w Białymstoku w dziale miejskim. Zajmowałam się pisaniem o takich pierdołach jak remonty ulic, wypadki drogowe czy podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej. Ale była tam też kronika policyjna. Pewnego dnia dostałam polecenie napisania do niej artykułu o rabunkach metodą „na wnuczka”. Wiesz, o co chodzi?

Krull pokiwała głową, bo też i sposób wyłudzenia pieniędzy od starszych osób za pomocą podszywania się pod ich krewnych lub ich przyjaciół wykorzystana nawet jako kanwę jednej ze swoich powieści.

– Rozmawiałam wtedy z jednym ze złapanych na gorącym uczynku – Manuela wzięła głębszy oddech – i nie mogę się pozbyć wrażenia, że to był ten sam człowiek, który mieszka w domku Nastazji!

– Żartujesz?! – Róża zrozumiała wreszcie, dlaczego Manuela robiła wszystko, aby ukryć się przed Rolandem. Jeśli miała rację, to istniało niebezpieczeństwo, że i on ją rozpozna.

– Jest oczywiście starszy, ale jestem prawie pewna, że to ten sam facet.

– I poprosiłaś swojego kolegę, żeby go sprawdził.

– Nie. – Manuela pokręciła głową. – Poprosiłam, żeby sprawdził, czy jest jakieś zdjęcie Rolanda Niepołomiczkiego. Bo sama nie znalazłam ani jednego.

– A ci Niepołomiccy nie są tu aby znani?! – zdziwiła się Krull. – Przecież, z tego, co wiem, pokazywali się w Kocierzynie od czasu do czasu.

– Lata pańskie ich tu nie było! A gdy przyjeżdżali, to na dzień, dwa i z nikim się nie integrowali. Tak naprawdę nikt ich nie znał. Ten cały Roland, z którym teraz rozmawialiśmy, niby jest podobny do tego, którego widziałam tak z pięć lat temu, ale w sumie każdy szczupły blondyn z kręconymi loczkami byłby w stanie się pod niego podszyć!

– Ale po co ktokolwiek miałby się pod niego podszywać?

– Tego nie wiem, ale myślę, że warto mieć go na oku. Tak na wszelki wypadek.

Róża przez chwilę trawiła uzyskane wiadomości.

– W sumie możemy go poobserwować – zgodziła się łaskawie. – Jeśli masz rację, to być może ten człowiek ma coś wspólnego z morderstwem. Trzeba to przemyśleć...

W tym momencie w smartfonie Konopki rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Dziennikarka czym prędzej przejechała palcem po ekraniku, po czym wydała z siebie okrzyk triumfu. Róża spojrzała na wyświetlone w telefonie zdjęcie pokazujące sympatyczną, męską twarz i poczuła na plecach dreszcz emocji.

Mężczyzna na ekranie nie był tym, z którym rozmawiała nieco wcześniej tego wieczoru.

Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

## ROZDZIAŁ XIII

### RUMAK BOJOWY

– Lepszego miejsca nie umiałaś już wykombinować, prawda? – Róża popatrzyła na Manuelę z nieskrywaną złością i odgarnęła z twarzy jakieś źdźbła, które przed chwilą spadły jej na głowę. – Nie dość, że prawie nic nie widać, to jeszcze za moment dostanę alergii, a poza tym śmierdzi tu jak w publicznym wucecie na Białorusi! I w ogóle do dupy ten pomysł! Ile my tu mamy siedzieć? Cały dzień?!

– Dlaczego na Białorusi? – zdumiała się Konopka.

– Bo tylko tam byłam zmuszona z takiego cudnego przybytku skorzystać – wyjaśniła Róża, wzdrygając się na wspomnienie chwili, gdy w Mińsku gnana niepoohamowaną potrzebą natury fizjologicznej otworzyła drzwi z tabliczką „Toaleta”, po czym z miejsca została otoczona bukietem woni mogących powalić nawet i zakatarzonego bawoła, a następnie ku swojemu przerażeniu zobaczyła rząd kobiet stojących w pozycji „na Małysza” nad dziurami w podłodze w ogromnym pomieszczeniu bez żadnych, nawet symbolicznych, przepierzeń. – Rzadkie przeżycie, możesz mi wierzyć! To co? Ile mamy tu siedzieć?

– Nie wiem – przyznała szczerze Manuela. – Dopóki nie wyjdą.

– Naprawdę nie było lepszego sposobu...?!

Od godziny siedziały na antresoli w lichawym i mocno zrujnowanym budynku będącym połączeniem stodoły, kurnika i obory. Znajoma mamy Manueli trzymała tu dwie nieco melancholijne krowy, trzy dla kontrastu ruchliwe świny i niezliczoną ilość kur. Teoretycznie powinna była jakiś czas temu ów leciwy obiekt wyremontować, ale ponieważ od piętnastu lat uważała, że „długo już nie pożyje”, to jej się nie opłacało. I choć faktycznie piętro tej ruiny było idealnym punktem do obserwacji domku wynajętego przez Niepołomickich, to z minuty na minutę Róża była coraz bardziej wkurzona warunkami, w jakich przyszło jej wcielać się w starszą wersję Enoli Holmes. Powodów było kilka. Po pierwsze, z niezbyt szczelnego dachu wiejący tego dnia z wyjątkową siłą wiatr co rusz zrzucał im na głowę a to słomę, a to jakieś badyle, a to inne dziwaczne elementy, którymi łatany był ów fragment rudery. Po drugie, od siana, w którym się wraz z Manuelą umościły, w mig dostała jakichś czerwonych, swędzących plam na ciele. I wreszcie po trzecie, a przy okazji najgorsze, stała się obiektem zainteresowania drobiu. Według jej wiedzy kury podobno były nietolami, ale te ewidentnie miały wobec niej nieczne zamiary, bo jakimś cudem wlażyły za nią na antresolę, bardzo źle patrzyły im z oczu i sprawiały takie wrażenie, jakby usilnie kombinowały, jak ją dziobnąć. Ponieważ zaś jej przyjaciółka po takim dziabnięciu dostała pasterelozę i przez miesiąc prezentowała się jak ludzie w kolonii dla

trędotowych, Róża czuła się wyjątkowo niepewnie. Dodatkowo wnerwiała ją bezczynność, w jakiej tkwiły według niej już stanowczo za długo.

– Ktoś do nich idzie – zaraportowała Manuela. – Jakiś facio z teczką.

Krull oderwała wzrok od wpatrzonej w nią hipnotycznie szarawej kury w jakies dziwaczne prążki, upodabniające ją trochę do kota z rasy savannah, i zerknęła na sąsiedni domek. Przed jego drzwiami wejściowymi stał wysoki, szczupły człowiek w czarnym płaszczu i z teczką w ręku.

– Znasz go? – zapytała.

Manuela wytężyła wzrok.

– Tak. To nasz miejscowy notariusz.

– Na cholerę im notariusz?!

– Skąd ja mogę wiedzieć?! Nie siedzę w głowie jakichś bandziorów...

Chwilę później z przeciwnej strony nadszedł, a następnie zniknął w głębi obserwowanego domu Sebastian Janiszewski, zaopatrzonej w małą walizkę.

– Nie wiem, co robić – rzekła niepewnie Róża. – Liczyliśmy na to, że to oni gdzieś pojedą, a tymczasem pół miasta wali do ich chałupy i tak nic nie wytropimy.

– Trzeba jakoś dyskretnie dorwać i wypytać Sebastiana. Znam go od wielu lat i nie wierzę, żeby był przestępcą.

Róża poczuła wibrujący w kieszeni, wyciszony wcześniej telefon. Wyjęła go i z westchnieniem odebrała połączenie.

– Nigdzie się nie włączę! – rzekła po kilku sekundach słuchania. – Poszłam sobie na spacer. Popodziwiać widoki! Weź się i zdecyduj. Wiecznie mi kłapiasz za uszami, że jestem nieruchawa jak pomnik Kopernika w Toruniu, a teraz nagle masz pretensje, że się ruszyłam... Nie, niczego nie kombinuję. I nie, nie mogłam poczekać, aż się obudzisz, bo teraz szybko robi się ciemno. Co? A, że to cię nie śmieszy... Oj, daj już spokój! Przejdę się trochę i zaraz wrócę. Góra godzinka... Pa! – Schowała smartfona i popatrzyła z przekąsem na Konopkę. – Jestem pewna, że mi nie uwierzył i że zaraz wyleci mnie szukać. To w sumie miłe, że sam się mianował moim aniołem stróżem, ale czasem trochę mi to komplikuje życie...

– Miejmy nadzieję, że zanim nas znajdzie, zdążymy się czegoś dowiedzieć...

Przez blisko pół godziny, w czasie której Róża czuła, że od alergii zaczyna już ją swędzieć nawet wątroba, jako taka trudna do podrapania, tudzież ku swojemu przerażeniu odnotowała, że do wpatrującej się w nią kury dołączyły trzy kolejne i całe to ministadko prezentuje się niczym fani Celine Dion czekający w napięciu, czy ich idolka bezbłędnie wyciągnie wysoką nutę w zaśpiewie piosenki All By Myself, nie zdarzyło się nic. Krull już miała zaproponować, aby poszły tam z jakąś wymyśloną naprędce sprawą i spróbowały sprawdzić, co się dzieje, kiedy drzwi obserwowanego domku otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna z teczką. Po chwili budynek opuścił też dyrektor muzeum.

– Zostań tu – rozkazała Manuela – a ja złapię Sebastiana!

Poderwała się z siana, po czym z taką sprawnością, jakby od urodzenia ćwiczyła gimnastykę artystyczną, zeszła po drabinie łączącej antresolę z parterem. Po chwili Róża zobaczyła, jak dziennikarka przemierza kłusem podwórze, wybiega na ulicę, dopada do idącego wolno Janiszewskiego i zaczyna coś do niego mówić. Ich konwersacja szybko zaczęła sprawiać wrażenie gwałtownej. Widać było, że dyrektor czymś się zdenerwował i chce wracać do miejsca, które chwilę wcześniej opuścił, a Manuela stara się go przed tym z całych sił powstrzymać. Kątem oka Krull odnotowała także nadchodzącego do strony domu Barbary wolnym krokiem Pepe. Kiedy wróciła wzrokiem do Sebastiana i Manueli, aż krzyknęła z przerażenia. W rękach Janiszewskiego zauważyła bowiem doskonale jej znany i opisywany przez nią w prawie każdej jej książce niewielki przedmiot. Pistolet! Czując, że robi jej się słabo w tak zwanym dołku, Róża ze zgrozą obserwowała, jak Janiszewski wrywa się z rąk usiłującej go trzymać za klapy płaszcz Konopki, odpycha ją mocno, po czym szybkim krokiem wraca do domku Nastazji i naciska dzwonek. Drzwi otwierają się i staje w nich fałszywy Roland. Na widok przedmiotu w rękach Sebastiana wymierza mu cios. Huk wystrzału i krzyki obu panów zmieszały się w jej uszach w jedną całość. Drugi huk sprawił, że Róża o mało co nie straciła przytomności. Jej wzrok przesunął się z Manueli, która przykucnęła za krzakiem przy chodniku prowadzącym do domu Nastazji, na Pepe, który najwyraźniej zmarł, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w kotłujących się przed domem mężczyzn. Padł trzeci strzał. „Schowaj się, debilu!”, krzyknęła w duchu Róża, przerażona, że któraś z wypuszczonych na ślepo kul trafi w jej przyjaciela, najwyraźniej zamienionego w żonę Lota. Wiedzioną desperacką chęcią usunięcia go z linii strzału, Krull poderwała się ze swojego miejsca i runęła w stronę drabiny. Niestety, potknęła się na jednym ze środkowych szczebli i z panicznym krzykiem poleciała w dół. Nie spadła jednak na ziemię, tylko na coś dziwnego i w dodatku ruchomego! Kiedy zorientowała się, co to jest, było już za późno...

\*\*\*

Wracający z domu Joanny Złocińskiej i zaskoczony lekturą zostawionego tam przez nią listu, którego był adresatem, podkomisarz Fronczak jechał spokojnie swoim samochodem i porządkował w głowie sprawę morderstwa w Dworku Pod Dębami. Choć czuł, że ma już dopasowane coraz większe fragmenty łamigłówek, to do ułożenia z tych puzzli pełnego obrazu brakowało mu kilku ważnych informacji. Niektóre z nich miał zamiar uzyskać jeszcze dzisiaj od Patrycji Dworzak, a niektóre za kilka dni od innej kobiety. O ile, rzecz jasna, odzyska ona przytomność. Układał sobie właśnie pytania, które zada narzeczonej nieboszczyka, kiedy usłyszał dziwny huk. W ułamku sekundy dotarło do niego, co ów oznacza. Kiedy rozległ się drugi identyczny odgłos, Eustachiusz gwałtownie skręcił kierownicą i dodał gazu. Po chwili wjechał z impetem na ulicę, prowadzącą do wynajmowanego domu Nastazji i wtedy rozległ się trzeci huk. Podkomisarz przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i gwałtownie zahamował, przestając

wierzyć w to, co ma przed oczami. Oto na wąskiej uliczce jak na dłoni widział przykucniętą, skuloną i trzymającą się kurczowo małego krzaczka dziennikarkę „KocichNewsów”, stojącego jakieś sto metrów dalej, najwyraźniej niezdolnego do żadnego ruchu Pawła Kwiatka, a między nimi Sebastiana Janiszewskiego trzymającego w dłoni pistolet wymierzony w młodego kędzierzawego blondyna. Nie to jednak sprawiło, że na moment podkomisarzowi zabrakło powietrza. Oto bowiem po sekundzie wielkie drzwi stojącego za plecami Sebastiana lichawego budynekczku otworzyły się, bez mała nie wylatując przy tym z zawiasów, i wyprysnęła z nich z impetem ogromna szara świnka, na której niczym kowboj na rumaku siedziała Róża Krull! I świnka, i pisarka wydawały z siebie dzikie kwiki. Trudno było ocenić, która głośniejsza. Te Różki brzmiały trochę jak wezwanie bojowe i Eustachiusz przez moment walczył z nachalnym przekonaniem, że pisarka z siebie tylko znanych przyczyn postanowiła wywołać jakąś rewolucję i oto siedząc na świni, prowadzi lud na barykady.

Po sekundzie ten surrealistyczny duet dał od tyłu łupnia Sebastianowi, który, gwałtownie podcięty, przekeziółkował nad nim, wypuszczając przy okazji pistolet z ręki. Świnka kwiknęła i pognała w stronę Pepe, a kiedy go mijała, gwałtownie wierzgnęła, zrzucając z siebie Krull prosto pod nogi jej przyjaciela.

– Różne kretynizmy już w życiu robiłaś – rzekł w osłupieniu Kwiatek, patrząc na swoją przyjaciółkę, leżącą w śnieżno-błotnej kałuży – ale ujeżdżanie świnki to już chyba lekkie przegięcie. Mam nadzieję, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami nigdy się o tym nie dowie!

Wpatrujący się w tę scenę Fronczak odzyskał wigor. Podjechał jeszcze kilka metrów, wysiadł pędem z samochodu, podbiegł do pistoletu, podniósł go, po czym wyjął z kabury swój własny. Na koniec sięgnął do kieszeni po telefon.

– Potrzebuję wsparcia – rzekł, kiedy otrzymał połączenie. – Jestem na rogu Wiosennej i Koziej. Przyślij tu kilku chłopaków. Mam tu niezły bajzel...

## ROZDZIAŁ XIV

### BEZ KARY

Podkomisarz stał nad szpitalnym łóżkiem. W jego wzroku trudno było dopatrzeć się współczucia. „Być może jeszcze na moment odzyska przytomność”, poinformował go kilka minut wcześniej lekarz, „Często tak bywa tuż przed śmiercią. To taki ostatni zryw organizmu. Niech pan poczeka, jeśli panu zależy”. Policjant nie był pewny, czy naprawdę mu na tym zależy. Właściwie wiedział już wszystko. Znał plan, zakładający, że były narzeczony kobiety, na którą teraz spoglądał, zginie od kuli z pistoletu zakupionego przez nią nielegalnie za pośrednictwem jednego z jej, nazwijmy to, przyjaciół. Tego samego pistoletu, który po jej wypadku znalazł jej ojciec, i zamiast zabrać na policję, na wszelki wypadek wziął ze sobą wraz z teczką z banknotami składającymi się na sumę czterystu tysięcy, za które planował kupić Dworek Pod Dębami, a potem odsprzedać go państwu w celu umieszczenia w nim muzeum i zarobić na tym dzięki swoim koneksjom ponad dwa miliony złotych. Oczywiście na spółkę z kimś, kto podjąłby decyzję o zakupie. W końcu kto jak kto, ale włodarze naszego państwa niespecjalnie oglądają każdy wydany grosz, zwłaszcza jeśli mogą wspomóc nim siebie samych i swoich ludzi. „Oddałbym go na pewno!”, zapewniał w czasie składania zeznań Sebastian. Fronczak wiedział, że to kłamstwo. I że Janiszewski zdawał sobie sprawę, że jego córka nie kupiła pistoletu bez powodu. A jednak do samego końca upierał się, że nie wierzy w winę Elwiry...

Dowodów na to, że to ona stoi za śmiercią swojego byłego ukochanego, było jednak więcej. Białe futro w jej szafie, środek usypiający w jej gabinecie, i wreszcie... krew. „Nie wiem, czy to panu w czymś pomoże, ale pacjentka ma ranę na ramieniu. Wygląda, jakby się skaleczyła albo raczej ktoś ją skaleczył jakimś ostrym narzędziem”, poinformował go lekarz, zezwalając na pobranie DNA. Gdy przyszła odpowiedź z laboratorium, nie było już najmniejszych wątpliwości. Zarówno na kilofie, jak i na Dolores znajdowała się krew Elwiry. To przesądzało sprawę.

Były jeszcze, rzecz jasna, zeznania kobiety, przez którą Janiszewska znalazła się w szpitalu. Poznały się, kiedy obie, niezależnie od siebie, uprawiały najstarszy zawód świata, zwany teraz dyplomatycznie „utrzymywaniem się ze sponsoringu”. To właśnie od Elwiry Laura, a właściwie Ines, bo taką ksywkę w kryminalnym półświatku miała fałszywa Niepołomicka, dowiedziała się i o dworku, i o tym, że jej ojciec ma na niego chrapkę.

Leżąca kobieta odetchnęła głębiej i otworzyła oczy. Podkomisarz podszedł bliżej i pochylił się nad nią. Elwira popatrzyła na niego zadziwiająco przytomnie.

– Ines! – wyszeptała. – Co tu robi Ines?!

– Spokojnie – rzekł cicho Fronczak. – Już się nią zajęliśmy.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą Janiszewska, po czym potoczyła wzrokiem po pokoju. – Gdzie mój tata?

– Został zatrzymany – wyjaśnił podkomisarz. – Za użycie pistoletu, który należał do ciebie.

Jeśli liczył na to, że zdaniem tym wywołała choćby minimalne poruszenie Elwiry, to musiał się poczuć rozczarowany.

– A więc już pan wie... – szepnęła Janiszewska beznamiętnie.

– Tak. Wiem – przyznał Fronczak. – Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Bo to nie był dobry człowiek... Wbrew temu, co wszyscy sądzili... Wyrządził mi krzywdę. Taką samą jak tej dziwce... „Nie nadaję się na ojca”, to jego słowa... Szantażował mojego tatę... Wiedział, że dworek nie należy do ludzi, z którymi tata chce ubić interes... Ale nie miał dowodu... Sukinsyn... Zmusił tę dziewczynę tak jak mnie, aby pozbyła się dziecka... A ona nadal go kochała. Żałosna kretyńska... Jak ja go nienawidziłam! I jej też...

Fronczak poznał historię Joanny z jej listu. Interesowało go za to co innego.

– A krew na kilofie? – zapytał, pochylając się jeszcze bliżej do Janiszewskiej. – Skąd się tam wzięła?

– Taki doskonały plan... – Słowa Elwiry brzmiały coraz słabiej. – Zadziałał nawet wtedy, kiedy ta dziwka zbyt wcześnie się obudziła... Przyjechałyśmy tam... Wniosłam ją od drugiej strony, schodami dla służby... Miała tam leżeć i obudzić się po wszystkim... Ale nie... Ocknęła się... To było takie banalne... Upadek ze schodów... Nawet lepiej niż planowałam... Śmierć przez przypadek... Przy świadku... Ale on żył... Skurwiel... Ocknął się, kiedy wszyscy już poszli... Zaczął pełznąć po podłodze... Chwytał kilof... Ale był już słaby... Jak dziecko... Dziecko... Skręciłam mu kark... To był cudowny moment, kiedy uświadomiłam sobie, że już go nie ma... Tak cudowny...

Po raz ostatni popatrzyła na podkomisarza przytomnym wzrokiem. Po chwili jej oczy zamglily się, kilka razy odetchnęła głośniej, po czym zamilkła.

Na zawsze.

\*\*\*

*Dwa dni później*

– Teraz to już na pewno we dworku będzie straszło – zawyrokowała Franciszka Niepołomicka, nakładając sobie spory kawałek sernika wypieku Pepe – ale zawsze to jakaś dodatkowa atrakcja. Podobno w Stanach działa stary motel, w którym kiedyś jakiś psychopata urządził prawdziwą rzeź i zamordował kilkanaście osób. To miejsce cieszy się tak ogromną popularnością, że za pokój



trzeba zapłacić jak za apartament w Hiltonie, a i tak chętni walą drzwiami i oknami, a miejsca trzeba rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Ludzie w tych czasach są dziwni...

– Ciekawe, co się teraz stanie z dworkiem... – zamyśliła się Cecylia, smarując kremem przeguby dłoni w miejscach, gdzie wpiły jej się sznury, którymi została skrępowana przez bandziora podającego się za Rolanda. Chciała się jak najszybciej pozbyć tego ponurego wspomnienia najbardziej mrożącej krew w żyłach przygody, jaka przydarzyła jej się w całym życiu. Po tym, jak została wywleczona z pokoju Franciszki, skłęta przez tego gburę i jego pomocnicę słowami, których nie powtórzyłaby nawet w myślach, a następnie związana i wrzucona do piwnicy, spędziła kilkanaście godzin, zmagając się z modlitwami do kolejnych świętych. Niestety, żaden z nich jej nie wysłuchał. Pewnie byli zajęci pomaganiem komuś, kto bardziej tego potrzebował. Na przykład misjonarzom w Afryce albo tym biednym posłom walczącym z dzender w Brukseli, która w jej przekonaniu znajdowała się w samym centrum królestwa Szatana. Po kilkunastu godzinach gospoia Róży w desperacji zwróciła się do swojej ostatniej deski ratunku – świętej Cecylii z Rzymu. Dumiała przy tym chytrze, że jeśli bandytom przyjdzie do głowy pomysł usunięcia jej z tego padolu, to dobrze byłoby iść w ślady swojej imienniczki, którą żołnierze cesarza Aleksandra Sewera też próbowali wszelkimi siłami ukatrupić, długo nie osiągając swojego celu. Zamknięta w łaźni i bez mała ugotowana, wyszła stamtąd radosna jak po leczniczej kąpieli w basenie termalnym w Białce Tatrzańskiej. Przetrwiała też trzy próby ścięcia za pomocą miecza i tak do końca nie wiadomo, jak w sumie zmarła, bo kiedy pięćset lat później w katakumbach Świętego Kaliksta znaleziono jej ciało, znajdowało się ono w stanie idealnym, a święta sprawiała takie wrażenie, jakby uciwała sobie drzemkę. Święta Cecylia ostatecznie pomogła swojej imienniczce, bo kiedy tylko ta skończyła się do niej modlić, w drzwiach piwnicy coś zgrzytnęło, a następnie pojawili się tam podkomisarz Fronczak i Róża Krull, wyglądająca tak, jakby przez poprzednią godzinę trzymała głowę w wirującej palce.

– Cały czas uważam, że pomysł, aby stworzyć tam muzeum jest całkiem niegłupi – przyznała Franciszka. – Tym bardziej teraz, kiedy pewnie i tak wszystko zostanie oddane państwu...

– Trochę szkoda, że nie wiadomo, gdzie są te dokumenty, które schowała Katarzyna Jabłonowska – westchnęła Róża, próbując nie zwracać uwagi na wzrok Pepe i ukroić sobie kolejny kawałek sernika. – Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi...

– Ja ci nie żałuję – zastrzegł się jej przyjaciel – ale primo, zjadłeś już dwa, a secundo, musi jeszcze starczyć dla pani Manueli. Ma wpaść po południu.

– No teraz to już stanowczo sobie ukroję! – prychnęła wściekle Krull. – Jeszcze tego brakowało, żebyś tę małą częstował czymś więcej niż wodą i suchym chlebem. Najlepiej spleśniałym!

Przyjaźń Róży i Manueli okazała się równie intensywne, co krótkotrwała.

Zakończyła ją, zaledwie dzień po wyjaśnieniu wszystkich zagadek związanych z morderstwem, publikacja filmiku, który Konopka przytomnie nagrała z za swojego krzaka, uwieczniając ułańską szarżę Krull na świni. Filmik doczekał się w kilkanaście godzin ponad miliona odsłon na YouTube, komentarzy w stylu: „Cud, że to zwierzę zrobiło choć krok, mając na sobie takiego kłoca!” oraz listu otwartego od Stowarzyszenia Miłośników Świń „Piggy Club”, w którym członkowie tego zacnego grona apelowali do pisarki, aby przestała dręczyć przedstawicieli ich ulubionego gatunku i skoncentrowała się na „pisanii i przestrzeganiu ścisłej diety”. Marną pociechę stanowił dla pisarki fakt, że wreszcie została zaproszona jako gość specjalny do telewizji, tym bardziej że chodziło o audycję *Kwadrans dla rolników*.

– A swoją drogą... – zaczęła Barbara, ale jej wypowiedź przerwał dzwonek u furtki. Wstała i wyjrzała przez okno. – Dżessika? – rzekła zdziwionym tonem, po czym skierowała się w stronę wyjścia.

Róża podążyła za nią.

– Bardzo przepraszam – widać było, że Bąk jest bardzo zdenerwowana – ale Dolcia znowu mi się gdzie zapodziała.

– W nałóg jej weszło – mruknęła Róża.

– Oby tylko znowu nie odkryła jakichś zwłok! – rzekła w tej samej chwili Barbara.

– Byłam już w dworku, przeszukałam też wszystkie inne jej ulubione miejsca i nigdzie jej nie ma – wyjaśniła z rozpaczą Dżessika. – Pomyślałam, że może przysłała tutaj, bo przecież wszystkich was uwielbia.

– Nie. – Barbara pokręciła głową ze współczującą miną. – Poczekaj, narzucimy tylko coś na siebie i pomożemy ci szukać. Gdzieś przecież musi być!

Po chwili cała piątka, bo do akcji poszukiwawczej dołączyli też Pepe i Cecylia, rozpierzchnęła się po miasteczku. Po dwóch kwadransach spotkali się na ryneczku przed kościołem. Smętne miny, widoczne na twarzy każdego z nich, sprawiły, że nie musieli nic mówić.

– Tak to jeszcze nigdy nie było – jęknęła Dżessika. – Zaczynam być przerażona!

– A ty dokąd się wybierasz? – Barbara spojrzała ze zdziwieniem na swoją mamę, która zrobiła kilka kroków w stronę kościoła. – Przecież byłaś tam rano!

– Na mszy! – rzekła Cecylia z wyrzutem. – Teraz idę się pomodlić w intencji znalezienia Dolores.

– Zostaw ją, niech idzie – westchnęła Róża z rezygnacją. – To uzależnienie. Dla niej kościół to jak dla hazardzisty kasyno.

– Swoją drogą – mruknął Pepe, patrząc w ślad za Cecylią – tyle czasu tu jesteśmy, a nawet nigdy nie byliśmy w środku. Można byłoby go obejrzeć. W końcu to zabytek. Ile lat ma?

– Skoro powstał w tym samym czasie co dworek, to chyba ze dwieście, o ile nie więcej – odparła niepewnie Barbara. – W każdym razie jest leciwy. Chyba nawet

ostał się w takiej formie, w jakiej go wybudowano. O ile dobrze pamiętam z tego, co o nim czytałam, to tylko na początku dwudziestego wieku przebudowano prezbiterium. I faktycznie warto go zobaczyć, bo w środku jest przepiękny. Skromny, ale przez to jeszcze bardziej uroczy.

Wolnym krokiem ruszyli w stronę kościoła, ale już w progu, po pokonaniu kilku schodków, stanęli jak wryci. W miejscu, gdzie nawa główna przechodziła w prezbiterium, klęczała Cecylia z Dolores na rękach. Świnka z całych sił się jej wrywała, wydając z siebie ciche, pełne protestu kwiki.

– Kochana!!! – Dżessika rzuciła się pędem przez nawę, dopadając do swojej pupilki i przejmując ją od Jodełki. – Jesteś, skarbie!!! Cała i zdrowa!!!

Ku jej zaskoczeniu świnka potraktowała jej pieszczoty obojętnie i też zaczęła się wrywać. Zdumiona Bąk postawiła ją na posadzkę. Dolores zrobiła kilka kroków i stanęła przy balustradzie, a następnie tupnęła kilka razy w jedną z płyt posadzkowych.

– Co ci się... – zaczęła Dżessika, ale Róża, która zdążyła już dojść do nich, wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

– Popatrzcie! – krzyknęła tak, że jej głos poniósł się po całym budynku. – Malunek!

– „Pod posadzką przed człowieczym okiem ukryłem, gdzie ogon bestyi przez świętego Michała pokonanej widnieje” – zacytował obdarzony fenomenalną pamięcią Pepe. – Ja cię kręcę!

Pod raciczkami Dolores wyraźnie widać było fragment ogona i wbitego w niego miecza.

Przez moment wszyscy wpatrywali się w to miejsce bez słowa.

– No to które z nas dzwoni do Fronczaka? – zapytał w końcu Pepe.

\*\*\*

– Jesteście pewni? – Bartek Domagalik patrzył na swoich gości wielkimi oczami.

– Sprawdziliśmy to tak dokładnie, jak tylko można było – wyjaśnił podkomisarz. – Mamy ekspertyzy, opinie badaczy. Są jednoznaczne. Jesteś ostatnim żyjącym potomkiem hrabianki Katarzyny Jabłonowskiej i Jana Bytczuka, który był ojcem jej nieślubnego dziecka. W swoim ostatnim liście twoja prapra-, no ileś tam tych pra, babka zapisała dworek swojej pociesze, po której powinny go odziedziczyć kolejne pokolenia rodziny Jabłonowskich, a nie Niepołomickich. Przedostatnim spadkobiercą był twój zmarły tata, po którym dworek przechodzi na ciebie.

– A nie na moją mamę? – zdziwił się Bartek.

– Nie. Twoi rodzice byli po rozwodzie, a nadto tata zostawił testament, w którym wskazuje na ciebie jako jedyne spadkobiercę. Sprawa jest oczywista i w najbliższym czasie otrzymasz akt własności Dworku Pod Dębami. Kwestia kilku tygodni.

– Ciekawe, co z nim zrobisz... – zastanowiła się Róża.

Widać było, że do Bartka nie dotarł jeszcze fakt, że oto stał się współczesnym włościaninem.

– Czy ja wiem... – zastanowił się. – Może hotel...? „Pensjonat u Białej Damy” brzmi całkiem czadowo.

– Na pewno będziesz miał tabuny gości i zbijesz na tym fortunę. – Róża się uśmiechnęła, po czym nieświadomie powtórzyła zdanie, usłyszane wcześniej od Franciszki. – W końcu ludzie w tych czasach są dziwni...

\*\*\*

Róża z westchnieniem włożyła swoją walizkę do bagażnika Stefana i uścisnęła serdecznie Barbarę.

– Dziękuję za gościnę – szepnęła z wdzięcznością – i mam nadzieję, że niebawem znów się spotkamy.

– Serdecznie zapraszam – odpowiedziała Jodelka – kiedy tylko chcecie! O każdej porze dnia i nocy! Jedźcie ostrożnie i koniecznie dajcie mi znać, gdy już będziecie w stolicy. Szerokiej drogi!

Krull wsiadła do samochodu. Pepe ruszył i powoli wyjechał z posesji Barbary.

– Czego słuchamy? – zapytał, odpalając Spotify.

– Madonny! – poprosiła Róża.

– Terceciku Egzotycznego! – odezwała się z tylnego siedzenia Cecylia.

– To ja to wypośrodkuję – stwierdził Pepe i po chwili wewnątrz Stefana wypełniły dźwięki hitu jego ulubionej Klaudii Hutniak o mewie.

Róża zamyśliła się i, nucąc pod nosem: „Mewo, mewo, leć nad nami, mewo, mewo nad chmurami, tam, gdzie serca został ślad, przynieś duszy naszej ład”, żegnała w duszy z Kocierzynem. Z wolna zapadał już zmrok i miasteczko sprawiało wrażenie zaczarowanego. Małe domki, ozdobione lampkami, kolorowe ogrodzenia, wszędzie sielsko i anielsko. Aż trudno było uwierzyć, że w ciągu ostatnich miesięcy popełniono tu kilka zbrodni. Krull westchnęła i zerknęła na mijany właśnie Dworek Pod Dębami. „To dobrze, że ktoś się nim wreszcie zajmie”, pomyślała i w tym momencie zobaczyła, jak w jednym z ciemnych górnych okien pojawia się biała postać. Wyraźna, z uniesioną jedną dłonią, którą jej machała.

– Widzieliście to?! – krzyknęła Róża, uświadamiając sobie, że jej gosposia zajęta jest mamrotaniem modlitwy w intencji dobrej jazdy po autostradzie, a Pepe wpatrzony w drogę przed sobą.

– Co? – zapytał przestraszony lekko Kwiatek.

Róża pomyślała przez chwilę.

– A nic, nic... – mruknęła wreszcie. – Wydawało mi się, że widziałam na drodze zającą.

– Ty i te twoje zwidy – westchnął Pepe z politowaniem.

Róża nie odpowiedziała. W duchu złożyła sobie gratulacje, że nie pisnęła ani słowem o Białej Damie.

Już i tak wszyscy mieli ją za wariatkę.

I nie należało tej opinii pogłębiać.

Ani trochę.

## EPILOG

– Za moment padnę tu trupem – jęknęła Róża, po czym spojrzała błagalnie na Pepe. – Czy akurat w dniu mojego ślubu musiała się tu zrobić Afryka?! Powachluj mnie trochę, proszę!

Kwiatek z filozoficzną miną przeszedł do Stefana, po czym wyjął z niego kawał tektury, wrócił i zaczął wypełniać prośbę swojej przyjaciółki.

– Miałeś mnie delikatnie wachlować, a nie robić tornado! – zezłościła się po chwili Krull. – Zrzuńniesz mi całe uczesanie!

– Nie chcę cię martwić, ale to uczesanie już wygląda na ruinę – ocenił Pepe. – A twój welon jak mokra ścierka do podłogi.

– Wielkie dzięki. – Róża popatrzyła na niego z wyrzutem. – Czemu, do cholery, jeszcze go nie ma?!

Z Urzędu Stanu Cywilnego wyszedł, a następnie klusem podbiegł do nich mały człowieczek.

– Pan burmistrz kazał zapytać, czy jeszcze długo będziemy czekali – powiedział nerwowo. – Zagraliśmy *My Heart Will Go On* już tyle razy, że wszyscy nauczyli się tekstu na pamięć. Jak zagramy to jeszcze raz, to pewnie Celine Dion sama się zmaterializuje na sali.

– Nie wiem, co mam zrobić... – Róża spojrzała bezradnie na Pepe. – Co się mogło stać?!

– Nie mam pojęcia. – Pepe patrzył na nią współczująco. – Poczekaj, pójde po Krzysia. On go widział jako ostatni. – Pobiegł do urzędu.

– To co? Mamy znowu zagrać tego *Titanica*? – zapytał człowieczek.

– A nie macie nic innego?

– Mamy jeszcze *Z tobą chcę oglądać świat*, *Za Tobą pójde jak na bal* i *Ave Maria*.

– A *Ave Maria* to się przypadkiem nie gra w kościołach na pogrzebach? – zdziwiła się Róża.

– Już nie. Od zeszłego roku to jest pieśń wyklęta. Nie można jej wykonywać w świątyniach. Przynajmniej tych katolickich. Jej i *Hallelujah* Leonarda Cohena. I chyba czegoś Beatlesów.

– No to sama nie wiem... Może niech będzie to *Z tobą chcę oglądać świat*. Moja gosposia się ucieszy, bo kocha i Sośnicką, i Wodeckiego.

– Jak pani sobie życzy...

Mały człowieczek też się oddalił.

– Przepraszam. – Róża usłyszała za sobą cichy głos. – Pani Krull?

Odwróciła się. Za nią stał mały chłopiec. Widać było, że moment wcześniej

zszedł z siodełka roweru, którego ramę miał między nogami, a dodatkowo przytrzymał jedną ręką kierownicę. W drugiej trzymał złożoną na pół kartkę.

– Tak, to ja – odpowiedziała ze zdziwieniem pisarka.

– Jeden pan za rogiem poprosił, żeby to pani dać. – Chłopiec wyciągnął rękę z kartką.

Róża rozłożyła ją, przeczytała to, co tam napisano, i poczuła, że robi jej się słabo.

– Co się stało? – zapytał Pepe, podchodząc do niej wraz z komisarzem Darskim, ubranym, jak na świadka pana młodego przystało, w idealnie skrojony czarny garnitur.

Krull bez słowa podała im kartkę, a sama, czując, że uginają się pod nią nogi, klapnęła na jedną z licznych w tym miejscu ławek.

– To jakiś żart? – zapytał Darski, zapoznawszy się z treścią umieszczoną na przekazanym mu papierze.

– Jaki żart, skoro go nie ma – rzekł Pepe, podchodząc do Róży. – Naprawdę, bardzo mi przykro.

Komisarz jeszcze przez moment patrzył na nich wzrokiem pełnym niedowierzania, po czym wyciągnął telefon i wybrał jeden z kontaktów.

– Eustachiusz – rzekł dziwnie zmienionym głosem. – Wyjdź, proszę, jakoś dyskretnie z sali i chodź do nas. Ślubu nie będzie, ale nie chcemy na razie wzbudzać paniki. Nie, z Różą wszystko w porządku. Chodzi o pana młodego. Mamy tu chyba porwanie z żądaniem okupu. I niestety... – westchnął ciężko – ...obawiam się, że to nie wszystko. W grę wchodzi kolejne morderstwo!

CIĄG DALSZY (BYĆ MOŻE) NASTĄPI

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałbym podziękować Rafałowi Bielskiemu i całej fantastycznej ekipie Skarpy Warszawskiej za to, że starają się spełnić większość moich pomysłów i nawet przy tych najgłupszych, z których sam potem rezygnuję, nie dają mi do zrozumienia, że zbzikowałem już do reszty.

Pawłowi Płaczkowi dziękuję za pierwszy rzut oka na powieść i cenne uwagi.

Edycie Pietrzak-Waś za wszystkie nasze chwile spędzone przy „Monopoly”, kościach czy „Labiryncie Harry’ego Pottera”.

Mojej Mamie za to, że jest dzielna i wie już, że słowo „deadline” usprawiedliwia fakt, że znikam z zasięgu jej wzroku (i słuchu) na długie dni.

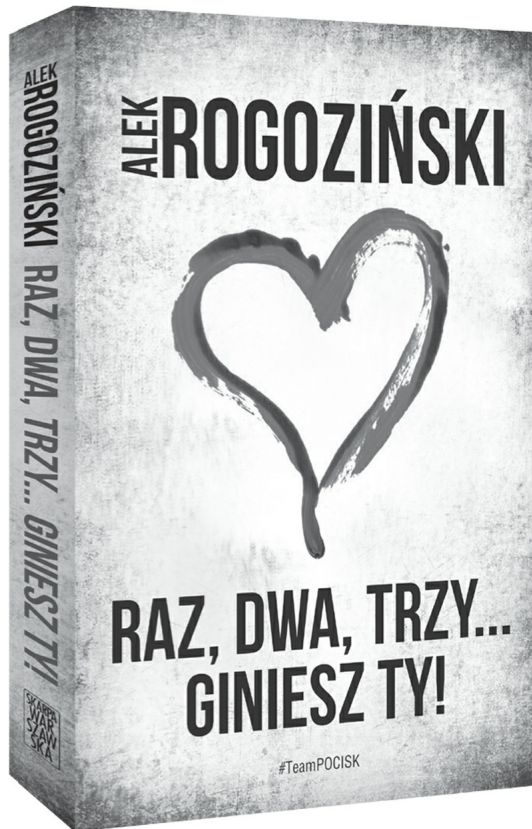
Walentynowi Pankiewiczowi za konsultacje natury medycznej, te prywatne, i te „służbowe”.

Kamilowi Babiczowi za piękny i dziecinnie prosty w obsłudze (co ważne dla takiego „blondyna” jak ja) projekt mojej strony internetowej (przy okazji – zapraszam na [alekrogoszinski.pl](http://alekrogoszinski.pl)).

I na koniec tradycyjnie – moim Czytelniczkom i Czytelnikom za to, że wierzą we mnie, kiedy sam przestaję w sobie wierzyć, o co w tych czasach nietrudno.



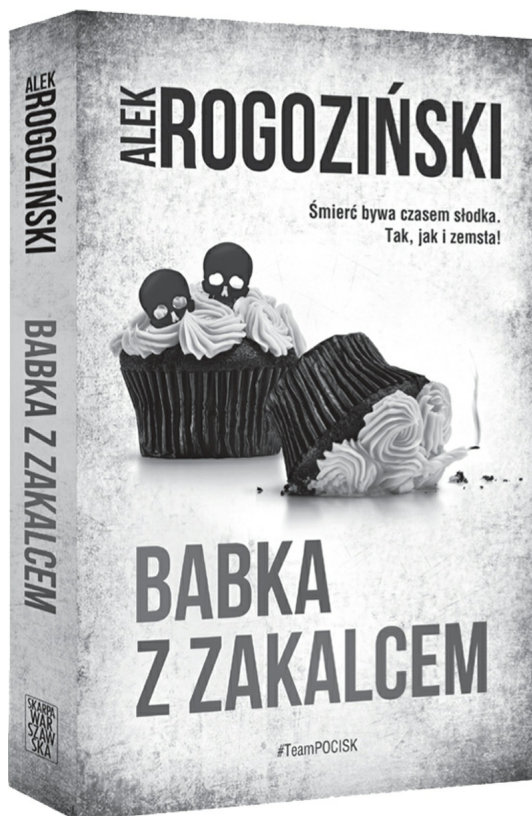
ALEK ROGOZIŃSKI  
**RAZ, DWA, TRZY... GINIESZ TY!**



Bartek jest aktorem, który właśnie wywalczył sobie pierwszą większą rolę w superprodukcji. Agnieszka ma szansę dostać pracę w popularnym piśmie o show-biznesie, w którym pracuje już jej przyjaciółka Oliwka. Obie dostają zadanie napisania reportażu z planu filmowego. Zamiast ekscytujących plotek znajdują tam jednak... nieboszczyka. I nie ma wątpliwości, że rozstał się on z życiem wbrew własnej woli.

Szybko okazuje się, że morderstwo na planie filmowym związane jest z wypadkiem, który wydarzył się w tym samym miejscu siedemnaście lat wcześniej. Mało tego! Morderca nie zamierza poprzestać tylko na jednej zbrodni... Czy policja i trójka przyjaciół odkryje jego tożsamość, zanim dojdzie do kolejnej tragedii?

ALEK ROGOZIŃSKI  
**BABKA Z ZAKALCEM**  
Śmierć bywa czasem słodka.  
Tak, jak i zemsta!



Luiza Mirska od wielu lat jest szefową wielkiej firmy cukierniczej i gwiazdą telewizyjnych programów kulinarnych. Czuje jednak, że przyszedł czas, aby przekazać komuś swoje imperium.

Problem w tym, że kiedy bierze pod lupę potencjalnych spadkobierców, przekonuje się, że każdy z jej bliskich ma na sumieniu jakieś przestępstwo. Gdy na rodzinnej imprezie z okazji sześćdziesiątych urodzin Luizy dochodzi do morderstwa, podejrzani stają się wszyscy. Bo też i każdy z gości miał powód i okazję, aby dodać swoje zabójcze „trzy grosze” do babeczki z lukrem...

ALEK ROGOZIŃSKI  
**MIASTECZKO MORDERCÓW**  
Co zrobisz, kiedy wywróżysz sobie...  
morderstwo?



W miejscu, w którym każdy wie „wszystko o wszystkich”,  
ktoś chce zachować swój mroczny sekret.

Popularna autorka powieści kryminalnych Róża Krull postanawia spełnić prośbę swojej gosposi i spróbować rozwiązać zagadkę morderstwa burmistrza w jej rodzinnym miasteczku na Podlasiu. Obie nie wierzą bowiem, aby został on zabity przez swojego niedoszłego zięcia, choć chłopaka złapano na gorącym uczynku.

Róża rozpoczyna amatorskie śledztwo w mieścinie, w której każdy wie „wszystko o wszystkich”, a mimo to wierzy, że akurat jemu uda się ukryć przed innymi własne, nieraz śmiertelne grzechy.

Kiedy wydarza się kolejne morderstwo, pisarka jest pewna, że przyjęta do tej pory przez policję wersja wydarzeń mija się z prawdą. Pytanie tylko, czy zdoła odkryć tożsamość zabójcy, zanim ten wyśle ją na tamten świat...